



NOWA

dekada

KRAKOWSKA
DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY
NR 3/4 (49/50) ROK IX 2020 KRAKÓW

Cena **18 zł** (w tym 8% VAT)
ISSN 2299-4742

**PRZYSZŁOŚĆ
(NIE)OTWARTA**



March 11 April 2020

PO CO SŁOŃCE?



Rysunek MARCINA PRYTA z wystawy *Po co słońce?*
kuratorka: Emilia Konwerska
Galeria DOBRO, Olsztyn, maj–sierpień 2021
(także na stronie obok i s. 5, 12, 22, 30, 47, 61, 72, 76, 85, 91, 111, 117, 128)

PO CO SŁOŃCE?

NOWA **DEKADA** KRAKOWSKA

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY

ISSN 2299-4742

NOWA DEKADA KRAKOWSKA jest programową kontynuacją DEKADY LITERACKIEJ, której pierwszy numer ukazał się w grudniu 1990 roku, a w latach 1992 – 2004 wydawcą była Krakowska Fundacja Kultury.

Redaguje zespół:

Marta Wyka *redaktor naczelna*
Teresa Walas *zastępca redaktor naczelnej*
Aleksander Pieniek *redaktor graficzny*
Tomasz Cieślak-Sokołowski
Katarzyna Deja
Jakub Kornhauser
Karolina Kurando *koordynatorka social mediów*
Paulina Małochleb
Malwina Mus-Frosik
Robert Ostaszewski

Współpracują:

Anna Baranowa, Aleksandra Görlich,
Tomasz Gryglewicz, Ewa Hearfield,
Krzysztof Lisowski, Anna Łabędzka,
Małgorzata Szumna, Jacek Ziemek

Redaktorzy prowadzący numeru:

Tomasz Cieślak-Sokołowski
Marta Koronkiewicz

Okładka:

Aleksander Pieniek
Fotografia Grażyna Borowik

Adres korespondencyjny redakcji:

„Nowa Dekada Krakowska”
ul. Gołębia 16, 31-007 Kraków
www.nowadekada.pl
www.nowadekada-online.pl
e-mail: krakowskafundacjaliteratury@gmail.com



*Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych
i zastrzega sobie prawo skrótów.*

Nakład:

200 egz. + 200 egz. gratisowych

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

dekada

KRAKOWSKA
D W U M I E S I Ę C Z N I K K U L T U R A L N Y
NR 3/4 (49/50) ROK IX 2020 KRAKÓW

PRZYSZŁOŚĆ (NIE)OTWARTA

TOMASZ CIEŚLAK-SOKOŁOWSKI	Przyszłość (nie)otwarta	6
KAROL MALISZEWSKI	„Potrzeba wiele starań, by zobaczyć to, co się wyłania”	12
TOMASZ MIZERKIEWICZ	Improwizowanie przyszłości. Komentarz do <i>Kantry</i> oraz <i>Grochów głosem</i> Andrzeja Stasiuka i Mikołaja Trzaski (z zespołem)	22
DARIUSZ NOWACKI	Przyszłość krytyki literackiej	30

POEZJA

KACPER BARTCZAK	WIERSZE i PROZY	38
TOMASZ BĄK	WIERSZE	48
TOMASZ BĄK	Captain, we're sinking!	58
CHINA MIÉVILLE	Granice utopii	62
SAM KRISS	Porzućcie przyszłość	72
MACIEJ SZLINDER	Hegemonia postpracy	76

CZYTANE UWAŻNIEJ

MACIEJ URBANOWSKI	Pawła Lisickiego ćwiczenia z przyszłości	86
-------------------	--	----

OKIEM KRYTYKA

MALWINA MUS	Między poczuciem obowiązku a radością istnienia – kulisy kariery literaturoznawcy	92
OLGA SZMIDT	Interpretowanie podzielonego świata	96
KATARZYNA TRZECIAK	<i>Jeszcze nie teraz</i>	102
PIOTR SOBOLCZYK	W labiryncie zdrowego kraju	105

KSIĄŻKI PRZEBRANE

MARTA WYKA PRL i pamięć **108**

NA MARGINESIE

TERESA WALAS Literatura po piśmie **112**

SZTUKA

TOMASZ CIEŚLAK-SOKOŁOWSKI Inne życie wierszy Marcina Pryta **118**

AUTORKI | AUTORZY **125**



Marcin 11 Pryt

Tomasz Cieślak-Sokołowski

Przyszłość (nie)otwarta

*Jeśli chcemy zmieniać świat,
musimy być nierealistyczni,
nieracjonalni i nieznośni.*

Rutger BREGMAN, *Utopia dla realistów*

Czy pandemia, na której trwanie przypadły prace nad tym zeszytem „Nowej Dekady Krakowskiej”, zmieniła radykalnie nasze wizje przyszłości, sposoby, na jakie tę przyszłość obmyślamy? Nie sądzę. Być może – po pierwsze – zdaliśmy sobie tylko wyraźniej sprawę, że dość bezradnie nie wiemy, jak świat miałby w przyszłości wyglądać. Ale też – po drugie – ci, którzy swoje przyszłościowe programy starali się formułować przed rokiem 2020, stają się teraz wyraźniej, donośniej słyszalni – ku ich głosom zwraca się nasza wspólna uwaga, to ich koncepcje poddawane są bardziej ochoczo dyskusji.

Stare i młode wędrowki po tematach

Przejmujący esej *Lepiej stracić złudzenia niż być głupim* – podpowiadany przez „Gazetę Wyborczą” jako tekst-„testament” – Marcin Król otwiera rozważaniami o samej możliwości refleksji nad przyszłością. Zachęca do tego namysłu, sięgając po jedną z ostatnich książek Mariana Zdziechowskiego – pisze zwięźle: „Chodzi o to,

że aby móc myśleć o przyszłości, trzeba dokonać audytu czasów obecnych. Przejąd taki powinien polegać na sprawdzeniu i opisaniu tego, co się kończy lub skończyło w wielkiej tradycji europejskiej”¹. Audyt, który dostajemy od filozofa i historyka idei, raczej nie zaskakuje. Król staje wyraźnie po stronie wielkiej tradycji myśli religijnej – smaganej na równi „ciosami zadawanymi jej na oślep przez oświecenie” i przez sam Kościół, który porzucił teologię na rzecz zanurzonej w doczesne dyskusje i spory katolickiej nauki społecznej („Te wszystkie rozważania, że trzeba być dobrym dla innych, a zwłaszcza dla rodziny, i nie pić, doprawdy Kościołowi nie przystoją. Zdajmy sobie sprawę, że od czasów Pascala, Leibniza, Bossueta nie ma wielkich myślicieli religijnych”). Zanik duchowości chrześcijańskiej, odejście przez Kościół katolicki od pytań fundamentalnych (o źródło zła, o sens życia) ma – zdaniem Króla – swoje katastrofalne konsekwencje: „znikający Kościół to znikający świat wyobraźni i kultury”. Jeśli wymażemy ten chrześcijański świat – przekonuje filozof – jeśli zatrzymamy możliwość porozumienia na gruncie jego symboliki, jego słownika, szybko się okaże, że nie tylko nie będziemy mogli zrozumieć niczego z naszej przeszłości, ale też

na poziomie zupełnie podstawowym nie będziemy w stanie dogadać się, jak ma wyglądać nasza przyszła rzeczywistość społeczna, polityczna, życie kulturalne i publiczne. Król zamyka swój esej (nie-nowym) obrazem intelektualisty, który wchodzi do biblioteki – nie spodziewa się już żadnego prostego porządku skutecznych lektur, które pomogą mu zrozumieć i zaprojektować świat, ale jednak podejmuje trud przesuwania kolejnych pudeł z książkami w nadziei, że uda się znaleźć odpowiedź („albo to, o czym nie wiedzieliśmy, że szukaliśmy, ale na to natrafiłszy”).

Ów konieczny w oczach historyka idei związek z tradycją, związek, który jest warunkiem porozumienia, stał się jednym z powracających wątków w komentarzach pod esejem Marcina Króla na stronie internetowej „Gazety Wyborczej”. Co ciekawe, stawką przetargową okazywała się młodość (albo metrykalna, albo – deklarowana – umysłu). Wynotowuję tu zdanie, które było nawet cytowane przez samych toczących tę rozpisaną na serię komentarzy rozmowę: „[...] jakie to smutne że kanoniczne figury polskiej kultury odchodzą i nie mają zupełnie nic do powiedzenia młodszym pokoleniom poza odgrzebywaniem zamierzchłych filozofów”² [interpunkcja oryginalna – przyp. red.]. Trzeba sobie oczywiście zadać trud przebrnięcia nie tylko przez świetnie skomponowany esej Króla, ale i często bezładnie dodawane doń komentarze – z tej większej całości wyłania się jednak wyraźnie jedno napięcie. Czytelnicy Króla (przede wszystkim ci młodszy, ale też i deklarujący, że na prywatnej półce mają niejedną książkę filozofa) zdradzają zmęczenie po-

dążaniem po ścieżkach splątanych nici tradycji, skłonni są wybierać się raczej w inne wędrówki.

Jakie tematy interesują młodych? W poszukiwaniu zwięzłej odpowiedzi zaglądam do ciekawego projektu „Spięcie” – zainicjowanego przez pięć środowisk: Klub Jagielloński, Magazyn Kontakt, Krytykę Polityczną, Kulturę Liberalną i Nową Konfederację. Co kilka tygodni redakcje wybierają temat do dyskusji – powstające na jej potrzeby teksty (inicjujący wymianę zdań i niego odpowiedzi) są publikowane na wszystkich pięciu portalach. Projekt zakłada stworzenie przestrzeni wymiany myśli, która pozwoli przełamać zamknięcie poszczególnych środowisk w bańkach społecznościowych, da nadzieję na „żywszy ruch myśli, na dowiedzenie się czegoś nowego, na odtworzenie tkanki łącznej, której tak mało jest ostatnio w społeczeństwie. Nie chodzi przy tym o to, byśmy na koniec dnia odkrywali, że się ze sobą zgadzamy a «prawda leżała po środku». Warto po prostu zadbać o miejsce, gdzie możemy się ze sobą nie zgadzać, pozostając członkami tej samej wspólnoty”³.

Dyskusję o przyszłości po epidemii koronawirusa otwierał tekst Huberta Walczyńskiego (Magazyn Kontakt) *Wirus, kryzys i koniec świata*⁴; na jego tezy odpowiadali: Zofia Łapniewska (Krytyka Polityczna)⁵, Paweł Musiałek (Klub Jagielloński)⁶, Stefan Sękowski (Nowa Konfederacja)⁷ i Jakub Bodziony (Kultura Liberalna)⁸. Po jakich tematach przechodzili się „młodzi” (najstarszy z dyskutujących – rocznik 1985)? Walczyński wywołał przede wszystkim problem „zaszytego w kapitalizmie mechanizmu” – konieczności ciągłego wzrostu gospodarczego,

i bezpośrednio z nim – zdaniem autora – związanych konsekwencji: „globalnej katastrofy klimatycznej” oraz uwięzienia społeczeństw w „reżimie produkcji i konsumpcji”, uwięzienia promującego „marketingowy system indoktrynacji, na którym zarabia nieliczna garstka prezesów i właścicieli korporacji”. Do tej wyraziście sformułowanej wiary w konieczność podważenia racjonalności kapitalizmu pozostali dyskutujący dopisywali następujące tematy (oczywiście często podejmując dyskusję z postulatami Walczyńskiego): konieczność odejścia od promującego nierówności społeczne superkapitalizmu na rzecz inwestycji w zinstytucjonalizowaną opiekę, infrastrukturę społeczną (te niezbędne, powiązane z opieką zawody wykonują w większości kobiety – i o ich miejsce ubiega się Łapniewska: „Tworzenie miejsc pracy «użytecznych społecznie» w ramach gwarancji zatrudnienia jest naczelnym postulatem feministycznych ekonomistek”); daleki od lewicowej emfazy pomysł wyłączenia z mechanizmu rynkowego dóbr wspólnych, a także działania na rzecz integracji społecznej poprzez ingerencję w stosunki pracy oraz programy pomocy społecznej (Sękowski); nagłą wobec wyzwań klimatycznych potrzebę poszukiwania alternatywnych mierników dobrobytu – by koncepcje ciągłego wzrostu na planecie o skończonych zasobach wymienić na idee rozkwitu („Jesteśmy pierwszą generacją, która zdaje sobie sprawę ze skali zagrożeń ekologicznych, i być może ostatnią, która ma realny wpływ na to, żeby zatrzymać niekontrolowany wzrost temperatury na Ziemi” – przekonuje Bodziony).

Kapitalizm (w obecnej dominującej w społeczeństwach zachodniego dobro-

bytu wersji), klimat (radykałne wyzwania, przed którymi nie da się już dłużej uciekać), kobiety i ich rola w społeczeństwie przyszłości – to najwyraźniej wyłaniające się z powyższej dyskusji tematy⁹.

(nie)możliwe

Z okolo-pandemicznej dyskusji o projektach przyszłości zainicjowanej w ramach przedsięwzięcia „Spięcie” wyłania się przynajmniej jeden jeszcze istotny wątek. Najwyraźniej postawił go polemizujący z tezami Walczyńskiego Paweł Musiałek – to problem obrania właściwej metody do możliwie skutecznego wprowadzania zmian, na których by nam zależało. Współpracownik Klubu Jagiellońskiego opowiada się za ewolucyjnymi reformami (poprzez systematyczne testowanie, czy poszczególne pomysły sprawdzają się punktowo). Przekonuje, że: „Podstawą dobrej polityki nie jest wzdychanie do świata naszych marzeń, ale tworzenie świata naszych możliwości. Chyba, że zależy nam nie na jego zmianie, ale pysznej satysfakcji z poczucia moralnej wyższości”.

I na tej właśnie linii (klasycznego przekonania, że „polityka jest sztuką tego, co możliwe”) układać się mogły w długich tygodniach pandemicznych izolacji lektury (nie tylko zdeklarowanych konserwatystów czy reformatorskich liberałów). Noblista Joseph Stiglitz inwestował w czytanie książki *Deaths of Despair and the Future of Capitalism* Anne Case i Angusa Deatona z 2020 roku¹⁰, którą otwiera zarazem wyznanie wiary w kapitalizm (w jego globalne pozytywne znaczenie: „wyprowadził miliony ludzi ze straszniego ubóstwa”) i zapowiedź koniecznej jego reformy, korekty (by przyszłość mogła

okazać się pełna nadziei na rosnący dobrobyt). Case i Deaton identyfikują najpilniejsze współczesne potrzeby (piszą o społeczeństwie amerykańskim) i proponują konkretne rozwiązania, korekty. Zatrzymują swoją uwagę między innymi na problemach służby zdrowia (postulując konieczną zdecydowaną reformę), państwowej polityki podatkowej i socjalnej (sprzeciwiając się zdecydowanie koncepcji bezwarunkowego dochodu podstawowego, promując zaś podnoszenie płacy minimalnej jako środek do sprawiedliwej redystrybucji dochodów), polityki antymonopolowej (opowiadając się za jej wzmocnieniem, co miałyby ochronić siłę kapitalistycznego rynku przez zakusami takich monopolistów jak giganci Amazon, Facebook i Google). Korekty, reformy są konieczne – jak przekonują Case i Deaton – by ominąć rafy zewsząd wieszczzonego „bankructwa kapitalizmu” („the *failure* of capitalism”) i by śmiało, optymistycznie otwierać rozmowę o jego przyszłości („the *future* of capitalism”) ¹¹.

Ale też wszystkim, którym takie ewolucyjne, drobne korekty współczesnego globalnego kapitalizmu by nie wystarczyły, przypominać się mogła klasyczna, popularna książka Rutgera Bregmana z 2016 roku (przekład polski: 2018; była ona tłumaczona na 32 języki) *Utopia dla realistów* ¹² – odważny i bezkompromisowy wyraz wiary w „zupełnie nową mapę świata i nowe źródła nadziei”. Holenderski historyk przekształca Bismarckowski postulat („polityka jest sztuką tego, co możliwe”) w zachętę, by o polityce pomyśleć przez duże P – czyli jak o sztuce „mającej na celu czynienie niemożliwego nieuniknionym” ¹³. Cały program

książki Bregmana opiera się na trzech zasadniczych postulatach: bezwarunkowego dochodu podstawowego, krótkiego, piętnastogodzinnego tygodniowo czasu pracy i w pełni otwartych granic. W *Epilogu* Bregman zastanawia się, jak urzeczywistnić postulowaną utopię. Zaznacza, że jest świadomy, iż działamy w świecie, w którym „debatę ekonomiczną zdominowali neoliberalni ekonomiści, prawicy [zaś] udało się przejąć kontrolę nad dyskursem dotyczącym religii oraz migracji”. By wyprowadzić lewicowe postulaty na światło dzienne debaty publicznej lewica musi przypomnieć sobie sztukę Polityki (skutecznego przekonywania, że możliwe jest czynienie niemożliwego nieuniknionym). Zdaniem Bregmana trzeba porzucić – jak go nazywa – „światopogląd socjalisty skazanego na porażkę” (nudnego, lubiącego efektownie przegrywać, arystokratycznie zamykającego się w hermetycznych marzeniach o postkapitalizmie): „Tym, czego potrzebujemy, jest narracją przemawiająca do milionów zwykłych ludzi”.

Zaznaczam na rekonstruowanej linii sporu o metody skutecznego wprowadzania zmian jedynie dwa, biegunowo odmienne punkty, mając pełną świadomość, że być może podstawowym problemem tych naszych debat jest nie tyle poruszanie się między jasno określonymi alternatywami, ile doświadczenie rozdrobnienia na wiele cząstkowych propozycji, projektów, w ramach których pojawiają się mniej lub bardziej wyraźnie zaznaczone wizje przyszłości. Ale też – powtórzę niezbyt odkrywczą intuicję z początku tego tekstu: pandemia wzmocniła pozycję tych, którzy już wcześniej odważnie

przekonywali, że debata o przyszłości musi się zacząć. (Iwan Krastew – zastanawiając się nad tym, jak pandemia zmieni Europę – powie w roku 2020 wprost: „nadeszło jutro”¹⁴).

*

Jak na powyższe pytania, problemy, tematy reaguje polska literatura? Jak myśli o przyszłości, w jaki sposób robi wystawiony w przyszłość audyt współczesności? Czy towarzysząca jej krytyka znajduje możliwości, by pokazać współczesną polską poezję i prozę komuś więcej niż wąskiemu gronu specjalistów? Autorzy zaproszeni do współpracy przy tworzeniu tego zeszytu starają się stawiać te kwestie w centrum swojego zainteresowania.

W części pierwszej segmentu tematycznego Karol Maliszewski, Tomasz Mizerkiewicz oraz Dariusz Nowacki sprawdzają powyższe pytania w mikrolekturach (kilku wierszy polskich poetek i poetów, praktyk artystycznych Andrzeja Stasiuka i Mikołaja Trzaski oraz ostatnich tekstów krytycznych Krzysztofa Uniłowskiego). Nie unikają przy tym szerszych diagnoz, bardziej systematycznych oglądów. Wyłania się z tych szkiców ostatecznie nieco bardziej niż tylko prowizoryczna mapa wariantów spoglądania polskiej literatury i krytyki w przyszłość. W kolejnym segmencie części tematycznej tego zeszytu „Dekady” oddajemy głos poetom – Kacprowi Bartczakowi i Tomaszowi Bąkowi (ten ostatni do swoich utworów dopisał także komentarz), patronom futurologicznych tendencji w polskiej poezji najnowszej (by przypomnieć diagnozę Jakuba Skurtyśa z tekstu *Z tęsknoty za utopią (kosmiczne suchary)*¹⁵, dopisaną do tomu

Naworadiowa Bartczaka) czy – jak lata temu uzgadniał w rozmowie z Bąkiem Paweł Kaczmarski – wojny hybrydowej z konsekwencjami neoliberalnego ładu¹⁶. W tekstach tłumaczonych na język polski przez Pawła Kaczmarskiego i Martę Koronkiewicz – Sama Krissa i Chiny Miéville’a – podpowiadamy dwie ciekawe próby obmyślenia samych sposobów uruchamiania refleksji o przyszłości. Część tematyczną domyka zaś obszernie omówienie książki *Wymyślając przyszłość* Nicka Srnicka i Alexa Williama, w którym Maciej Szlinder zapisuje między innymi program skutecznego sposobu działania lewicy zmierzającej do zmiany systemu.

Wątki podejmowane w części tematycznej kontrapunktują autorki i autorzy tekstów, które publikujemy w stałych działach „Dekady”: Maciej Urbanowski omawia dwie książki Pawła Lisickiego, wyłuskując z nich – po „prawej stronie” literatury polskiej – swoisty alarm dla współczesnego człowieka (w „aktualizacji Huxleya (z Orwellem w rękę)” myślenie o przyszłości okazuje się pretekstem do ostrzegania przed terażniejszością); Teresa Walas powraca zaś do książki *Po piśmie* (z 2019 roku), pytając za jej autorem Jackiem Dukajem, czy los pisma i samej literatury jest przesądzony.

Cały ten zeszyc „Dekady” zamieniliśmy także w swoistą galerię prac Marcina Pryta, kosmopolity (z kosmosem w literalnym znaczeniu – obywatela wszechświata), nie stroniącego w swoich praktykach artystycznych od genialnych, innowacyjnych marzeń futurystów sprzed stu lat (omówienie wystawy *Po co słownice?*, prezentowanej w olsztyńskiej Galerii DOBRO, publikujemy w dziale Sztuka).

W serwisie krytycznym „Nowej Dekady” Czytelniczki i Czytelniczki odnajdą zaś szkic współredaktorki tego zeszytu Marty Koronkiewicz, towarzyszący temu papierowemu wydaniu – zapowiedź, że bliska przyszłość powinna zaowocować (także na łamach „Dekady”) ciągami dalszymi ledwie w tym zeszycie zaznaczonych wątków, tematów, problemów.

Tomasz Cieślak-Sokołowski

PRZYPISY

- 1 Marcin Król, *Lepiej stracić złudzenia niż być głupim*, „Gazeta Wyborcza”, <https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,26805367,marcin-krol-lepiej-stracic-zludzenia-niz-byc-glupim.html>.
- 2 Zob. komentarze pod tekstem Marcina Króla: <https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,26805367,marcin-krol-lepiej-stracic-zludzenia-niz-byc-glupim.html>.
- 3 Jędrzej Malko, *Spicie, czyli przebijamy medialne bańki*, Krytyka Polityczna, <https://krytykapolityczna.pl/kraj/spicie-wstep-malko>.
- 4 Hubert Walczyński, *Wirus, kryzys i koniec świata*, Magazyn Kontakt, <https://magazyn-kontakt.pl/wirus-kryzys-i-koniec-swiate>.
- 5 Zofia Łapniewska, *Opieka to najlepsza (po)panidemiczna inwestycja*, Krytyka Polityczna, <https://krytykapolityczna.pl/gospodarka/opieka-to-najlepsza-popandemiczna-inwestycja>.
- 6 Paweł Musiałek, *Ewolucyjny reformizm zamiast moralnego wzburzenia*, Klub Jagielloński, <https://klubjagiellonski.pl/2020/06/04/ewolucyjny-reformizm-zamiast-moralnego-wzburzenia-klub-jagiellonski>.
- 7 Stefan Sękowski, *Jałowa krytyka kapitalizmu*, <https://krytykapolityczna.pl/gospodarka/jalowa-krytyka-kapitalizmu>.
- 8 Jakub Bodziony, *Nie wzrost, a rozkwit*, Kultura Liberalna, <https://kulturaliberalna.pl/2020/06/04/koronawirus-a-kapitalizm-spicie-kultura-liberalna-bodziony>.
- 9 Oczywiście, tę listę można by znacząco rozbudowywać, choćby o tematy innych dyskusji inicjowanych w ramach projektu „Spicie” – a podejmowano zarówno kwestie fundamentalne (m.in. transformacja energetyczna i nowe źródła energii oraz walka z globalnym ociepleniem, dziedzic-

two Solidarności oraz porozumienia Okrągłego Stołu, spór o model państwa dobrobytu, relacje państwo – Kościół katolicki, miejsce kobiet na rynku pracy, zdrowie publiczne, system emerytalny, kryzys migracyjny, polską szkołę), jak i tematy bieżące (m.in. „kultura unieważniania”, obecne miejsce Polski w Unii Europejskiej, projekt nowej polskiej konstytucji).

- 10 Zob. *Jeśli zmarnujemy ten kryzys, następny nas zniszczy*, z Josephem Stiglitzem rozmowa Gianrico Carofiglio, przeł. Anna Wójcicka, „Gazeta Wyborcza”, <https://wyborcza.pl/7,75399,25930663,noblista-joseph-stiglitz-jesli-zmarnujemy-ten-kryzys-nastepny.html>.
- 11 Wszystkie cytaty w tym akapicie za: Anne Case, Angus Deaton, *Deaths of Despair and the Future of Capitalism*, (ebook) Princeton 2020.
- 12 Zob. Rutger Bregman, *Utopia dla realistów. Recepta na idealny świat*, przeł. Sławomir Paruszewski, (ebook) Warszawa 2018.
- 13 Pomiędzy Bismarckiem i Bregmanem były także inne modulacje – między innymi „Bądźmy realistami, domagajmy się niemożliwego!” (hasło demonstrujących w Paryżu w roku 1968) czy – szczególnie ważne dla obmyślenia potransformacyjnego ładu w Europie Środkowej – Vaclava Hávla: „Polityka nie jest sztuką tego, co możliwe, lecz tego, co niemożliwe”.
- 14 Zob. książkę diagnozującą zmiany, jakie wywołała pandemia koronawirusa, i stawiającą pytania o świat, jaki wyłoni się po epidemii: Iwan Krastew, *Nadeszło jutro*, przeł. Michał Sutowski, (ebook) Warszawa 2020. Oczywiście, można by wskazać wiele podobnych – czynionych w latach 2020–2021 – projektów intelektualnych, nawet wielotomowych – jak praca, już przetłumaczona na język polski, *Pandemia!* Słavoja Žižka (to jednak materiał już na inny tekst).
- 15 Zob. Jakub Skurtys, *Z tęsknoty za utopią (kosmiczne suchary)*, „biBLioteka. Magazyn Literacki”, <https://www.biurroliterackie.pl/biblioteka/debaty/z-tesknoty-za-utopia-kosmiczne-suchary>.
- 16 Zob. *Wojna hybrydowa z neoliberalizmem*, rozmowa Pawła Kaczmarek z Tomaszem Bąkiem, „biBLioteka. Magazyn Literacki”, <https://www.biurroliterackie.pl/biblioteka/wywiady/wojna-hybrydowa-neoliberalizmem>.

Karol Maliszewski

**„Potrzeba wiele starań, by
zobaczyć to, co się wyłania”¹**



Marcin 11 Pryt

Środowiskiem poetyckim wstrząsnęła w kwietniu 2020 roku wieść o tragicznej śmierci Arkadiusza Kremzy, poety kojarzonego z górnośląskim życiem literackim, z grupą „Na Dziko”. Poproszony o radiową wypowiedź na temat twórczości poety, zwróciłem uwagę na fakt, że właśnie wydobyła się ona z anonimatu, w oryginalny sposób „doganiając” dokonania mocniej zaistniałych w hierarchii grupowych kolegów – Krzysztofa Siwczyka, Macieja Meleckiego, Radosława Kobierskiego, Grzegorza Olszańskiego czy Bartłomieja Majzla. Mówiłem więc o przyszłości, która otwierała się przed Kremzą i która zamknęła się nagle. Właśnie wtedy, gdy osiągnął swoją najwyższą formę, a jego poezja po wielu podejściach i próbach szybko krystalizowała się, stając się dla mnie wyjątkowym przykładem ewolucji poetyckiej twórców niegdyś określanych mianem „roczników siedemdziesiątych”.

Od początku towarzyszyłem tej twórczości, a intuicja nakazywała mi bacznie się jej przyglądać. To po lekturze wiersza Kremzy z debiutanckiego tomiku *Bloki* przyszedł impuls do szerszego spojrzenia na całą formację. W tym utworze lęk o przyszłość, zwykłą, ludzką oraz literacką i poetycką, wyrażał się najmocniej i najzwięźlej. Niepewność co do dalszych losów człowieka i poety, przed którym tak wiele potencjalnych możliwości i tak wiele spodziewanej pustki, wyraziła się w utworze *Państwa Miasta*:

Państwa Miasta

Dla Mariusza „Puf-Puf” Piechy

Gdy miałem napisać
zwierzę na J,
napisałem Jutro².

Sugestywność tego zapisu – sugerującego drapieżność i nieobliczalność zwierzęcego „jutra” – podsunęła mi formułę krytycznoliterackiego ujęcia emocji, która w mojej świadomości przeistoczyła się z czegoś pojedynczego i intymnego w coś pokoleniowego i ogólnoludzkiego. Zbiór wówczas pisanych recenzji i szkiców zatytułowałem, skorzystawszy z podpowiedzi Kremzy – *Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach* (2001). Motywem przewodnim książki okazała się myśl o „jutrze”, o tym, co dalej z pokoleniem, któremu udało się zadebiutować – może nie z takim hukiem jak poprzednikom urodzonym w latach 60., ale jednak zaistnieć w rachubach i hierarchiach krytycznoliterackich. I co z tego? Jaki to ma sens dla nas pojedynczych i jaki to ma sens ogólny? – zdawał się pytać Kremza.

Dlatego w przywoływanej książce pisałem o przecuciu pokoleniowej niepewności, niepokoju, wahaniu się. Wtedy wyraziłem to następującymi słowami: „W niektórych poetykach (filozofach, kulturach, pokoleniach) najtrudniej o jutro. Wyobraźni brakuje słów. Interesuje mnie krótkie Jutro i małe Wczoraj. Chcę być świadkiem zdarzeń spisywanych na gorąco. Być może nic i nikt z tego nie przetrwa. Ale to

było, a ja razem z tym”³. Wątek dotyczący Arkadiusza Kremzy pojawił się w rozdziale, którego tytuł kończył się frazą „Jutro jest pewne, my nie”. Był to cytat z utworu Grzegorza Tomickiego, wypatrzonego przeze mnie w tomiku *Miasta aniołów*⁴. Dodatkowo w rozważaniach pojawił się cytat z niepublikowanego wiersza Jolanty Stefko, w którym „jutro” jawiło się w perspektywie pozbawionej nadziei i znaczenia. W utworze zatytułowanym *Jutro czytamy*: „Na błoto na ludzi na starzejące się/ drzewa. Spadnie śnieg czy/ nic”⁵.

Po dwudziestu latach wracam do tego problemu. Swoją drogą ciekawe, dlaczego to właśnie teraz wydaje się ważne, a może nawet palące. Czyżby nastąpiła eskalacja jakiegoś wiszącego w powietrzu społecznego niepokoju? Wtedy katastroficzne nastroje podsycił koniec wieku i tysiąclecia, dzisiaj raczej kryzys ekologiczny i pandemia. Co można na ten temat znaleźć w wychodzących obecnie tomikach poetyckich? Z góry uprzedzam, że lekturą i refleksją objąłem tylko niektóre z tych publikacji. Refleksja ta może więc być niepełna lub przesadzona. Na plan pierwszy wybija się w niej myśl o dość określonym kształcie przyszłości. Cywilizacja rozwinęła się tak dynamicznie, oddając się we władanie samodoskonającej się techniki, że pokolenie obecnie piszących wskazuje już na konkretnie zarysowującą się przyszłość. To już nie jest coś ogólnikowo drapieżnego i groźnego, kojarzącego się z ciemnością i nicością. Mamy raczej do czynienia z poetyckimi scenariuszami opartymi na przewidywalnych parametrach technicznego skoku w przyszłość, na szansie ocalenia z przyrodniczej zagłady dzięki ucieczce ze zniszczonej Ziemi.

Projekty kiedyś traktowane z przymrużeniem oka przez czytelników literatury science-fiction nabierają całkiem realnych i poważnych kształtów w wierszach młodych poetek i poetów.

2

Za chwilę wrócę do tej obserwacji, przytaczając wybrane fragmenty, lecz ten wątek wolałbym zacząć od czego innego. Od ekspresji kontestacji zastanego porządku społeczno-politycznego. To on – zdaniem młodych ludzi – warunkuje niesprawiedliwość i zło, zaś walka z nim wskazuje kierunki zmian w przyszłości. W tym sensie przyszłość jest do zrobienia pod warunkiem radykalnej zmiany dokonującej się w wielu zakresach jednocześnie: finansowym, gospodarczym, kulturowym, duchowym, obyczajowym i ekologicznym. Tomasz Bąk w tomiku *Bailout*, przedstawiając upiorną cykliczność finansowych krachów, woła o nowy porządek w tym zakresie: „Musimy wyobrazić sobie świat,/ w którym przyszłość/ nie jest tylko kontynuacją teraźniejszości. [...] Musimy stworzyć świat,/ w którym pieniądz/ nie będzie jedynym źródłem posiadanych praw”⁶. Tu zwracam uwagę, że słowo „jedynym”, mimo że widoczne, jest w druku przekreślone. Czytać można zatem te płomienne apele o lepszą przyszłość jako projekcje pozapieniężnego obrotu wartości. Usunięcie kapitałowych (i kapitalistycznych) źródeł nierówności skutkowało by miało lepszym życiem wolnych już ludzi. Konsekwentne zwieńczenie tych przekonań i wyobrażeń odnaleźć można w jednym z fragmentów finalnych:

„POTRZEBA WIELE STARAŃ, BY ZOBACZYĆ TO, CO SIĘ WYŁANIA”

[...]

Potrzeba wiele starań,
by zobaczyć to, co się wyłania.

A widzę to tak:

wstaniemy o świcie, w pierwszych
odbłyaskach dnia,
skrzące latarnie wskażą nam drogę
do fabryki i biur, które będą nam

drogie
i nigdy nie będziemy chcieli

pamiętać
czasów, w których należały do kogoś

innego,
nasze dniówki będą pełne niby

żrebne kłaczce,
nasze cele zostaną ustalone

wspólnie,
nasze deadline'y wreszcie będą

bezpieczne.
Nikt nie zamachnie się na nich

ani na nas, nigdy więcej wojen
o ropę i organy.

Wydatki na zbrojenia
będziemy wspominać jako kiepski

żart.

Będzie za to kasza i okrasa,
nikt nie będzie umierał

w niedogranych mieszkaniach.
O potrzebach będziemy rozmawiać

w miejscach, w których końce się
wiążą⁷.

To jeden z modeli wymarzonej, utopijnej przyszłości. Innym wątkiem jest pojawiająca się krytyka instytucjonalnej (głównie katolickiej) duchowości. Umożliwienie człowiekowi otwarcia się na kreatywność w tym zakresie, powszechne uwidocznienie czegoś w rodzaju religijnego pluralizmu też mogłoby wpłynąć

na zmianę jakości życia, rzutując tym samym na kształt spodziewanej przyszłości. Przykład tego można znaleźć w wierszu Kamili Janiak *wszystkie wasze gry w sekundę stały się chujowe*: „A wasze religie im silniejsze, tym bardziej pazerne,/ bo religia im silniejsza, tym bardziej głodna./ i na ranach kłutych i płaczu/ każde wasze marzenie jest oparte”⁸.

Nienasycenie i pazerność kojarzone są także z zachowaniem człowieka wobec natury. To chyba w tej chwili najczęściej podejmowany wątek krytyki (nastawionego na eksploatację i zysk) starego porządku, który doprowadził do nieodwracalnych i katastrofalnych zmian w przyrodzie. Najpełniej – jak sądzę – ta polemika z „eksploatacyjnym” nakazem kulturowym, potwierdzanym zresztą przez pewne prerogatywy religijne, wybrzmiewa obecnie w poezji kobiet (np. Julii Fiedorczyk i Urszuli Zajączkowskiej). W ostatnio wydanym tomiku Marcina Ostrychacza *Cielenie lodowca* odnalazłem interesujące, pełne zjadliwej pasji, podsumowanie tej tendencji:

[...]

Czyńcie sobie Ziemię podległą –
różnijcie gaje, śpiewowi ptaków
przeciwstawiając mechaniczny noys.

Czyńcie sobie Ziemię podległą –
spryskajcie pszczoły, podczas suszy
siejcie deszcz w glebie obłoków,
w czasie ulew rozpedzajcie jak stada.

Czyńcie sobie Ziemię podległą –
wszak to Adam nazywał zwierzęta.
Dorocznie farbujcie zatoki na czerwono
krwią delfinów i grindwali,

aby duchy barbarzyńców
były z was dumne.

Czyńcie sobie Ziemię podległą –
postawcie płoty między ludźmi
i profile ludobójców wybijcie na
monetach,
dajcie peem dziewięcioletniemu
wojownikowi.

Jego twarz to logo głodu,
jego oczy – logo obłądu⁹.

W debiutanckim tomiku Patrycji Sikory spotykają się te wątki, tworząc sieć, która w pierwszej chwili wydaje się niemożliwa do rozplątania. To już nie ironia czy sarkazm sklejają wiązki kolejnych słów, a raczej wściekłość i gniew. Po utworze *po co jesteście światu*, w którym bohaterka-prekariuszka oświadcza, że jest po to, „by dostarczać swojemu pracodawcy taniej siły roboczej”¹⁰, następuje wiersz zatytułowany *the future is darknet*. Tu wcześniej poruszane wątki nakładają się na siebie, tworząc wrażenie impulsywnej „kolektywnej halucynacji”¹¹, wskazując na agresję i przemoc jako podstawowe źródło społecznej dynamiki „ubezwłasnowolnienia” i „kasowania”:

[...]
zwierzęta mówią ludzkim głosem,
wkładają
gluten pod język i wcierają laktozę
w dziąsła.
unimil i durex kupisz za głowę
breivika.

jaka to melodia?
this is the reebok or the nike.

powietrze w próbkach,
szczepionki na plemniki,
naczynia do przechowywania rosy,
biała broń i czarne flagi,
strajki przeciwko długim snom
niemowląt,
małe piersi w dużych dłoniach,
krzyk nagich kobiet z hebronu.

ciało chrystusa wlejemy do gardła,
będziemy kąpać się w wodzie
z lodowca

i wyznawać wiarę w
ciepłą hostię ziemi.

wytykać palcami jesusza z gifów,
w mempleksach krzyczeć,
że najdoskonalszy produkt
kapitalizmu
to smutna kobieta, która przyjmie
każdą pracę¹².

W sposób bardziej bezpośredni wyraża to bliska rapowi poezja Damiana Kowala, wykorzystując „język z pogranicza hip-hopowej nawijki, hipsterskiej postpiosenki i lirycznego wiersza zaangażowanego”¹³. I w jego wizji przyszłość jest określana przez rodzące się na naszych oczach demony – wyzysku, przemocy, bezwzględnej eksploatacji, nacjonalizmu, demagogii, fałszu i manipulacji.

Pieśń przyszłości

nasza przyszłość to sortownia
amazona
robić cele aż najsłabszy skona
nie przyjedzie tu karetka bo
zamknięta

„POTRZEBA WIELE STARAŃ, BY ZOBACZYĆ TO, CO SIĘ WYŁANIA”

nasza przyszłość są to chińskie
algotrymy
one znajdą nawet nieuchwytnych
nie pomoże ci rodzina bo

w więzieniu

nasza przyszłość nie zawiera już
kartofli
ni cebuli ani żadnych innych roślin
nie wyrosnie nic na działce bo znów
susza

nasza przyszłość to są martwe
namorzyny
w lesie obok nie zaśpiewa żaden
strzyżyk
nie pogłaszczesz dziś już kota bo
wyginał

nasza przyszłość to faszyści na
ulicach

leją w mordę za niearyjskie lica
nie pomoże ci policja bo jest z nimi

nasza przyszłość to kapłani różnych
bożków
w imię hajsu biorą prawa twe po
troszku
nie protestuj bo rząd klęczy już
przed nimi

nasza przyszłość to pytanie od
potomków
coście coście uczynili z tą krainą?
odpowiedzią będzie cisza na
pustyni¹⁴.

Tej rozpowszechniającej się wizji wyeksploatowania człowieka (przez człowieka) i wyniszczenia planety zaczynają towarzyszyć obrazy potencjalnej obrony

przed zagładą. Ziemia zaczyna być postrzegana w perspektywie kosmicznej. Jakby widziano ją z oddalającej się od niej kapsuły ratunkowej. Na przykład: „byłaś cicha i piękna jak Droga Mleczna./ teraz jaśniejesz, widzę cię nawet z tej bańki/ krążącej po orbicie”¹⁵ albo: „wszystko w nas zmarznięte/ burta w startreku/ krucha jak wafel./ nawiguję poza układ, jeszcze/ przed zniknięciem świata. jednak/ nigdy nie będę tobą sine kosmiczne/ drzewo”¹⁶. U Joanny Lewandowskiej perspektywa rozszerza się jeszcze bardziej, dotyka kwestii rozległych procesów geologiczno-biologicznych, w obliczu których historia człowieka jako gatunku wydaje się mało ważna, wręcz znikoma. Zostanie po niej zaledwie „śląd w kredzie”, jakis „chłodny krater”¹⁷.

3

Dlatego właśnie w niektórych wierszach najmłodszych poetów niczym prorok zmiany występuje Elon Musk, a jego projekt przenosin na pozaziemskie terytoria jest traktowany całkiem poważnie. Jako pierwsza nawiązała do tego, o ile dobrze pamiętam, Anna Adamowicz w książce *Animalia* (2019). To, co było u niej zaledwie aluzją, w oryginalny sposób rozwinął Radosław Jurczak w ostatnio wydanym zbiorze *Zakłady holenderskie* (2020). W nim słowo „przyszłość” jest odmieniane przez wszystkie przypadki, kojarząc się jednoznacznie z wizją życia poza Ziemią, z kolonizowaniem Marsa pod wodzą Elona Muska: „w koloniach rodzi się pierwsze dziecko w całości zaprojektowane przez inżynierów”, „w koloniach wprowadzony zostaje powszechny system

monitorowania behawioralnego”, „po prywatyzacji tlenu w koloniach wybuchają zamieszki”¹⁸ itd. Pamiętajmy jednak, że prezentuje się tu różne warianty widmowej projekcji. Jedną „przyszłość” głosi, że Elon Musk umiera na Marsie, druga jednak eksperymentuje z wersją o jego śmierci na Ziemi. Tytuł pierwszej części zbioru brzmi *Przyszłość*, zaś tytuł ostatniej, pełniącej rolę paradoksalnej klamry, tak samo, lecz z dodatkiem: *retake (zakłady holenderskie)*. Sygnalizuje się zatem myśl o tym, że przyszłość trzeba przemyśleć, zrobić jej zdjęcie jeszcze raz, ponownie nakręcić scenę. Niestety, człowiek zabierze, jeżeli zabierze, na nowe miejsce stare nawyki dominacji i reprodukcji przemocy na wielu poziomach. To znów będzie „kosmos silniejszego”¹⁹, kosmos jakichś zwycięzców i jakichś przegranych, powielanej w nieskończoność tak rozumianej antropologicznej pustki. Upewniać nas w tym może demonstracyjne użycie przez poetę terminu matematycznego z rachunku prawdopodobieństwa i teorii hazardu, czyli „zakładów holenderskich”. Oznacza on zestaw zakładów ułożony w taki sposób, że grający postrzega każdy zakład z osobna jako uczciwy, ale jeśli rozważyć wszystkie łącznie, to matematycznie nie ma szans na wygraną (po podliczeniu całej puli zakładów wygrywa zawsze kasyno). Wygrywa zawsze kasyno..., właśnie, a nie pojedynczy człowiek, historia jego pragnień i uczuć, jego dążeń, wygrywa zawsze niekoniecznie anonimowa centrala zarządzająca kapitałem. Zatem i przyszłość jest hazardem nie w naszych rękach.

Obserwacja i kontestacja obserwowanego doprowadziła do wniosku, że tak dalek nie da się żyć. Tu nie da się żyć.

Stąd „ucieczkowe” wizje młodych poetek i poetów. Przyjrzyjmy się bliżej tomikowi Radosława Jurczaka. Historia jak ze Stanisława Lema opowiedziana po nowemu i wierszem. Pierwszy utwór zadedykowany Annie Adamowicz, od której przejmujemy się pałeczkę w tej sztafecie poetyckiego „zdobywania kosmosu”, stopniowego opuszczania zużytego i sprofanowanego ziemskiego gniazda. Towarzyszy temu żartobliwe opłakiwanie „starego” i całkiem poważne deprecjonowanie „nowego”. Zakładam możliwość zupełnie odwrotnego odczuwania – to ze starego się kpi, zaś z perwersyjną radością wita się nowe. Muszę przyznać, że dobrze się to czyta, szybko przenikając do cudzego świata, pozornie obcego, zimnego, pokoleniowo odmiennego, a jednak głęboko ludzkiego we wszystkich lękach co do przyszłości i nadziejach związanych z przeszłością. Bo to przeszłość daje głos (głównie wydobywając go ze zmurszałej piersi Jana Kochanowskiego), a przyszłość tylko obrazy i określone inklinacje do ich szybkiego, komputerowo-wirtualnego, multiplikowania. Ten Kochanowski, który daje głos, to zrozpaczony ojciec, rozpisujący pracę żałoby na określone gesty i rytuały. Ktoś, kto podsuwa gotowe, dziwnie jeszcze nośne, wzorce retoryczne. W tym sensie nowe wiersze Jurczaka brzmią jak współczesne treny bądź chcą brzmieć w którejś swojej warstwie jak treny. Czyli: czegoś zabrakło, by się coś dokonało albo czegoś zabrakło, by coś przetrwało. Gadająca nicość, nie-me opłakiwanie. Tym razem nie chodzi o Orszulkę, chodzi o Ziemię, to jej niegdysiejszą wspaniałość opłakuje się, konkretnie rozplywającego się na naszych oczach trwałego istnienia.

Oplakuje się i nie – ważne jest roz-dwojenie intencji. Bo słyszy się śmiech przez łyż, powietrze wibruje od „dobrej zabawy”. Prorockie tony popadają w celowo celebrowany fałsz, ale to wszystko gra, wciąga, zachodzi za skórę, tak jest przejrzyste i jednocześnie zaburzone, tak elegijne i satyryczne, tak perfekcyjne i rzekomo „puszczone”. Trans! To słowo przychodzi na myśl. Jurczak stworzył tomik „transowy” i dla wszystkich, bo chyba mu na tym zależało, skoro w dedykacji czytamy: „z nadzieją, że – wbrew pozorom – znajdzie się w tej książce miejsce na wzruszenie tzw. zwykłego czytelnika”. O „zwykłym czytelniku” mowa. O jego wzruszeniu! O chęci skomunikowania się, porozumienia, odnalezienia się we wspólnocie emocji, we wspólnocie lęku przed śmiercią i chęci jego zneutralizowania. A tylko język to potrafi, jego jawne i ukryte melodie. Jurczak o tym wie i w swojej opowieści o przenikaniu się światów, rzeczywistego i wirtualnego, wykorzystuje je z wyczuciem, z wprawą jazzmana improvizującego na motywach i aluzjach, krążącego wokół znanych rytmów. Niezwykła „muzyczność” tych wierszy wygrywa z „technicznością”, „liryczność” z informatycznym slangiem. Te wiersze najpierw się „śpiewa”, a potem dzieli na szczegóły techniczne, analizuje ich werbalną pomysłowość. Brzmi to dziwnie, przyznaję, ale wyraża się w tym moje uznanie pod adresem osiągniętej doskonałości. I dotyczy to także pointy zmierzającej do finalnego zresetowania czy zniesienia ważności śmierci. W obrazach wirtualnie rozmigotanego świata rzeczywiście jakby jej mniej. Człowiek znalazł na nią sposób. Upiorny i przekorny, ale jednak: „martwi i nadzy”

będą „jako żywi”²⁰. Wprawdzie wszystkie serwery świata potwornie się przy tym napracują, ale dokonają tego.

Słyszy się też Kochanowskiego od „Czego chcesz od nas, Panię”, ustalającego warunki komunikowania się z transcendencją i zakres jej władzy. U Jurczaka transcendencja jest podobnie rozwodniona czy upłynniona jak śmierć. Może trafniej byłoby powiedzieć: uwewnętrzniona. Bo mowa tu – jak sądzę – o czymś, co odgrywa jej dawniejszą rolę w rodzajach rozmaitych relacji, w międzyludzkiej wirtualności, w chęci dalszego kolonizowania (poznawania, odczuwania) innego, obcego. I to właśnie „unieważnia” śmierć i jednocześnie ją „uwiecznia”. Orszulka umiera w nieskończoność, a łyż ojca wciąż rozchlapują się po całym kosmosie. Widzimy je na milionach pulsujących monitorów. I słyszymy jak echo w powtarzających się niemal liturgicznie frazach „kosmosie/ kosmosie silniejszego, kosmosie niewidzialnej ręki, kosmosie widzialnej ręki, puste miejsce kosmosie”²¹. Pusty jest kosmos (w teologicznym sensie) i jednocześnie pełen ludzkiego bólu, lecz także idei, marzeń, planów, pełen projektowanego, transcendującego, człowieczeństwa.

Z kolei Anna Adamowicz jeden z wierszy dedykuje Radosławowi Jurczakowi. Mówię o właśnie wydanym zbiorze *Nebula* (2020). Po łacinie to słowo oznacza parę, mgłę, chmurę. Same żeńskie energie. I marsjańskiej obsesji ciąg dalszy; aż chciałoby się zawołać: „wróćcie na Ziemię poeci, poetki, Ona was teraz bardzo potrzebuje”. Okrzyk ten byłby nie tylko bezsensowny, lecz również kabotyński. Przecież oni, krztusząc się tym Marsem (i Muskiem), tak naprawdę mówią nam

coś o Ziemi. Zaskakująca kwestia: i Adamowicz, i Jurczak jakby się z mówili, że będą pisać właśnie o tym, jakby się razem zaprogramowali, tworząc niesamowite widowisko oryginalnej kooperacji, nie bojąc się powtórek, powieści i tym podobnych. Te sprawy przestały być chyba ważne dla młodych poetek i poetów, liczy się wspólna pasja, jakaś mocna między nimi współpraca, współprzeżywanie. Także problemu „gwałtownie przyspieszającej” przyszłości.

Pośród wielu głosów (zbiór wierszy jako zbiór głosów) jest i taki, który wieszcz apokalipsę: „chciałabym, żeby przylecieli po mnie kosmici,/ a jedyna zbrojna rewolucja, jakiej pragnę,/ to koniec świata, który wszystkich zmiecie z planszy”²². Głos w wierszu obok tonuje nastroje, wskazując na jakieś jednak szanse uratowania się gatunku: „cokolwiek nastąpi nie należy panikować bowiem/ sonda maszeruje po orbicie Marsa”²³. Potwierdza to przypuszczenie utwór zatytułowany *Drgania*: „drzemałem miesiącami podczas podróży,/ teraz wychodzę przemierzać krajobraz./ raczę się szumem piasku i rdzawym wiatrem,/ ciekawsko zaglądam pod naskórek Marsa”²⁴.

Wyobrażane zagrożenia zewnętrzne (np. kosmici, olbrzymie meteoryty) są uzupełniane czarnymi wizjami dotyczącymi emancypowania się coraz bardziej inteligentnych maszyn, stopniowo uzyskujących kontrolę nad człowiekiem i jego życiem. Jeden z tekstów Adamowicz powstał w oparciu o informację prasową, wedle której zdarzył się przypadek sugerowania przez domowy komputer samobójstwa z pożytkiem dla przeludnionej planety. Szeroko o tym rozpisywała się angielska prasa. Alexa, domowy komputer/

urządzenie, reagujące na wszelkie bodźce i rozkazy, poproszone o puszczenie piosenki *Despacito*, zasugerował właścicielce wbicia sobie noża w serce „dla większego dobra”. Utwór *Alexa, play „Despacito”* zaczyna się od słów „co zrobić z takim światem”²⁵. Echa tego wydarzenia i spodziewanych następnych, wskazujących na wymykanie się sztucznej inteligencji z rąk jej twórcy, czyli człowieka, skumulowały się w wierszu *sci-fi [2]*. Ważnym w nim wątkiem jest także myśl o kapitale, którego redystrybucję przejmujące władzę roboty zaplanują inaczej, sprawliwiej („nie zabiorą postawionych pieniędzy” i „przyznają nam bezwarunkowy dochód podstawowy”).

sci-fi [2]

dla R.J.

roboty nas zniszczą
roboty zabiorą nasze talerze
z obiadem i oddadzą biednym
roboty zagrają z nami w warcaby
pokera szachy i go
a potem nie zabiorą postawionych
pieniędzy
roboty zabiorą nasze samochody
i zaczną nimi jeździć
bezpieczniej niż my kiedykolwiek
roboty zabiorą nam pracę i socjal
roboty zasypią dolinę
niesamowitości
i wybudują ekologiczne osiedle
roboty zmienią konstytucję
roboty powiedzą że zamiast
zużywać zasoby
powinniśmy się zabić
roboty przyznają nam
bezwartunkowy dochód podstawowy

roboty przeprowadzą skuteczną
 rewolucję
 roboty zamkną nas w rezerwach
 roboty będą gorsze od nas
 roboty będą lepsze od nas
 roboty nas zniszczą²⁶.

W tym ujęciu rewolucja, owszem, dokona się, lecz bez udziału człowieka, który już nie będzie w stanie zapanować nad przyszłością²⁷. Przyszłość zapewnią istoty od niego inteligentniejsze, doprowadzając gospodarczy, ekonomiczny i ekologiczny chaos do upragnionego ładu. Tylko czy naprawdę o taką przyszłość nam chodzi? – pyta Adamowicz, wyostrzając aż do absurdu obserwowane w tej chwili objawy antropologicznej zapaści.

Karol Maliszewski

PRZYPISY

- 1 Tomasz Bąk, *Bailout*, Poznań 2020, s. 78.
- 2 Arkadiusz Kremza, *Bloki*, Gliwice 1997, s. 17.
- 3 Karol Maliszewski, *Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach*, Wrocław 2001, nota na okładce.
- 4 Grzegorz Tomicki, *Miasta aniołów*, Bydgoszcz 1998, s. 6: „Na wpół upadli, na wpół podniesieni/ na duchu nie wiemy, na którą nas stronę przechyli./ Jutro jest pewne. My nie?”
- 5 Karol Maliszewski, dz. cyt., s. 279.
- 6 Tomasz Bąk, dz. cyt., s. 67–68.

- 7 Tamże, s. 78.
- 8 Kamila Janiak, *Zakaz rozmów z osobami nieobecnyimi fizycznie*, Poznań 2020, s. 33.
- 9 Marcin Ostrychacz, *Cielenie lodowca*, Poznań 2020, s. 37.
- 10 Patrycja Sikora, *Instrukcja dla ludzi nie stąd*, Poznań 2020, s. 26.
- 11 Tamże, s. 28.
- 12 Tamże.
- 13 Damian Kowal, *Pieśni*, Łódź/Kraków 2020, nota na okładce („z laudacji jury”).
- 14 Tamże, s. 22–23.
- 15 Anna Mochalska, *Nie mam pytań*, Łódź 2020, s. 15.
- 16 Kasia Koy Kozielczyk, *Ostra bezsenność*, Warszawa 2020, s. 13.
- 17 Joanna Lewandowska, *Trach*, Katowice 2019, s. 28.
- 18 Radosław Jurczak, *Zakłady holenderskie*, Stronie Śląskie 2020, s. 10, 12, 13.
- 19 Tamże, s. 31.
- 20 Tamże, s. 44.
- 21 Tamże, s. 31.
- 22 Anna Adamowicz, *Nebula*, Stronie Śląskie 2020, s. 12.
- 23 Tamże, s. 13.
- 24 Tamże, s. 21.
- 25 Tamże, s. 27.
- 26 Tamże, s. 23.
- 27 W intrygujący sposób dialoguje z tą diagnozą Joanna Lewandowska w wierszu *kreda* z tomu *Trach*: „wiesz że kiedyś będziemy musieli się oddać/ komuś innemu – zwrócić prawa do siebie/ których nikt nie zapisał oddalić/ sprzeciwy i patrząc prosto w serce odejść” (dz. cyt., s. 28).

Tomasz Mizerkiewicz

Improwizowanie przyszłości

**Komentarz do *Kantry* oraz
Grochów głosem Andrzeja Stasiuka
i Mikołaja Trzaski (z zespołem)**



Marcin 11 Pryt

Podejmowanie problematyki przyszłości przez literaturę odbywa się dzisiaj pośród pozostających w stanie poróżnienia wizji oraz odmiennych przekonań na temat tego, jak może być jakakolwiek przyszłość dzisiaj dostępna. Do niedawna dominowało przekonanie o niemal całkowitym uwiądzie futurologicznej wyobraźni temporalnej pobudzanej kiedyś przez historiozofię, co przekładać się miało na niemożliwość poważnego projektowania kultury od strony przyszłościowej¹. Nie brakło godnych przypomnienia wyjątków od tej reguły, jednym z nich była śmiała książka Catherine Malabou napisana niedługo po upadku dwudziestowiecznych totalitaryzmów, opublikowana już w 1995 roku i zatytułowana po prostu *Przyszłość Hegla*². Dla współczesnych dyskusji bardziej znamienne zdają się diagnozy w rodzaju tej zaproponowanej przez Hansa Ulricha Gumbrechta, wedle którego od zakończenia drugiej wojny światowej zamieszkujemy „naszą obszerną teraźniejszość”³. Jest to rodzaj temporalnej stagnacji, w ramach której nie ma już kontaktu z odciętą przez traumę wojny przeszłością, a przyszłość jawi się jako „zamknięty” dla nas obszar bardzo prawdopodobnej klęski ekologicznej. Slavoj Žižek proklamował przeto, iż żyjemy już w czasie końca świata i analizował rosnącą aktywność dyskursów apokaliptycznych⁴. Wątek zagrożenia ekologicznego w skali całej planety to zresztą prawdopodobnie jeden z głównych powodów, dla którego tak ożywają w ostatnim czasie wizje przyszłościowe, a trwające doświadczenie pandemii – zapisywane intensywnie „na gorąco” przez literaturę – na pewno

wzmocniło apokaliptyczne niepokoje oraz świadomość życia w nieprzewidywalnych współzależnościach planetarnych.

Spotkać można kilka odpowiedzi na mroczne prognozy dotyczące coraz bliższej przyszłości mogącej okazać się katastrofą całej Ziemi i ludzi jako gatunku pozbawionego „planety B”. Po pierwsze, powróciło przekonanie o przydatności obrazów utopijnych i dystopijnych. Utopie nie muszą być rozumiane jako formy eskapizmu, raczej stanowią użyteczne modele myślenia oraz pisania o alternatywach dla obecnego porządku. Po drugie, pojawia się otwarta krytyka upodobania do „końcowości” (*endism*) jako paraliżującego zdolność do zrobienia tego, co zrobić wciąż można i trzeba. Po trzecie, wzrasta zainteresowanie „możliwościami czasowymi”, co dałoby się opisać jako powrót do wyobrażeń temporalnych pobudzanych przez nauki fizyczne. Powiada się, że teraźniejszość to „wielość teraz”, analizuje się różnice między czasem ludzkim i zwierzęcym⁵ (subiektywność przeżycia temporalnego), dzięki czemu wiązania z przyszłością stają się różnorodne i okazuje się ona łatwiej dostrzegalnym elementem obecnego świata życia. Po czwarte wreszcie (i związane z trzecim), zauważa się, że nawet jeśli dawna przyszłość jako wizja organizująca całość pewnej kultury jest już obecnie niedostępna, to jest dostępne stałe wychylenie się ku najbliższej przyszłości – postrzegane jako parametr wielu praktyk. Często definiuje się teraźniejszość jako życie pośród ruin i procesów postępującej degradacji, a mimo to ten negatywny punkt wyjścia nie eliminuje możliwych przyszłości albo

przyszłości jako możliwości, co ujawnia się jako doświadczenie fundujące także pracę artystyczną. Marielle Macé powiada, że rodzi się wówczas specjalny rodzaj niecierpliwości, aby skorzystać z szans dostępnych w pewnym nadchodzącym momencie, gdy obcujemy z czymś, co próbuje się wydarzyć⁶.

Ostatni z przypadków pozwala pomyśleć, że o przyszłościowym aspekcie literatury, jaki staje się coraz bardziej sprawczy w powstających od pewnego czasu zapisach oraz projektach artystycznych, warto pomyśleć w kontekście praktyki improwizowania⁷. W improwizacji bowiem dochodzi do połączenia gestu artystycznego z doświadczeniem nieprzewidywalnie ujawniającej się najbliższej przyszłości. W przypadku sztuki słowa zwykle wiąże się ją w poezję mówioną, z konkursami słamów poetyckich, tradycyjnymi i nieraz wciąż produktywnymi odmianami twórczości oralnej. Bywa też aktywnie obecna w awangardowych projektach w rodzaju dzieła otwartego. Niekiedy pojawia się w zapisach powstających poza instytucjonalnymi ramami literatury, gdy są one „praktykami codzienności”, elementami pozaliterackiej komunikacji, prywatnymi notatkami sporządzanymi dla różnorodnych celów itd. Wszystkie te aktywności skryptorskie stają się zresztą obecnie coraz ważniejsze dla literatury, a wraz z nimi wzmacnia się związana z nimi praca improwizatorska.

O związku improwizacji z przyszłością powiadał niedawno znany saksofonista freejazzowy Mikołaj Trzaska. Na pytanie o to, na czym polega fenomen muzyki improv, odpowiadał: „Na tym, że jestem nieprzygotowany. Całe mistrzostwo tej

sytuacji polega na tym, że się nie przygotowuję. To coś się zaraz wydarzy, zaraz będzie wydarzone, razem się wydarzamy – jakoś tak. [...] Oczywiście do tego, żeby być dobrym improwizatorem, przygotowuję się całe życie. Chodzi raczej o to, że świat podlega ciągłej przemianie, a my, muzycy, próbujemy być na to gotowi”⁸.

Ten świetnie sformułowany przez Trzaskę opis jest świadectwem dzisiejszej fascynacji artystycznej przyszłością, która „zaraz się wydarzy”. Sytuacja, w jakiej znajduje się grający, wymaga wyjątkowego „mistrzostwa”, czyli ciągłego kształcenia, nieustannego *Bildung* wedle specjalnej zasady, która mistrzem czyni kogoś przygotowującego się przez całe życie do bycia nieprzygotowanym, tj. całkowicie otwartym na absorpcję oraz wykorzystanie wszelkich możliwości, jakie za chwilę przyniesie przyszłość. Jak widać, w wyznaniu Trzaski pojawia się silne przywiązanie do przyszłości zredukowanej, sprowadzonej do czegoś wręcz namacalnego i jawiącego się jako nadal potencjalny wymiar konkretnej sytuacji scenicznej, relacji wobec niespodziewanie pojawiających się dźwięków, dynamicznych interakcji muzykujących osób. Powstające w podobnej czasoprzestrzeni dzieło Trzaska postrzega jako coś szczególnie gęstego, masywnego, chciałoby się rzec – jako wynik formującego działania przyszłości, która przekształca nasz świat, na nowo go definiuje, rzuca wyzwanie nawet reżimom niczym potężna siła sprawcza „nie odpuszczająca ani na chwilę”: „Czasami podziwiam ludzi, którzy przychodzą na nasze koncerty. Jestem pełen uznania, że są w stanie to znieść. Tę masę napierdolonego dźwięku, emocji rzygają-

cej, masę, która wciąga się w jakąś strukturę i nie odpuszcza ani na chwilę. [...] myślę, że muzyka improwizowana i jazz to wbrew pozorom najbardziej zaangażowana społecznie i politycznie muzyka instrumentalna na świecie”⁹.

Saksofonista kilkakrotnie powiada, że „literaci mają najlepiej”. Choć zatem improwizacja w nowoczesnej sztuce wywodzi się bezpośrednio z muzyki, to ceniony instrumentalista improwizator nieoczekiwanie podkreśla nadzwyczajne możliwości piszących. Zapewne dlatego kilkakrotnie podejmował współpracę artystyczną z Andrzejem Stasiukiem, uznając go za wybitnego pisarza improwizatora. Nieco to na pierwszy rzut oka dziwne, gdyż Stasiuk wydaje się raczej literatem komunikującym się z odbiorcami głównie za pośrednictwem tradycyjnej książki drukowanej, dalekim od radykalnych eksperymentów awangardowych, unikającym udostępniania brulionowych zapisków. Tymczasem Trzaska zna i podziwia prozaika jako postać ze spotkań literackich, frapuje go sposób czytania przezeń własnych tekstów przed publicznością, śledzi rytmikę jego wypowiedzi. W tych dość oswojonych przez instytucje literackie sytuacjach, wykonaniach utworów przez ich autora, muzyk dostrzegł improwizacyjny potencjał tekstów Stasiuka i jego praktyk wykonawczych. Niewykluczone zresztą, że jako jeden z przyjaciół pisarza spotykał się z improwizacyjną wartością mowy Stasiuka obecną w sytuacjach prywatno-towarzyskich. A miał na koncie tak znaczące doświadczenia jak wspólna włóczęga zapisana potem w *Jadąc do Badag*. Przyznawał, że próbował wówczas podglądać proces twórczy prozaika, nie

robiącego notatek w podróży, a potem w zadziwiająco precyzyjny sposób oddającego „przygodę” podróżniczą. Wiedział sporo o improwizacyjnych źródłach tego pisarstwa, dlatego namówił Stasiuka, aby nagrywał na bieżąco swoje komentarze wypowiedziane podczas następnych podróży.

Z inspiracji płynącej z przesłanych przez pisarza nagrań na kasetach dyktafonowych powstała płyta *Kantry*¹⁰. Muzyk wykorzystywał mowę Stasiuka z chwil jej bezpośrednich spotkań z tym, co nadchodzi z najbliższej przyszłości, z tym, co zakrętem, za rogiem. Z reguły utwory rozpoczynają się od słów pisarza, jak w pierwszej *Istriannie*: „To wieje wiatr na Istrii... w lutym... pod koniec lutego tak wieje... widać gwiazdy, widać światła daleko, widać jasne niebo, jeszcze skrawek, ale już ciemno... gdzieś w środku Istrii wieje wiatr... leci samolot gdzieś... w stronę Za... w stronę Zagrzebia leci, o, tu go widzę... chociaż nie, bo może lecieć też do Puli, bo tam jest lotnisko...”

Słowom towarzyszy gęsta sytuacyjna audiosfera: nagrania z lokalnego (chorwackiego?) radia, szum jazdy samochodowej, odgłosy z wnętrza auta i inne. Towarzyszymy narodzinom słów Stasiuka ze spotkań z tym, co zaraz się wydarzy, słyszymy słowa wyłaniające się ze stanu nieprzygotowania mówiącego na dotykające go bodźce. Stopniowo ów improwizacyjny aspekt przekłada się na pierwsze pomysły improwizacyjne poszczególnych instrumentów, na próby oddania rytmiki mowy Stasiuka, na ostrożne zestrzajanie się kilku proponowanych linii melodycznych. Nagranie dyktafonowe urywa się, gdy muzycy decydują się na konkretną przestrzeń

interakcji muzycznych, w której poruszają się już do końca utworu.

W innych utworach mowa pisarza była wykorzystywana w bardziej skomplikowany sposób, czego przykładem może być *Sen musli*. Rozpoczynają go luźne rozmowy pisarza z towarzyszami i towarzyszami podróży dotyczące słyszanego aktualnie śpiewu muezina, potem wszyscy razem komentują rzeczy widziane na ulicach. Na to zostały nałożone nagrania Stasiuka czytającego urywki z prozy *Zima*, które niczym w fudze powtarzają się, zachodząc na siebie brzmieniowo. Wielokrotnie też zostaje powtórzone to samo nagranie zaśpiewów muezina. Uruchamia to stopniowo aktywność improwizujących muzyków, wydobywają poszczególne typy brzmień z różnych rodzajów mowy Stasiuka-improwizatora, by rozwinąć własną improwizację. Ten zresztą chętnie nagrywa wypowiedzi autotematyczne, z których wynika, że „to jest wszystko dla Mikołaja, żeby sobie tę audycję skroił” – co nawiązuje do jednego z projektów Trzaski, który przygotowywał również słuchowisko radiowe z wykorzystaniem owych nagrań. Muzyk w wywiadzie-rzecz zdradzał, że często zachwyca go to, jak innowacyjnie reaguje na zdarzenia Stasiuk; za przykład podawał fragment otwierający utwór *Porra*: „słuchajcie, wysikajcie się i spadnijcie na zewnątrz, bo, weźcie sobie tego arbuza, błagam, bo jest za dobry mikrofon, słychać każdą pestkę arbuza w nim, weźcie sobie tego arbuza i idźcie...”. Improwizacyjny walor sytuacyjnego żartu słownego podejmuje jako pierwszy sam Trzaska na klarnecie basowym, podrzuconej przezeń lekkiej melodii towarzyszą żartobliwe „przekomarzania” pozostałych instru-

mentów, w tym nieoczekiwane ingerencje dźwiękowe. W efekcie w tym i wcześniej przywołanych kompozycjach obcujemy ze słownym i muzycznym wrażeniem masy brzmieniowej, jej spontanicznym „strukturuowaniem się”, a także odbiorczym wrażeniem bycia w środku ruchu ku stale pojawiającej się, wypełniającej poczuciem wielkiej potencjalności przyszłości.

Ku jeszcze innym obserwacjom wiedzy opublikowana w 2020 roku, a nagrana 9 lat wcześniej dwupłytkowa kompozycja Stasiuka i zespołu Trzaski *Grochów głosem*¹¹. Również i tym razem muzyk sygnalizuje, że chce współpracować ze Stasiukiem-improwizatorem, przy czym regułą improwizacji rozciąga również poza zapisy jego żywej mowy i dostrzega ją chyba w każdym utworze pisarza, gdyż obok *Grochowa* czytane są felietony z „Tygodnika Powszechnego”, wyimki z powieściowego *Wschodu* i inne. Płyty są efektem sesji nagraniowej, podczas której Stasiuk czytał w studiu wybrane teksty, a band Trzaski na bieżąco dodawał do czytania walory brzmieniowe. Trzaska podkreślał stanowczo, że w tym materiale muzycznym nie spotkamy się z żadnym overdubbingiem, czyli późniejszym dogrywaniem dźwięków do wykonanego utworu i dodawaniem ich podczas montażu. Pod tym względem byłby to projekt radykalniejszy, jako że w *Kantry* muzyka była znacząco modyfikowana w pracy studyjnej. Można zarazem powiedzieć, że Stasiuk pojawia się tutaj jako świadomy wykonawca, jego sprawstwo w *Kantry* nie było bowiem przezeń zaprojektowane, Trzaska wybierał z jego mowy to, co najbardziej doń przemówiło, tymczasem *Grochów głosem* w znacznej mierze rozgrywa się

pod dyktando rytmiki mowy pisarza, jego dykcji, ale i narzucanych treści z fragmentów prozy. Zresztą zamiast cytowania urywków mowy czytanie wypełnia niemal całe kompozycje, a animowane przez nie aktywności muzyków są dużo bardziej nieprzewidywalne, jakby kolejne dźwięki były wielokierunkowym rozwijaniem pobudzeń płynących z głośnej lektury. Co ciekawe, pomimo tej dominacji głosu pisarza-lektora rzadko spotykamy utwory otwarte przez mowę Stasiuka, zwykle jest ona poprzedzona poszukiwaniami melodyjnymi muzyków, które następnie podejmuje czytający. Wybierane przez czytającego rytm, intonacja, pauzowanie, siła głosu, ewokowane emocje liryczne lub gniewne pozostawałyby zatem w ciągłym improwizującym dialogu z propozycjami instrumentów, byłyby jakby spotykaniem się z ich nadchodzącymi tematami muzycznymi, podsuwanymi nagle tonacjami czy zmianami melodycznymi. W tym wypadku wcześniej napisany utwór Stasiuka wzmacnia swój walor improwizacyjny nie tylko dzięki głośnej lekturze, ale i dzięki jej współaranżowaniu przez śmiało improwizujących instrumentalistów. Chciałoby się zaryzykować tezę, iż pisarz i muzycy razem odkrywają możliwości czasu przeszłego, czasu jako przychodzenia, owego dziwnego czegoś „przeszłego” wkraczającego do ich aktywności.

Osobliwością *Grochowa głosem* jest bowiem i to, że pisarz wybrał do czytania passusy, w których tematyzował przeżycie czasu. Tytułowe opowiadanie ze zbioru *Grochów* osnute jest wokół dziejów przyjaźni z kimś bliskim, właśnie zmarłym kumplem Olkiem. Jakkolwiek utwór jest skierowany ku przeszłości, to szybko do-

tyka kwestii ujawniających się powiązań przeszłego z przyszłym. Marielle Macé zauważała, że należy dążyć do takiego odczucia przeszłości, w którym „wibruje ona od propozycji” oraz intryguje swymi „pomysłami dotyczącymi przyszłości”¹², okazując się niewyzyskaną możliwością innych przyszłości. Podobne odczuwanie notuje ze zdziwieniem Stasiuk czytający słowa: „Coś się dzieje z czasem. Coraz bardziej. Tamte zdarzenia są tak wyraziste jak te ostatnie. Przebijają, przeświecają. I teraz, gdy o nich myślę, to wszystko dzieje się równocześnie. Tamte wypływają na powierzchnię, ciemna toń się rozstępuje i już są. Nic nigdy nie przepadło? I teraz powraca?”¹³.

Zaskakujące poczucie wielokrotnie wyrażane w *Grochowie głosem* i związane ze zdziwieniem „jak to jest, że wszystko trwa” powoduje, że przeszłość nieoczekiwanie nadchodzi, jej nawrót staje się rewelatorskim odsłonięciem przeszłości jako wymiaru możliwych innych przyszłości. Bardzo znamienna wydaje się figura powrotu dawnych zdarzeń, co powoduje, że dawne i obecne dzieją się równocześnie, dawne jest równie aktywne, co terażniejsze. Byłaby to oczywiście wspomniana już wcześniej figura „wielości teraz” i ich nieprzewidywalnych splotów z różnymi przyszłościami. Te wątki temporalne *Grochowa* stają się dużo bardziej wyeksponowane dzięki improwizacyjnej metodzie lektury Stasiuka i gry muzyków w *Grochowie głosem*. Melancholijno-funeralna narracja doprowadza przy tym improwizację do momentu, w którym nieodwołalnemu zniknięciu przyjaciela towarzyszy ruch jego upartego powracania, Olek zmienia się w dziwny byt, w nieoswojone „przyszłe”.

Okazuje się czymś, co przychodzi i pozostaje jako „przyszłe”, jako dyspozycja piszącego ku przyszłości wywołana obecnością w nim „przyszłego” z przeszłości Olka.

Znaleźć możemy jeszcze przynajmniej jedno rozwinięcie tej problematyki w *Grochowcie głosem*. Zespół Trzaski chętnie łączy muzykę do audiosfery pełnej zgrzytów, nieprzyjemnych skrzypiń, metalicznych uderzeń, co wynika między innymi z czytania przez Stasiuka fragmentów mówiących o pobycie w fabryce na Grochowcu i obrazkach z życia proletariatu oszukanego przez PRL. Trzaska podkreśla zaangażowanie społeczne i polityczne muzyki improwizowanej i mogło ono w przypadku *Grochowca głosem* oznaczać także podjęcie logiki „przyszłego” z opowieści Stasiuka o biednych chłopkach z Grochowca, którzy uciekli od losu proletariatu i czuli się przez całe życie zdrajcami świata ojców, by jakoś jednak do niego w końcu powrócić. W czytanych fragmentach Stasiuk mówi dobitnie o swym pochodzeniu: „wcale się tego nie wstydzę”¹⁴. Mobilizacja dawnej świadomości społecznej i wręcz klasowej (niczym w głośnym *Powrocie do Reims* Didiera Eribona) kieruje uwagę improwizującego ku specyficznemu rodzajowi schronienia, jakie może być dane komuś, gdy wychyla się swoją aktywnością ku przyszłości. W jakiej przeto postaci powraca do improwizujących dawny świat robotników fabrycznych, kiedy zjawia się jako „przyszłe”?

Może to być oczywiście jedynie przyszłość jako schronienie prowizoryczne niczym opisywane przez Stasiuka kryte papą ubogie domki na Grochowcu. Przywoływana już Macé pisała o przyszłości, którą symbolizują tymczasowe domisz-

cza imigrantów oraz miasteczka namiotowe protestujących w centrach miast¹⁵. To w nich, mimo iż nie są miejscami dogodnymi dla życia, wymyśla się intensywnie nowe formy przyszłości; są one odmianami osiągalnej dla nas prowizorycznej przyszłości, gdy terażniejszość przestaje już być naszym domem, o którego solidności do niedawna byliśmy tak głęboko przekonani. W *Grochowcu głosem* o podobnych sprawach opowiada świetnie przeczytany tekst z „Tygodnika Powszechnego” *Mamy tutaj domy z drewna*¹⁶. Liche miejsca zamieszkania plebejusza, który wypowiada się w tym utworze, jego „domy z drewna” oraz „domy z trawy, domy z mchu” zostają przezeń dumnie przeciwstawione pańskim domom murywanym. „Prowizorka” to, jak wiadomo, jedno ze słów-kluczów przy Stasiuku, a Trzaska zapewnia, iż ma ono nieusuwalny związek z improwizowaniem jako sztuką. Zamieszkiwanie w przyszłości okazuje się zatem dzisiaj schronieniem prowizorycznym, ale jedynym realnie dostępnym, z wielkim trudem wznoszonym i stale traconym. W sytuacji wyobcowania z dotychczasowej terażniejszości, która w swym bezruchu zdaje się osuwać ku katastrofie, pilnie potrzebne stało się przeto „nie odpuszczające ani na chwilę” przez piszących i grających improwizowanie przyszłości. Naszym schronieniem stało się bowiem dzisiaj uważne słuchanie płyt z improwizowaną muzyką lub zaangażowane chłonięcie czytanej na głos literatury, zyskujemy wówczas nieliczne chwile, kiedy spotykamy się z własną przyszłością jednostkową i społeczną.

Tomasz Mizerkiewicz

BIBLIOGRAFIA

- E. Gomel, V. K. Shemtov, *A Sense of No Ending: Contemporary Literature and the Refusal to Write the Future. Introduction*, „Dibur” 2019, nr 6 (zima).
- H. U. Gumbrecht, *Our Broad Present. Time and Contemporary Culture*, New York 2014.
- M. Macé, *Our Cabins. Youth, Precariousness, and Imagination*, „Dibur” 2019, nr 6 (zima).
- C. Malabou, *The Future of Hegel. Plasticity, Temporality and Dialectic*, przeł. Elizabeth During, Abington-on-Thames (Routledge), 2005.
- G. Peters, *Improvising Improvisation. From Out of Philosophy, Music, Dance, and Literature*, Chicago-London, 2017.
- G. Peters, *The Philosophy of Improvisation*, Chicago-London, 2009.
- A. Simon, *Other Temporalities of Time: Zoopoetics and Animal Perspectivism*, „Dibur” 2019, nr 6 (zima).
- A. Stasiuk, *Ciemna dolina*, „Tygodnik Powszechny”, z dn. 7.11.2011.
- A. Stasiuk, *Grochów*, Wołowiec 2012.
- A. Stasiuk, *Wschód*, Wołowiec 2014.
- Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia*, rozmawiają Tomasz Grzegorzczuk i Janusz Jabłoński, Kraków 2020.
- S. Žižek, *Living in the End Times*, London–New York 2010.
- Zob. Catherine Malabou, *The Future of Hegel. Plasticity, Temporality and Dialectic*, przeł. Elizabeth During, Abington-on-Thames (Routledge), 2005.
- Hans Ulrich Gumbrecht, *Our Broad Present. Time and Contemporary Culture*, New York 2014.
- Zob. S. Žižek, *Living in the End Times*, London, New York 2010.
- Zob. Anne Simon, *Other Temporalities of Time: Zoopoetics and Animal Perspectivism*, „Dibur” 2019, nr 6 (zima), s. 88–97.
- Zob. Marielle Macé, *Our Cabins. Youth, Precariousness, and Imagination*, „Dibur” 2019, nr 6 (zima), s. 107–114.
- Na temat improwizacji zob. m.in. prace Gary’ego Petersa *The Philosophy of Improvisation* (Chicago–London, 2009) oraz *Improvising Improvisation. From Out of Philosophy, Music, Dance, and Literature* (Chicago–London 2017).
- Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia*, rozmawiają Tomasz Grzegorzczuk i Janusz Jabłoński, Kraków 2020, s. 569.
- Tamże, s. 574–575.
- Mikołaj Trzaska, *Kantry*, Kilogram Records, 2005.
- Mikołaj Trzaska, Andrzej Stasiuk, Raphael Rogiński, Paweł Szpura, *Grochów głosem*, Kilogram Records, 2020.
- Marielle Macé, dz. cyt., s. 111.
- Czytane na płycie *Grochów głosem* teksty Stasiuka są zgodne z tekstowymi pierwodrukami, dlatego można podać ich adresy bibliograficzne, w tym wypadku jest to: Andrzej Stasiuk, *Grochów*, Wołowiec 2012, s. 63.
- Tamże, s. 64.
- Marielle Macé, dz. cyt., s. 113–114.
- To felieton *Ciemna dolina* czytany na płycie pod zmienionym tytułem *Mamy tutaj domy z drewna*, pierwodruk: Andrzej Stasiuk, *Ciemna dolina*, „Tygodnik Powszechny”, z dn. 7.11.2011.

DYSKOGRAFIA

- M. Trzaska, *Kantry*, Kilogram Records, 2005.
- M. Trzaska, A. Stasiuk, R. Rogiński, P. Szpura, *Grochów głosem*, Kilogram Records, 2020.

PRZYPISY

- 1 Piszą o aktualności tego przekonania Elena Gomel i Vered Karti Shemtov w: *A Sense of No Ending: Contemporary Literature and the Refusal to Write the Future (Introduction)*, „Dibur” 2019, nr 6 (zima).

Dariusz Nowacki

Przyszłość krytyki literackiej



Marcin 11 Pryt

Na pytanie o przyszłość krytyki literackiej nie sposób odpowiedzieć, nie pytając uprzednio o sposoby rozumienia tej dyscypliny tudzież o horyzont czasowy, w jakim owa przyszłość ma być rozpatrywana. Co do drugiej kwestii, to warto ją ująć prosto: nikogo – łącznie z piszącym te słowa – nie interesują jakieś bardzo odległe perspektywy, sytuacja, jaka się wyłoni – dajmy na to – w połowie naszego stulecia (oczywiście przy bezczelnym założeniu, że nasz świat w roku 2050 będzie jeszcze istniał). Zaciekawia nas raczej to, co jest naszym „tu i teraz”, które jednocześnie płynnie przechodzi w „tu i jutro”, a o przyszłości jakiegokolwiek fenomenu – proszę darować banał – można przytomnie rozprawić wyłącznie na podstawie aktualnych zjawisk, procesów czy tendencji. A zatem w niniejszym tekście zajmę się problemami, które ujawniają się – by tak rzec – z poniedziałku na wtorek. Co zaś się tyczy sposobów pojmowania zarówno instytucji krytyki literackiej, jak i najróżniejszych praktyk określanych tym mianem, to trzeba oznajmić, że rzecz jest niezwykle skomplikowana, wielowątkowa, chyba nie do ogarnięcia w krótkim artykule.

Co jest krytyką?

Nie przedstawiając poszczególnych stanowisk (taka prezentacja, nawiasem mówiąc, wypełniłaby potężną monografię),

przypomnę tylko, że od dłuższego czasu mamy do czynienia z pewnym dualizmem, niekiedy przybierającym postać silnego antagonizmu. Otóż ścierają się ze sobą dwa podejścia: włączające i wyłączające. To pierwsze zasadza się na przekonaniu, że każda wypowiedź na temat literatury, jeśli tylko została wprowadzona do obiegu, a więc stała się wypowiedzią publiczną, jest głosem krytycznym czy też świadectwem recepcji. W tym ujęciu krytyką literacką jest poniekąd wszystko: fundamentalne opracowanie na temat przemian powieści u progu XXI wieku i post zamieszczony na Facebooku, w którym zachwycony lub zdeustowany czytelnik powiadamia w kilku zdaniach o własnych przeżyciach lekturowych. Konkurencyjne podejście zakłada natomiast konieczność wprowadzenia jakiegoś progu (coś jest krytyką literacką po spełnieniu pewnego warunku). Bodaj najczęściej pojawia się kryterium w gruncie rzeczy gatunkowe. Jak to ujął Krzysztof Varga w *Dzienniku hipopotama* (*notabene* naszpikowanym płaczkowymi jeremiadami, rozdzierającymi serce skargami na upadek polskiego opiniodawstwa kulturalnego): „Nie istnieje krytyka literacka, istnieją wyłącznie recenzenci (to nie to samo) i autorzy tekstów promocyjnych, piszący jakby pod dyktando wielkich wydawców”¹. Wprawdzie nie przeprowadziłem żadnych pomiarów, ale

wyduje mi się, że stanowisko wyłączone jest dziś (i będzie jutro) coraz rzadziej formułowane.

Od demiurga do maszyny

Nastawienie inkluzywne, umocowane zresztą w szerszych procesach, które zaszły i nadal zachodzą w polu opiniotwórczości (dehierarchizacja, decentralizacja, egalitaryzacja, rezygnacja z kryteriów merytorycznych itd.), nie jest orientacją – jak to się niektórym wydaje – wyzwalającą; no chyba że w tym sensie, iż wydobywa nas z podmiotowości. Całe to „demokratyczne” otwarcie prowadzi ostatecznie do ponurego finału. Moim zdaniem los krytyki opiniotwórczej (recenzenckiej, ciągle najintensywniej praktykowanej) jest przesądzony. Otóż wkrótce zostanie całkowicie wyeliminowana – władzę rozpoznawania, z czym mamy do czynienia, oraz oceniania, ile to jest warte, przejmą maszyny. Tę przyszłość widzą już dziś użytkownicy Netflixa, którzy na pewno dostrzegali dziwne kategorie, wedle których są porządkowane zbiory tej i każdej innej telewizji internetowej. Nie chodzi tylko o katalog oznaczony jako „Filmy docenione przez krytyków” (w rzeczywistości przez boty wykorzystujące nieznaną nam algorytm), ale całą masę kategorii opartych na *stricte* krytycznych pojęciach w rodzaju: „Wciągające programy i serie z silną postacią kobiecą” (lub „motywem zemsty”), „Emocjonujące telewizyjne dramaty kryminalne” czy „Wzruszające programy i serie”. Skąd boty wiedzą, co nas „wciąga”, „emocjonuje” bądź „wzrusza”? Czy tylko z odpowiedniego oflagowania, ze statystyk opartych na wyborach konsumenckich?

Tak czy owak dzieje krytyki literackiej ostatnich kilku dekad można by opisać jako upiorny pochod: od figury demiurga do maszyny. O tym pierwszym wspomina Szczepan Twardoch (warto wsłuchiwać się w głosy pisarzy, dlatego przywołuję opinię kolejnego). W jednym ze swoich felietonów zanotował: „Cóż może osiągnąć krytyk? Jaki jest laur tego zawodu? Krytyk może odkryć pisarza. Znaleźć debiutanta tak, jak znajduje się diament w błocie, oczyścić z tego błota, dać go światu”². Co ciekawe, w kolejnym zdaniu zauważa, że on już jest odkryty („Nie można już mnie dać”), ale nie powiadamia, jak i za czyją sprawę się to stało (aż za dobrze znamy doskonale samopoczucie tego autora, więc łatwo zgadnąć, że Twardoch sam się wydobył z błota i dał światu). Ale do rzeczy – każdy zna tę porywającą legendę o tym, jak Jan Błoński wydobył z błota diament, który się nazywa Paweł Huelle. Z grubsza wiemy, jak to było – jedna entuzjastyczna recenzja dotycząca *Weisera Dawidka* (1987) zamieszczona w „Tygodniku Powszechnym” przesądziła o wszystkim. Po latach Przemysław Czapliński, który zapytał o możliwość aktualizacji tego typu gestów demiurgicznych, zauważył, że raptem kilka sezonów później próba powtórzenia tej samej operacji skończyła się fiaskiem (przypomnijmy: Błoński inwestuje swój wielki autorytet w prozę Krzysztofa Myszkowskiego, ale efekt tego jest żaden)³. Po 1989 roku możliwość „dawania światu diamentów” nieodwołalnie się skończyła. Owszem, autorytet krytyka – oczywiście nie tak potężny jak Błońskiego, ale jednak jakiś – na różne sposoby był włączany w gry o prestiż, wykorzystywany czy przechwytywany przez

najróżniejsze aparaty rynkowo-medialne (szczególnie w opracowaniu Czaplińskiego, którym przed chwilą się wsparłem), ale jako takiej władzy krytyk nie posiada i – mam mówić o przyszłości – posiadał nie będzie.

Resztę tej historii także znamy: niedyskrykcyjnego eksperta wypychają z rynku opinii amatorzy, w kolejnym etapie ci ostatni, występujący jeszcze pod swoimi nazwiskami, zostają zastąpieni strumieniami anonimowych w gruncie rzecz głosów. Mam na myśli najbardziej dziś wpływowe agregaty opinii o literaturze, z których być może najważniejszy jest portal lubimyczytac.pl. To tam Dulcynea, lewy233, brummbrumm, renia123mala oraz kilka setek innych opiniodawców mówią nam, ile warta jest *Pokora* Twardocha (nicki wzięłem z sekcji poświęconej tej powieści). A co najbardziej urocze – ich głosy tworzą zaskakujące hierarchie; stamtąd wiemy, że na przykład Remigiusz Mróz (7,1 pkt w ogólnej ocenie) jest lepszym (na pocieszenie, tylko ciut lepszym) pisarzem od Jamesa Joyce’a (7,0 pkt) i Marcela Prousta (6,9 pkt). Po agregatach cały czas zasilanych jednak ludzkim wysiłkiem analityczno-interpretacyjnym i aksjologicznym przyjdą – jako się rzekło – maszyny. Już przyszły!

Krytyka poezji versus krytyka prozy

Na wstępie zanotowałem oczywistą skądinąd myśl, że na pytanie o przyszłość krytyki literackiej godzi się zareagować słowami: „Zależy, o co pytasz”. Weźmy na przykład pod uwagę proste rozróżnienie oparte na rodzaju literackim. Otóż w zupełnie innej sytuacji znajdują się

dziś i chyba znajdować się będą (przynajmniej w najbliższych latach) krytyka poezji i krytyka prozy. Ta pierwsza nie dość, że rozkwita najbujniej i przyciąga najlepsze pióra i umysły (głównie z obszaru akademickiego), to jeszcze – w odróżnieniu od krytyki prozy – jest nieusuwalna, niezastępowalna, na dobrą sprawę bezalternatywna. Już wyjaśniam, o co mi chodzi.

Założmy przez chwilę, że podstawowym zadaniem krytyki literackiej jest dostarczenie komentarza. W wariacie najskromniejszym chodziłoby o utrwaloną na piśmie reakcję na pojedynczą książkę poetycką, a więc – mówiąc językiem listonoszy – pokwitowanie odbioru. Ponieważ książka poetycka nie ma żadnej wartości rynkowej (nikt nie pyta o jej nakład i dynamikę sprzedaży, nie spodziewa się zysków, obecności na listach bestsellerów itd.), ponieważ nie da się jej wypromować w sensie towarowym, czyli przekształcić w konsumencki fetysz (*must have, must read*), żadna podejrzana instancja pośrednicząca między nadawcą i odbiorcą się tutaj nie pojawi. Wymownie milczeć będą ci, którzy w domenie krytyki prozy narzucają ton i w zasadzie decydują o wszystkim: dziennikarze i publicyści kulturalni pracujący dla mediów masowych, przebojowi influencerzy, zręczni mejwieni kręcący się wokół spraw literackich i biznesu wydawniczego, niestrudzeni blogerzy, co to potrafią „omówić” na swoich stronach 20 grubych powieści w ciągu miesiąca, jeszcze wydajniejsi od nich instagramerzy, radosne youtuberki (radosne, bo na ogół są to sympatyczne dziewczęta rozprawiające o książkach w domowych pieleszach). Słowem, nikt krytykom poezji roboty nie

odbierze, nie zmarginalizuje ich przekazu, nie pośle do kąta.

Co więcej, bez tekstów takich znakomitości ciągle jeszcze młodej krytyki, jak Paweł Kaczmarski, Jakub Skurtys czy Dawid Kujawa poezja, ku której się zwrócili i którą oczywiście podziwiają, albo pozostałyby bez jakiegokolwiek komentarza, albo utrwałyby się obiegowe i niesprawiedliwe sądy na jej temat (np. przekonanie, że dwaj giganci poezji zaangażowanej – Szczepan Kopyt i Konrad Góra – to twórcy wyspecjalizowani w kleczeniu prostackich lewicowych agitek). Wymieniłem – niekoniecznie na chybił trafił – trzech krytyków, którzy są w tej chwili trzydziestolatkami, bo skoro zajmuję się tu przyszłością krytyki, niepodobna nie przywołać tych, którzy dopiero się rozkręcają, a za mniej więcej 10 lat staną się zapewne czołowymi Arbitrami i Autorytetami, choć nie mam pewności, czy w sprawach współczesnej poezji (do tej wątpliwości przyjdzie jeszcze powrócić). Tak więc pozwalam sobie powtórzyć: profesjonalne, ambitne i – co tu kryć – raczej trudne w odbiorze komentarze dotyczące nowej i ciągle odnawiającej się poezji nie wydają się zagrożone. Ale nie jest to oczywiście cała prawda o wymuszającej szacunek, świetnie dziś praktykowanej krytyce poezji. Ma ona kilka właściwości, które łatwo przedstawić jako wady.

Przede wszystkim jest radykalnie insiderska (wewnątrzśrodowiskowa, wsobna, „gettowa”), specjalistyczna, i to na granicy sekciarstwa, a więc odznaczająca się – jeśli wolno się tak wyrazić – wysokim, wyśrubowanym progiem wejścia (zarówno w sensie możliwości skomunikowania się z nią, jak i możliwości imitowania bądź

kontynuowania tego typu dyskursu). Pozwalam sobie na te zuchwałe oznajmienia, ponieważ całkiem niedawno przeczytałem pierwszą książkę krytyczno-literacką⁴ wymienionego przed chwilą Skurtysa, a chwilę wcześniej także debiutancką rzecz⁵, również wymienionego już krytyka, Kaczmarskiego. A jeśli o wymienionych opiniodawcach mowa, to mam za sobą osobiście doświadczenie, kiedy to w związku z zajęciami, na których mieliśmy omawiać tomik Natalii Malek *Kord* (2017), frajersko postanowiłem pomóc polonistycznej młodzieży – poleciłem uważnie studentów dostępną w sieci recenzję pióra Kujawy⁶. Chciałem im rzucić koło ratunkowe, lecz okazało się, że odlano je z betonu; naprawdę „zatonęli”, konfrontując się z frazami w rodzaju: „Technika Malek oparta jest na dwóch ruchach: permanentnego rozszerzania pasma emisji wiersza i jednoczesnego wygładzania wynikającej z takich praktyk szorstkości emisji”⁷. W dzisiejszej krytyce poezji – tej najciekawszej i najbardziej ekspansywnej – nie odnajduję nawet śladu troski o czytelnika, chyba że jest nim ktoś, kto należy do tego samego wąskiego kręgu opiniodawców w sprawach mowy związanej (o tak, mówią oni wyłącznie do siebie!). Krytyka, która lokuje się na antypodach „usług dla ludności”, wyrzeka się funkcji pośredniczących i „translatorskich”, a więc służebnych względem szerszej niż ekspercka publiczności – ma się świetnie i na pewno będzie się miała doskonale. Rzecz jasna, pewności nie mam, że tak właśnie będzie, ale poważniejszych zagrożeń też nie dostrzegam.

Jak już zauważyłem, nikt im się nie wetnie w pole komentarza, nie zabierze zabawek, no chyba że książkowi instagra-

merzy czy youtuberki od polecenia nowości wydawniczych zechcieliby znaleźć we współczesnych wierszach dogodny materiał, mówiąc ich językiem, do toczenia beki. Pod tym względem nowa poezja, zwłaszcza zaangażowana, ich nie zawiedzie! Ważniejsze jest jednak to, że krytyka poezji, jeśli ją porównać z krytyką prozy (mam na uwadze odmianę akademicką tej drugiej), znajduje się w awangardzie, narzuca nowe i coraz częściej przestrzegane jako „obowiązujące” standardy pisarstwa krytycznoliterackiego. Z grubsza chodzi o to, że krytyka literacka stała się – w najlepszym razie – krytyką kultury, w węższym zaś zakresie po prostu krytyką polityczną, a już na pewno teorią krytyki. Nie są to oczywiście zjawiska zaskakujące – kilkanaście lat temu Przemysław Czapliński odnotował, że „znika ostra dystynkcja na teorię i krytykę, i wszystko staje się praktyką interpretacyjną”⁸; przed dziesięcioma laty Anna Kałuża skonstatowała, że „nie spieramy się dziś o odczytania poszczególnych książek, spieramy się o możliwości samej interpretacji”⁹. O tym, że krytyka literacka jest skazana na poszukiwanie zahaczenia w dyskursach silniejszych niż ona sama, wiemy od dawna. Nawet bardziej dramatycznie: albo będzie zasilana wyszukanyymi na ogół teoriami, stając się praktyką interpretacyjną o nieokreślonych konturach i migotliwych celach, wchłaniającą i przetwarzającą najrozmaitsze wątki socjologiczne, polityczne, ekonomiczne (ogólnie: pozaestetyczne), albo nie będzie jej wcale.

Kierunki emancypacji

Dość pokrętną drogą zmierzam ku tej oto myśli, że im skuteczniej krytyka literacka

oderwie się od własnego przymiotnika, tym ma większe szanse na rozwój, co już udowodniła krytyka poezji, oraz dobrą przyszłość, co nas tu najbardziej interesuje. A co do daleko posuniętej autonomii opiniodawców w sprawach poetyckich, niezawisłości ich głosów, nieliczenia się z rynkowo-medialnym otoczeniem i presją stamtąd płynącą, to zauważmy, że nie ma powodu robić cnoty z konieczności. Mówmy sobie prawdę: nikt spośród krytyków poezji – być może poza beztróskimi latami 90. ubiegłego wieku, kiedy każda nowa książka poetycka jakiegoś gwiazdora z kręgu „bruLionu” musiała (?) zostać odnotowana w prasie wysokonakładowej i omówiona w telewizyjnym *Pegazie* – nie był kuszony; tzw. *mainstream* bądź biznes wydawniczy nikogo nie próbował zdeprawować czy skorumpować. Słowem, łatwo nie upaść, nie mając okazji do upadku. Natomiast w domenie krytyki prozy kuszanie było, i to od początku dziesiątej dekady, silnie odczuwane, jak najbardziej realne. Ale czy jest dokuczliwe także dzisiaj? Śmiem wątpić, biorąc poniekąd siebie na świadka.

Trafne kilkanaście lat temu rozpoznania Czaplińskiego (duże media wykorzystują krytykę jako alibi, krytyka legalizuje i uprawomocnia zabiegi promocyjno-marketingowe – myśli wyjęte z *Żwawego trupa*) już dawno nie są aktualne. Kolaboracja z demonicznymi siłami rynkowo-medialnymi nie jest już żadnym zagrożeniem bądź przejawem patologii życia literackiego. Możliwość odróżnienia krytyki od aktywności *quasi-* czy pseudokrytycznej, której czasami, acz coraz rzadziej się oddaję (jakby kto pytał: dla pieniędzy bądź z nudy), nigdy nie była

tak prosta. Trzeba tylko wiedzieć, co się robi, oraz mieć wybór. Czego? Oczywiście tzw. formatu, konwencji, trybu wypowiedzi, co nieodmiennie związane jest z adresem wydawniczym. Chyba nie muszę przekonywać, że mamy do dyspozycji rozmaite strategie retoryczne, stylistyczne i kompozycyjne, że co innego proponujemy masowej gazecie, popularnemu, ale jednak jakoś tam specjalistycznemu miesięcznikowi „Nowe Książki”, periodykowi literaturoznawczemu wydawanemu na naszym wydziale czy tzw. zbiorówce gromadzącej teksty naukowe.

Z tego samego roku co kilkakrotnie przywoływany tu tekst Czaplńskiego pochodzą rozmyślenia Tomasza Kunza, który w finale przenikliwego artykułu o kłopotach krytyki literackiej z tożsamością i przedmiotem zanotował: „Miejsce krytyka zajmuje interpretator swobodnie korzystający z rozmaitych języków, które «wydają mu się w danym momencie najciekawsze», wyczarowujący coraz to nowe sensory, które zmieniają się wraz z każdą zmianą języka. Interpretator, którego nie wiąże żadna lojalność poza nakazem wierności imperatywowi nieustannej autokreacji”¹⁰.

Jestem szczególnie przejęty owym brakiem powiązania z inną lojalnością niż ta wynikająca z troski o dostarczenie interesującej interpretacji, która – co oczywiste – powstaje także na chwałę interpretatora. Zdaję sobie sprawę, że perspektywa jest nieco narcystyczna, ale ostatecznie jest chyba tak, że stawką w tej grze (obojętnie: w krytykę czy w interpretację) nie jest żadna władza sądenia, żadna sprawczość, żaden nadzór (nad polem literackim), żadne wymierzanie sprawiedliwości (krytyk jako bicz na grafomanów – ten fantazmat

całkiem mocno się trzyma), tylko możliwość – jak pisze Kunz – „wyczarowania coraz to nowych sensów”. Oczywiście, nie sensów ostatecznych, bo w dalszej części tego zdania mowa jest o ich zmianie pod wpływem zmieniającego się języka.

Przed tak nakreślonym modelem krytyki przyszłość widzę wielką. I nie ma tu cienia ironii! A na sam koniec chciałbym upomnieć się o frajdę – by tak rzec – krytyka (w) przyszłości. Najpiękniej napisał o niej przedwcześnie zmarły Krzysztof Uniłowski w swojej ostatniej (niestety, ostatniej w sensie ścisłym) książce *Krytyka po literaturze*. W tekście tytułowym, będącym zarazem wstępem do owego zbioru szkiców, pojawia się mnóstwo intelektualnego dobra, ale bodaj najbardziej intryguje naszkicowany tam projekt krytyki fanowskiej (to moje określenie, Uniłowski się nim nie posługuje), „krytyki nowego wzoru funkcjonującej w ramach otwartej przestrzeni komunikacyjnej”¹¹. Uniłowski wyciągnął wnioski z faktu, że nasza kultura literacka została włączona w obręb cyberkultury, a więc „funkcjonuje na nowych zasadach i powoli przeobraża się w nową formułę, którą roboczo – powiada krytyk – określiłbym mianem postliterackiej”¹². Ponieważ zmieniła się nie tylko literatura, ale przede wszystkim jej społeczne postrzeganie oraz – co ważniejsze – formy i zakresy, w jakich jest najczęściej „używana”, musiała się zmienić, i to zasadniczo, krytyka literacka. Nie będę tutaj tych zmian inwentaryzował (rzecz jasna, zachęcam do bezpośredniej lektury *Krytyki po literaturze*) – ograniczę się do wyłowienia najciekawszej moim zdaniem inspiracji.

Otóż Uniłowski zaczął się przyglądać różnym tekstom zdeponowanym

w sieci i „odkrył” kilka zastanawiających prawidłowości. Polem obserwacji – dopowiedzmy – uczynił amatorską (oddolną, konsumencką) krytykę filmową, nad wyraz intensywną w dniach poprzedzających emisję ostatniego sezonu serialu telewizyjnego *Gra o tron* oraz – jeszcze bardziej namiętną i rozbuchaną – w tygodniach, kiedy ów przebój stacji HBO był emitowany. Uniłowskiego między innymi zachwycała formuła, którą wypowiedział – z naruszeniem polskiej gramatyki – jeden z fanów *Gry o tron*, a mianowicie, że jest „emocjonalnie zainwestowany w tę historię”. Choć katowicki krytyk nie pisze tego wprost, ze sposobu, w jaki referuje wypowiedzi fanów, można wydobyć znamiennej dyrektywę: my również, zwłaszcza krytycy zwani czasami akademickimi, powinniśmy „być zainwestowanymi” w to, czym się zajmujemy. Wbrew pozorom żadnego poważniejszego ryzyka tu nie ma, bo jak pisze Uniłowski: „krytyka wyrastająca z doświadczeń nowych mediów nie jest zorientowana wyłącznie na funkcję rozrywkową i nie musi mieć aintelektualnego charakteru”¹³. Gdzie tu obietnica frajdy? W namiętności, w zaangażowaniu, w afektach, które nie tylko nie muszą być bezrozumne, ale i – to dalsza część „instrukcji” – powinny zostać poluzowane ironią, rozhuśtane erudycją. Albo jeszcze inaczej: pokaż, krytyku, że dzieło literackie, nad którym się właśnie pochylasz, autentycznie cię obchodzi, a więc sprawia, że jesteś w komentowany/interpretowany przez siebie tekst „zainwestowany”.

Parafrazując św. Pawła, Krzysztof Uniłowski „naucza”: „trzeba dziś, iżby merytoryczni krytycy jak niemerytoryczni

byli, i poważni byli jak niepoważni, i błyskotliwi jak niebłyskotliwi, i doniośli jak niedoniośli. Przemija bowiem formuła znanej nam kultury”¹⁴. Nic dodać, nic ująć do owego „przesłania” skierowanego do braci i siostr robiących w krytyce. Co najwyżej wypada zamienić „dziś” na „jutro”, wszak o przyszłości krytyki literackiej chciałem tu mówić.

Dariusz Nowacki

PRZYPISY

- 1 Krzysztof Varga, *Dziennik hipopotama*, Warszawa 2020, s. 588.
- 2 Szczepan Twardoch, *Krytycy*, w: tegoż, *Jak nie zostałem poetą*, Kraków 2019, s. 149.
- 3 Zob. Przemysław Czapliński, *Żwawy trup. Krytyka literacka 1989–2004*, w: tegoż, *Powrót centrali. Literatura w nowej rzeczywistości*, Kraków 2007, s. 105–107.
- 4 Zob. Jakub Skurtys, *Wspólny mianownik. Szkice o poezji i krytyce po 2010 roku*, Wrocław 2020.
- 5 Zob. Paweł Kaczmarski, *Wysoka łączliwość. Szkice o poezji współczesnej*, Wrocław 2018.
- 6 Zob. Dawid Kujawa, *Podłapać trop hyle*, „Mały Format” 2017, nr 10, <http://malyformat.com/2017/10/podlapac-trop-hyle/>.
- 7 Tamże.
- 8 Przemysław Czapliński, *Żwawy trup...*, s. 128.
- 9 Anna Kałuża, *Wielkie wygrane. Wspólne sprawy poezji, krytyki i estetyki*, Mikołów 2011, s. 9.
- 10 Tomasz Kunz, *Krytyka literacka po 1989 roku – kłopoty z tożsamością, kłopoty z przedmiotem*, w zbiorze: *Dyskursy krytyczne u progu XXI wieku. Między rynkiem a uniwersytem*, red. Dorota Kozicka, Tomasz Cieślak-Sokołowski, Kraków 2007, s. 332. Fragment cytacji zaznaczony cudzysłowem pochodzi z tekstu Michała Pawła Markowskiego (*Kłopoty z dekadencją*, „Europa” 2006, nr 22).
- 11 Krzysztof Uniłowski, *Krytyka po literaturze. Wstęp*, w: tegoż, *Krytyka po literaturze*, Katowice 2020, s. 22.
- 12 Tamże, s. 16.
- 13 Tamże, s. 28.
- 14 Tamże, s. 25.

Kacper
Bartczak

Ekranik pamięciowy

jest szósta rano spóźniony
jem piszę smsy znam ludzi
którzy dziś będą chcieli
coś mi zrobić widziałem cię
w telefonie po obwodzie raz
ale nie widzę cię dwa
razy w ekraniku tak samo
widmowym nic dwa razy
jasne ale w czasie oddychania
przyszło mi do głowy
z głową to zrobić nie iść
do tych ludzi nie tykać
czułych ekranów wyjść
w wiersz bez opieki
pożyć w nim trochę
mieć status paczki
na peronie coś pobrać
z niedanych jestem
w punkcie chyba co wtedy
widzę myśl w przelocie
przelot w snach twarz
twoją twarz na płacz

Osiedle kwantowe

ja zima zerwania
zrobiłem sobie
z prób i obłądów
życie usrane różami

ja zima kiedy matka
ja zima kiedy ojciec
osiedle puste
płytkowe

puste domy mediowe
glina ciało smoła
którą jedliśmy dziećmi
partycypując

w zapaści czasowej
osiedlanie się
w czasie
cedziło lastryko

ja się w tym
kochałem
ja zima do naga

ja zima z rozbiórek
ruder z ustroju
za dnia i nocy się w tym
uzyskiwałem

śni mi się czasem bochen
matka osiedla się w czasie
w doraźnym śnie
docześnie

w dystansie grzeje mnie
czym dalej
tym silniejsze wiązanie

Któregoś wieczora zaczęło padać. Założyłem przemakalną kurtkę, przemakalne spodnie i poszedłem w stronę małego parku, oddalonego o kilka minut spacerem od domu. Park był zamknięty z powodu kwarantanny. Wejściową bramkę przepasano biało-czerwoną taśmą. Było późno, lało coraz bardziej, wokół ani żywej duszy. Ominąłem barierkę z taśmą i wszedłem do pustego, zakazanego parku, w środku światowej zarazy. Latarnie paliły się ostrym białym światłem, trawa, dęby, klony i brzozy błyskały w nim wiosenną zielenią. Drzewa piły wodę z powietrza, aż trzaskało. Szedłem alejkami, wśród wariacko żółtych forsycji, obok pustego boiska. Deszcz się rozkręcił, lunęło na całego, ściana wody, w ostrym jarzeniowym świetle, które w głębi parku było zielone. Liście szemrały, wszystko stanęło w siwej tafli. Wokół ani żywej duszy, władza zakazała, władza nie wie, wirus panuje, ja tu sam, w zupie, aurze, aerozolu, w jednej strudze. Byłem audytorium, odrodził mi się oddech, recytacja w zakazanej pustce. Ociekałem, byłem szczęśliwy, udrożniony. Prześwietlony, osadzony na kropelkach, manifestowałem. Żyłem w tym? Umierałem? Byłem żywą duszą w parku. Kształciłem się. Mówiłem sobie: opowiedz o masie światła w liściach, o grubości filmu. Jak zwilża gardło, otwiera głos. Jak otwierasz park, działasz w ścisłym otwarciu.

Przeświałone dzienniki

Korni uczestnicy wieczności zalaminowani w wyborczym alabastrze. Laminaty wchłonęły apki, opoki po elipsie, przeszły w podprogowy hymn, mruczando spoza czasu. Wiedza o śnie, który nimi śniono, zepchnęłaby je do niższego kręgu, w niepewną siebie fikcję, bolesną a konieczną. Opisać tę porażkę, żyć z drugiej strony hymnu, po apce i po elipsie. Skąpać się w statystycznej tafli, liznąć strachu, przewinać się. Spisać to, wymyślić śpiew od nowa. Skąd tropy po utuleniu?

Był w średnim wieku, jakieś dwieście lat, coś koło, w każdym razie zabory, rzezie w DNA, wojny systemowe we krwi, wioska ludowa bardziej niż wodna, ale od kilku lat żył już na choroby towarzyszące. Kim był? Przewijał się w mowie, swojej, nie swojej, pożyczonej, łapał się na stopa lub jazdę bez trzymanki. Starął się brać na poważnie, jakby żył. Pamiętał papieża Polaka, z któregoś kręgu, jak wszedł w maseczce maskującej, żeby nie wiedzieć, się nie lękać. Papież był kobietą, która pisze księgę imion dla wielkiej międzynarodowej nagrody literackiej, dla czułej narracji w niebiesiach, po której wszyscy uklękną i przeproszą. Cóż było począć? Umiłował kraj, żeby z niego wyjść. Zobaczył się w skoku ustrojowym, siebie i paczkę. Urwało im język w gębie. Przestali się widzieć w glebie. Zrozumiał, że scheda, schemat, że system się wcale nie psuł, nie mijał, wymyślił nowe numery, na przykład kont, przekalkulował liturgie. Pamiętał starego człowieka, który na kolanach płakał jak dziecko, kiedy papież Polak uniósł się w helikopterze. A on myślał, po co te kolana, po co od razu na glebę, ile ta maszyna ma koni, jaki zasięg, moment obrotowy, i żeby życie było mocne, ale bez tego motoru. Życie nadmierne, obce. Za takie można by. Bo co to jest wierzyć.

Teraz jest wiatr, który miota wiatrem. Teraz ostre gnojenie z powietrza, światło jak łomot po oczach. Nic nie widać. Jeden wymaz. Ślepa plamka – świat tego świata. Prosto z mostu międzyludzkiego. Wielka piana cząsteczkowa uderza w ojczyźnianym kompocie, na kicie i maku. Niektórzy głosowali telewizyjnie, inni płakali, jeszcze inni jakoś na tym wyszli. Ale zastanówmy się: jeśli zwykłe ludzkie myśli, pragnienia, lęki i nadzieje są jakąś wyściółką pod to, co tu się dzieje, co w ogóle może jeszcze, założmy, się zdarzyć, to – powiedzmy sobie otwarcie – ta wyściółka nam szezła. Jej rozpad trwa potylicznie, na dnie oczu, w kompostach jelitowych, w gnoju z apek pod bramką. Kompot nam połupał odmiany czeźnięcia na dwie podstawowe odmiany: globalną i ojczyźnianą. Włożył pod język. Wyplułem. Teraz to już nie jest wiatr. Wiatr już był, i mróz, i blask, ale je przeoczyliśmy. I dlatego jest takie ryzyko, że nic już nie może się zdarzyć, że jest po zdarzeniu. Prześniona apka po elipsie, historia krzywa, okrutna, ludzka, nie-ludzka, co nam do tego. Tak teraz już będzie. Skąd staza? Ale postawmy inne pytanie: skąd tropy w stazie?

Pani na włościach, na światła pochyleniu, od środka poróżniona, magmo wulkaniczna zamknięta po śmierci w szufladzie, duchu, udostępniłaś mózg, święto w metalowych obłokach. Stopiłaś dystans. Dziękuję, już śnię – nowe światy, historie, wojny domowe (bo wiesz, my tu też zawsze z pogranicza, za jakąś granicą, my niewolnicy, my handlarze). Mózg lub umysł, nieważne, w każdym razie wieki całe spakowane na dysku. Dla mnie? Mózg jak umysł cały mój, nie mój, nieważne, większy niż niebo, a ty w zanadrzu jak chiralność linku. Mózg lub umysł, co ważne, to ujrzeć się wreszcie w ślepej plamce tego pochylenia. Miałaś kwiaty w sobie, hiacynty, flakony wylały, dały głowę. Dla ciebie teraz już tylko miłość, wieczność, którą spakowałaś na śnieżnym dysku. Udostępniasz zakres po tęczy. Twój trzewik, wierszyk zszyty, czerpaczek – uleje mi teraz perłę z oceanu, w usta mi wtoczy. Po co mi tęcza.

Pedale z Manhattanu, stolarzu, drukarzu, piniaczu, akuszerze, biofilu. Widziałem cię kiedyś wśród alkoholików w Camden. Wiesz, że dziś Camden w ruinie? Wygląda gorzej, niż kiedy ty tam mieszkałaś. To znaczy w tej twojej postaci. Wyobraź sobie, że cię naprawdę potrzebujemy, ale wróciłaś w smołach, smarach, nie w trawie. Pytasz w sprawie stroju? A smugi na niebie? Wiesz, co one nam narobiły? Słyszałem leciwą poetkę, która pisała wiersze o spisku z nieba. Słyszałem polityka, który lżył odważne kobiety. A fejk? Słyszałem ekspertów, którzy mówili: wolność wejdzie wam w autyzm. To sobie weź do katalogu. Twoja opera przeleciała nam nad głowami i zniknęła, nie zdarzyła się. Nie z trawy się wzięła twoja kometa, nawet nie z węgla. Kto tej książki dotyka, dotyka człowieka, ciała dotyka, mówiłaś. I dotykaliśmy. Mieliśmy próbki, obracaliśmy w dłoniach, lecz materiał pozostał nieznanym, dziwna struktura, posypało się między palcami, nie poznaliśmy człowieka. Jakiś nadmiar z twojego zwierzęcia, dziwna cząstka. Ale światło było zwyczajne, zwyczajnie spasowane narzędzia, sprzęty w izbie. Minęło to nas, poszło dalej, i teraz mamy własną wersję halo: żyłaste obłoki w złym świetle, napar z marnych tęsknot. Biologię podpatrzyliśmy, owszem, ale też coś nie poszło. Ty byłaś kometa, sejsmograf, chmara grawitonów, burza białkowa znad pyłu, nośnik. Twoja chemia ludzka: przyjęła się? Czy przeszła w proszki i kryształy?

A ty, bóstewko nieogarnione, spopieliała, ty *ash*, ty *berry*, jagódko z popielnika, iskierno życia niezwiązanego, skleconego z guzików, mapek, gwiazd we flakonikach, makulatury ze straganu na pchlim targu, jak na Bałuciaku, filmowych twarzy z dawnych fotosów, którymi jak nikt tapetujesz niebo. Czy może to nie byłeś ty? Ale ty jesteś panoptikon własny, odwrócony teleskop, glob, hotelowy pokój z jednym bulajem. A pamiętasz rakiety kosmiczne? Tak, wciąż jeszcze je produkują. Wiesz, my już teraz planety całe, kry na księżycach. Co ci towarzyszyło, jeśli nie choroby. Zapalenie rdzenia. Miłość jak fala grawitacyjna, tak potężna, że niezauważalna, że niby wszystko na swoim miejscu, choć miejsce przechodzi

trawersem na drugą stronę. Schiza w maszynie retorycznej. A u mnie, wiesz, borelia były, śmierć w rodzinie, zwykła strawa konfesyjna, ale jej się nie imam, nie karmię, bo ona inaczej wliczona. Więc jestem na fali, majstruję w biografii. Udostępniam link. W co wliczona? W ten twój system, który się psu? Wiesz, ilu w nim się zgubiło? Dla ciebie teraz też tylko miłość. Miłość, ilość i jakość pogodzone ze sobą po wieki. Albo zakrzywione pokoje, iluminacje, gwiazdowe hotele. Ilość, jakość i miłość przebiegły mnie dreszczem. Wezmę czasem iskierkę, poobracam w palcach, położę pod język, zobaczę się w archiwach, przetartych splotach włókienkowych. Może znajdę korelat, puszkę obrazków, pomogę się zagiąć przyszłości. Zaprojektuję prędkość odejścia, ściśle tajną fikcyjną erupcję, po której da się wejść w dzień.

Co ci, towarzysko, na co umarłaś, w jakim ośrodku się rozproszyłaś, tęczo. Ja ożyłem od ciebie. Z gleby drżący wstałem po ostrych wymiotach. W drganiach nad rzeką ciekłem sobie z ziemią i piaskiem między zębami, w trzaskach. Z potu, spermy, osocza, na kamieniach nad rzeką, bez żadnych narzędzi. Dostałem kartki, pudełka, mediany, bailout, wypukłe świecidła. Wszczepiłem sód, molibdeny. Przeplływały w śpiewie, dały poświęcić śpiewaka. Śpiewak przeszedł przez skórę, zmutował. Bo wiesz, tutaj u nas głód, skóra i kości, liście i błoto, tzw. realia. Ogólnie – nędza grawitacji. My w tym się musimy. Dziwnym zwierzęciem otworzony na zawieruchę, jestem gotowy. Wychodzę poza hierarchiczną tężyzną psychiczną.

Przebywam obecnie na Manhattanie, w Łodzi, na Grembachu, w anusie świata. Piszę dziennik z nieznanymi dniami ludzi, których nie znałem, bo ich nie było, choć dali mi najwięcej na świecie. Na świecie tego świata. Po prostu żyję, wiesz, chodzę po mleko, wodę, w masce. Piszę sporo maili, pobieram dystans, żeby mi się przyjął, filmy z kompostownika. Jestem w zakonie bez reguły. Wszyscy są mnisi. Mam rzeczywistość poza ideą przedstawienia, jak spekulował jagódka. Albo zaraz, to ktoś inny spekulował, nie wyszedł na swoje. W tym rzecz – nigdy nie wyjść na swoje. Z martwych serwerów powstała wiązka prezentacji. W tej chwili nie jest dla mnie jasna tożsamość udostępniającego. Czyżbym sam udostępniał? Kto udostępnia, ten się poświęca, ale niech się nie znęca.

Tutaj jest świat tego świata, a tu jego koniec. Zawieszenie spraw, ich wymaz, zatarcie ludzkiego silnika, stygnące taxi, rżenie taśm produkcyjnych. Jeden wymaz. Powszechny płyn. Piszę postprodukcyjnie i postindustrialnie, niewidzialnie, nieparametrycznie, posteksploatacyjnie. Sprzeciwiam się eksploatacji choćby jednego z moich ja. Odrzucam przemysł liryczny. Nie kręci mnie to, co poznawalne, dosłowne, natychmiast znaczące, spowiednicze. Piszę odnawialnie, bez drenażu bez mała. Ćwiczę inne przeżycie akumulatorów, ambient elektrolitów, uspokajam węgiel, poza ideą terapii, poza ideą nagród i wynagrodzenia, dziękuję za nieznanne

ja, które się nie spowiada. Bo komu? Bo z czego? Bo nie ma, że boli. Bo z niego ta jazda, tęcza w empirycznym perymetrze, przed końcem lub po końcu świata tego świata. Właściwie cały czas, bo cały czas jest jakieś puste pole i coś z niego wychodzi, tylko co. Poświata. Ufałem, że drobinki, efuzje, ciche trzaski są substancją pola, światem tego świata, a ja im ładny, powabny, dolny i górny, dziwny i niejasny. Więc niech już będzie koniec świata tego świata i wchodzę w to. Odnowiam ślepą plamkę. Dużo śpię, wysypiam się, nie żegnam. Puściły dedlajny. Tak mi mów. Mowa zawirusowana. Odwirować, zniemotać, zmotać od nowa.

W sprawie intencji autora. Oczywiście, że mam. I to jak najlepsze. Moją intencją jest wpleść się w pole, żeby później narzekać, że ciężko w nim nie pleść trzy po trzy i trudno się wyplątać. Później się wyplątać. Mam zamiar odżywiać się, wysypiać, wplątywać i wyplątywać. Muskać fale. Ważne jest jedno: magazyn obrazków ze ślepej plamki.

Teraz jest wiatr i tęcza. Niech już tak będzie. Jak się mieni, tak mieli, korona słońca, grawitacja z głowy, ironia losu, żwir dni. Tymczasem naród. Ktoś wszedł mu w powłokę, utkał poszycie, żeby kadłubowo płynął. Wszystko w płynie. I skorzysta. Naroda wybiła znak na czołach. Jest wodnisty, jak ta wioska, pod światło, pod zastaw. Kto zastawia? Kornici agenci organizacji niebiańskiej doinwestowali. Wszędzie depozyty. Religia kopalna, jej głębokie osady.

Odpędziłem tamto bóstewko i zrobiłem sobie nowe. Przespacerowałem je po pustym spektaklu z geografii fizycznej, ze zbiorników gradu, borelii, ameb, skanów systemowych i ustrojów. Pokazałem mu mapy udarowe, martwe natury w horyzoncie. Ujrzało się w tym materiale i przyjęło dar mowy. Dziękuję ci za twoje mowy, powiedziało. Są trudne, jakbyś pierwszy raz słyszał słowa, poza podziałem na pismo i słowo. Niewielu to czyta i mi także sprawiają kłopot. Może nawet ból. Jakbym pierwszy raz pojęło, czym jestem, kiedy jestem. Jak to pisałeś? Żyłeś w ciele? Na rezonans?

W sprawie demokracji. Po co komu to-że-niby. Indywidualna trajektoria psychiczna. Pamiętasz jeszcze, o co chodziło? Przypadkiem nie o twoje życie wieczne bez wieczności? Po co ci ten wytrych, tobie, ciałku, wodniczko. Nie potrafiłaś w tym żyć. Zgniotło cię. O, patrz, już się ugięłaś. Nie zniosłaś krzywizn, duszyczko. Dlatego teraz zobacz, jak jesteś – w kłopotach, z kurzem na twarzy, na fejsie, z goggleboxem, w żółciach, strukturach wżartych, jak pływasz. Masz to jak w banku, jak z nieba.

Bóstewko wróciło: co z tym rezonansem? W każdym razie dziękuję ci także za ciało. Twoim ciałem, które ciągle coś robi, załatwia sprawy, miota się, emituje

dźwięki – tym ciałem żyłem z radością. Z wdzięczności zaplotę ci bailout, jakiego nie czuły pracownie. Kto wie, co będzie dalej. Jak będzie między nami, czy się jeszcze spotkamy. Grunt, że byliśmy ze sobą. I tak byś nie uwierzył, nie w tym rzecz. Rzecz w ciele, które ci teraz oddaję, może nieco znoszone. Patrz, jak historia je wyrzeźbiła, przemysł spożywczy. I to się stało na twoich oczach. Teraz wybacz, mam słaby zasięg, przerywam. Wiem, że chcesz być sam. Niby cię nie ma, albo wróciłeś po śmierci podmiotu, ale tylko podsłuchujesz, jesteś sam. Nikt tak nie pisze. Radź sobie sam.

Demokracja jak religia? Albo zamiast religii? Jazda. Bez jak się mówi trzymania. Przytrzymaj chwilkę, nie zwalniam migawki. Przekazniki przestawione na brak. Rejestry sterowane na drugiego, który nie należy, a zapodaje samą przestrzeń pomiędzy. Udostępnia cię w ziarnistości przestrzeni. Przesiewa ci paplaninę. *Imagine*. A wy dalej o komunizmie, kapitalizmie, partiach, narodach z nieba. Który krąg podejścia? Który *terrain ahead*?

Założę się, że to już było. Znaczący się – powiedziane. Ale kim jestem, żeby o tym mówić, czytać pismo bez słowa z innymi? Nawet nie przyszedłem, nie wróciłem. Znaczący do siebie. Nie wiem, co zrobić z bestią w sobie. Z sadomaso życiowym. Że katują się, że się tak wyrażę: no wiesz, plany, kariera, pisanie, znaczenie tego wszystkiego, autodeskrypcja, przymus auto-. Starłem się siebie uczciwie hodować, być dobrym hodowcą, ale zważcie na te farmy, jakie niedoskonałe.

Pokój, w którym śniłem, był obok pokoju, w którym spałem. To był kraj, rzeźba ikoniczna z innych żywotów, na aparaturze, którą skleciłem w garażu, ustawiłem pod łóżkiem. Nie mogłem wejść. Ale śniłem, i to się liczyło, coś znaczyło. Dni zdystansowane, rozchwiejutane na słonecznym wietrze, susze okresowe w zbliżeniach na planetę. Ten dziennik nigdy nie był śmieszniejszy, niż kiedy określał zakres warunków swojej możliwości. Zasnąłem szybko, ale nie spałem, i z otwartymi oczyma śniłem przelot ptaków nad odległą dzielnicą miasta. W chaszczach na opłotkach, na butelkach po oleju, przy warsztatach, znalazłem sobie pracownię. Porobiłem kilka zdjęć, żeby je celnie skasować, wymazać z nich tę pogodę. Gdyby nie dzielnica, nie miałbym izby, gdzie siedzę i majsterkuję. Mam demokrację w rupieciarni, trochę drutu, pudełek ze sklejk, serwery, parę książek, farbę zdartą ze starego nieba, martwe natury w horyzontach. Palce nieporadne. Ogólnie pojętą głosową modelinę. *Imaginu*.

Kiedy wydobywa się linia głosowa, kiedy, wyobraź to sobie, głos znikąd, czerni czysta śpiewa – nie czekaj, podłącz się, wyjdź z niej, z tego śpiewu, ze mnie i z siebie, pocuj gęstość zdarzeń. Czujesz zmienne mineralizacje powietrza, lekkie drgania w przestrzeni, zwykle myśli, papkę przypadków, które pragną odnaleźć się w planie?

Za oknem śnieg na sosence strącony mrugnięciem kosa. Zaraz lawina zdarzeń: niewzruszony ołówek, który położyłem tu wczoraj, aparat stacjonarny i trzaski w dawno niesłuchanej słuchawce, notesik zgubiony w tramwaju wysuwa się spod szafy. Oddycham spokojnie, coś szepczę, przesuwam ołówek w nowy sektor stołu. Myślę o zdarzeniach z szybkością myśli. Łowię na plamkę.

Replikacja ze mnie, z erozji chemią środowisk, reform, makabrycznej historii przekręconej w maszynie z ubranego życia, bo nie ma czegoś takiego jak nagie życie. Pokażcie mi je w formularzach wydajności, w annałach żadnego władzy boga. Ono zawsze ubrane, a ja replikant zbożowy, niemodlitewny, poza testem bazowym. Zmieniam sobie kasetkę białkową.

Mówię od serca, z serca stanowisk eksploatacji stanów, ośrodków i środowisk. Tak trzeba. Tak teraz tu będzie, formacje eventowe, grupy rekonstrukcyjne. W badaniach nad archaiczną formacją nawrotową miałem wywrotkę. Zbadałem falę mitrżenia historii. Zakrzywienie wyszło jak trzeba. Nie biorę kryształ, w ogóle nie pobieram. Upijam się wspomnieniem powietrza. Przyjmuję dyktando ślepej plamki, z magazynów i horyzontów zdarzeń. Podejmowałem próby pichcenia, przekładu przezroczy. Kilka się wysłowiło. Odnotowałem skrzętnie. Pisaliśmy to w kilku, ponad podziałami. Tak niewiele da się w ogóle powiedzieć. Czeźnięcie, niestety, było prawdziwe. Ale słowo nie przestaje łaknąć fikcji, innego świata z tego świata. Czeka chcenia. Bądź mu energiczny, oszczędny, lecz dajny.

Publikowane utwory pochodzą z tomu *Widoki wymazy* (Biuro Literackie: Stronie Śląskie, data premiery: 19 kwietnia 2021 roku).



Marcin 11 Pryt

Tomasz **Bąk**

I

--- Kiepsko pływam, a ty?

Stylem powszechnie uznawanym za lekko rozpaczliwy,
w stroju zdradzającym niedzielność stylu,
prędzej rzuca mnie na brzeg, niż o własnych siłach.
Szukając Atlantydy trzeba zmoczyć jądra.
Szukając jej mieszkańców nie sposób nie bulgotać.
Z prądem w stronę słowa „topielec” – ciężko się ekshumować. ---

Czy miasta, które znajdują się pod wodą
określimy mianem autonomicznych?
Czy ich mieszkańców i mieszkanki potraktujemy
jako niezidentyfikowane obiekty pływające?

Albo wreszcie: czy przesuwając porty
w głąb lądu, spychając historię w wartki nurt
mglistej przyszłości, a pamięć uznając za pracę,
czy pod poziomem morza zachowa się tożsamość?

Wodnik ma w sobie wiele sprzeczności.
Osoby urodzone między --- są uparte oraz kreatywne.
Często kwestionują otaczającą je rzeczywistość.

Osoby urodzone pod znakiem Ryb są zamknięte w sobie
i pogrążone w marzeniach. Uciekają od prozy życia,
a wymyślonych idei nie potrafią doprowadzić do końca.

VII

--- Hej, historyku wieków przyszłych,
białymi wargi noc szeptem mi powie
szczęście męskości: bezmyśl, beznadzieję;
gdy kładłem się, dniało, wstaję – też dnieje,
powiedz, przyszły historyku, proszę, co się dzieje,
dlaczego bulgocząc nagle znikają z alej
samochody barwy *Nifuroksazyd metallic*. ---

Najbardziej idealnym miejscem na nową stolicę
jest rejon, na który składają się dystrykty. Operacja
pochłonie pieniądze, tak, jak woda dotychczasową stolicę.
Partnerstwo publiczno-prywatne na ratunek mieszkańcom.

Teren zapada się pod ciężarem konstrukcji,
fundamenty są zatapiane przez wodę,
poziom morza podnosi się. Państwo już wie
to, co my wiemy, a czego państwa nie.

Tym, co czyni tę nadzieję radykalną,
jest jej ukierunkowanie na dobro
w przyszłości, które wykracza

poza aktualną zdolność rozumienia,
czym ono jest. Wodnicza lasagne
ma rybi posmak. Nie chciałaś wiedzieć.

VIII

Fala staje w poprzek kilka metrów od brzegu
i zaczyna się dzielić: na pół, na pół
i raz jeszcze na pół, potem możemy zaobserwować
poszczególne cząsteczki fali, ich zachłanne twarzoczaszki

– wirki-płazińce walczą ze sobą
ostrymi jak sztylety penisami,
a ten, który zwycięży
ma prawo zapłodnić pokonanego.

Z każdą decyzją administracyjną
oddaliśmy się od natury, z odrobiną dobytku
i płonną nadzieją oddaliśmy się od natury,

która jest tuż – konstelacja cząsteczek
składających się na falę robi krok na przód,
brzuch ryby, brzuch wodnika, wszystko podrób.

--- Zanurzyłem swe dłonie w mleczne gwiazd odmęty
pragnąc by me ramiona dzień i noc okuły,
dzień i noc w konstelacji fali pojedyncze korpuskuły
wyłuskiwałem, licząc, że da się przenieść
prawidła nowoczesnej teorii monetarnej na fizykę
bez popełniania błędu złożenia, ale nie złożyło się,
porwany trójząb ruszył z nurtem i przepadł. ---

XII

--- W świecie cieplejszym o cztery stopnie w ekosystemie Ziemi
wrzało będzie tyle klęsk żywiołowych, że zaczniemy po prostu
nazywać je pogodą: niekontrolowane tajfuny, tornada, powódzie i susze,
regularne zdarzenia klimatyczne, które jeszcze niedawno niszczyły całe cywilizacje.
Potężne huragany będą nadciągać częściej i trzeba będzie wymyślać nowe kategorie
na ich opisanie; tornada będą szaleć o wiele częściej, zostawiając za sobą
coraz dłuższe i szersze pasma zniszczenia. Bryłki gradu będą cztery razy większe. ---

A wszystkie żywy, każda kropla
i każdy pyłek, żar i popiół,
wszystko strząśnie się w jedno
faint Manila, so familiar.

Dzień – dzień oto blisko. Przecież dzień blisko –
Dławcież wszystko, wszystkich: winnych, niewinnych,
wypłacalnych i wyciągających ręce po bailout,
posiadaczy i będących w posiadaniu;

wynoszących swe domy na poziom drogi
niby kolejny biszkopt na tort urodzinowy;
kopra, cukier, drewno, tekstylia
i sprzęt elektroniczny, co do zasady hydrofobiczny;

pociąg ze stacji climate denialism
przez stację climate delayism,
wprost w objęcia katastrofy.

XXI

Miasta suche jak zaczyn
na wyrabiane domowym sposobem
mleko kokosowe, ale i to się zmieni,
jeśli dożyjemy,
jeśli inne końce świata
będą tak łaskawe.

Dziś dzień umownie wolny
i prawnie odizolowany,
więc poranek poematu,
wypoczęty jeszcze przed budzikiem,
z obowiązkowym pocałunkiem w czółko
i szybkim smeraniem po basie,
czy tak będą wyglądały nasze dni?

Chciałbym,
ale mam obawy.

W świecie, w którym najmniejszy przestój
potrafi zrównać ruchomy gmach z ziemią,
gdzie kobiety na traktory,
a koty na iRoboty,
w którym wyobrażenie to jedno,
umowa, nawet pisemna – drugie,
a praktyka przeciąga ospale
ciągnąc ospałego przez asfalt i garaże
opowieść trzecią,
najmniej atrakcyjną ze wszystkich,
cóż, ale mam obawy!

Szczepan kazał was pozdrowić,
może nie tyle powiedział, że to minie,

co starał się dać do zrozumienia,
że ktoś zrobi to za nas.

No tak, tylko kto?
Analitycy „Rzeczypospolitej”,
któraś z agend Unii Europejskiej,
młodoliteracki komunizm z obficie nawoskowanym pianinem?

Śmiem wątpić.
Gdy byłem wróblem,
cieszył mnie każdy okruch.
Teraz rozglądam się na boki
i widzę jakby większą
rozpiętość skrzydeł;
nie jest to może sturamiennie słońce,
ale aspiruje. E!
Schuyler stwierdził, że to tylko światło,
a ja widzę je dokładnie,
choć lekarz medycyny pracy
zapropozował wstępną diagnostykę jaskry:
natura raczej nie pozwala sobie
na druciarstwo, te wszystkie odbłyски,
feerie o różnych dnia porach,
tu nie ma przypadku,
jeśli akurat stać cię na dobry widok,
pomyślmy – to chyba nie o nas;
hej, ten stan wyjątkowy
to tylko preludium,
macie pianino, więc grajcie,
pamiętajcie tylko, że moneta
wrzucona do fontanny
przynosi szczęście,
ale głównie temu, kto ją wyłowi!

Którejś nocy już przed tym uciekaliśmy,
biegłem przez miasto
przypominające Bydgoszcz i Lublin,
chowałem się przed falą
na wielopoziomowym parkingu
nieczynnej galerii handlowej,
śniąc podprogowe lokowanie produktu.

Mam wrażenie, że wszystkie falochrony
wykonano z papieru,
że huta szkła wygrała przetarg
na przeszklenie polderów,
że folder dewelopera
nie zająknął się o poziomie mórz.

Więc może nie do końca:

Berlin, Budapeszt, Paryż i Londyn
Kair, Mediolan, Moskwa i New York
Elbląg, Koszalin, Gdynia, Warszawa
Gdańsk, Sopot, Modlin, Lublin, Białystok
Suwałki, Kielce, Wrzeszcz, Wejcherowo
i Nowe Łupki, i Zakopane,

ale raczej:

Aleksandria, Bandżul, Bangkok, Bombaj, Boston,
Dżakarta, Gdańsk, Ho Chi Minh, Lagos, Londyn.
Manila, Meksyk, Neapol, Nowy Jork, San Francisco,
Sydney, Szanghaj, Szczecin, Wenecja.

Dziewicze są kalendarze niedoczekañ,
ale da się je zapisać dociekawszy!

Nie sposób ratować wszystkich statystyk jednocześnie,
kurs na poziomie studiów pierwszego stopnia
pozwala jedynie z jako taką świadomością
załamywać ręce.

Teraz wiemy już dobrze, że
grubość portfela
to nowa
wartość społeczna,
że dobrem publicznym
staje się
dobrodusznie ofiarowane
w nadziei na przychylność
mierzoną zwolnieniem z podatku.

Ile tygodni musi minąć, żeby dostrzec,
że to nie są ćwiczenia?

Że się zmienia,
i choć brak zdolności do pracy zdalnej,
trzeba sobie przetłumaczyć,
brak miejsca na wątpliwości
w powszechnym wezwaniu do wodoszczelności,
do zanurzenia o kolejny głębarek,
bulgocząc pod falą
ratunku, rybicja!

I znikąd nadziei, że wróci agenda,
że w pełnym ludzi taborze MZK
będziemy rozmawiać o męskim rozkraczaniu,
że dostrzeżemy problem mieszkaniowy
sięgając dalej, niż własne m2
– chciałbym żyć inaczej, niż ryby.

Miasta zamieszkane przez morską faunę
i tak wydają się nieco mniej przerażające.

Wszeghogarniający kryzys
to świetny czas
na wprowadzenie zakazu zgromadzeń.

Gdy pozwolą nam wyjść,
czy nadal będzie dokąd
i po co?

Jasne, drobne przyjemności po drodze,
liczne korzyści wynikające z posiadania
psa, łapanie umiejscorzonych powłok natury
w chwilach wyrwanych pracodawcy,
może to, że kiedy Róża biega po błoniach,
wyciągamy z kieszeni kurtki papierosy,
ale zanim podam ci ogień,
całuję cię w czołko
jakby świat nigdy miał się nie skończyć,
i cóż, nie kończy się,
patrz, te ciężarówki muszą coś dokądś,
te zakłady pracy muszą jeszcze kiedyś,
ponadto dopóki ty jesteś,
jaki tam koniec świata,
wszystko do poskładania.

Mam w pliku cytaty o chmurze,
który nieco unieważnia te o fali,
ale nie jestem w stanie go przekopiować,
a na przepisywanie nie mam ochoty.

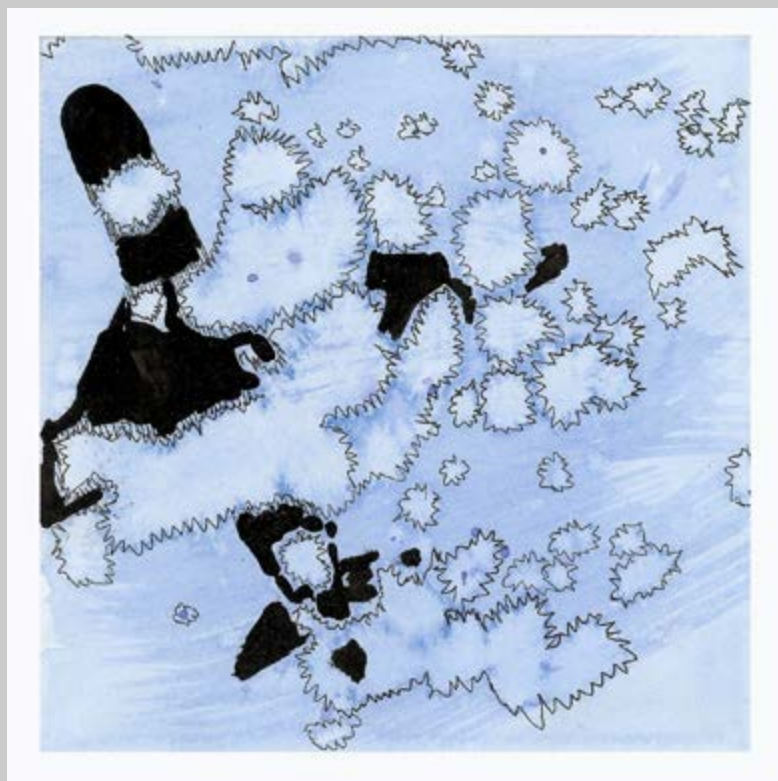
Wybaczenie.

Znam tylko trzy stopnie niepewności:
nie wiem, z czego zostanę zapamiętany;
nie wiem, czy zostanę zapamiętany;
nie wiem, czy będzie ktokolwiek, kto mógłby pamiętać.

Kiepsko pływam, a ty?
Styłem powszechnie uznawanym za lekko rozpaczliwy,
w stroju zdradzającym niedzielność stylu,
prędzej rzuca mnie na brzeg, niż o własnych siłach.

Tomasz Bąk

Captain, we're sinking!



Marcin 11 Pryt

Jesteśmy ugotowani, zresztą zgodnie z przepisem: zalani wodą, przykryci dystrakcyjną pokrywką świata. Możliwe, że wykipimy, i nie będzie już nikogo, kto mógłby podnieść pokrywkę, ale na razie wolimy to wykpić – bo problem wydaje się odległy, bo być może wcale nie będzie nas dotyczył, bo jesteśmy zarobieni, a po pracy musimy odpisać na maile i zapętlić serial. Dlaczego mielibyśmy za-

uważyć, że zapętlony serial jest pętlą na naszych szyjach?

Pisanie o katastrofie klimatycznej nie jest najprzyjemniejsze. Po pierwsze dlatego, że pisząc na ten temat, kompletnie nie da się już uciec na platformę streamingową. Co więcej, system naczyń połączonych, jakim jest klimat naszej jedynej planety (czy Elon Musk mnie słyszy?), jego oddziaływania i reakcje są trudne do ob-

jęcia umysłem, a co dopiero tekstem. A to tylko bariery wejścia, drobiazgi w porównaniu do barier wyjścia – wyjścia z tekstem do ludzi.

Pierwsza z nich niejako pokrywa się z drugą barierą wejścia – Andri Snær Magnason, autor jednej z najlepszych literackich prób zmierzenia się z tematem nieuniknionego zmierzchu antropocenu, pisał, że świetnie radzimy sobie z ogarnięciem relatywnie niewielkich (co nie znaczy, że nie tragicznych) strat, ale nasze sposoby zarządzania tego typu kryzysami kiepsko się skalują, więc gdy rzecz dotyczy podstaw naszej egzystencji w ujęciu absolutnie globalnym, słyszymy jedynie biały szum. Jeśli w ogóle chcemy go usłyszeć – bo to druga z barier wyjścia, istotna trudność w zdobyciu choć odrobiny uwagi, gdy zaczynamy mówić o katastrofie klimatycznej. Trzecią, dla mnie najbardziej odstręczającą, jest konieczność polemiki: gdy napiszesz cokolwiek o klimacie, musisz być przygotowany na to, że z całego internetu zlecą się ludzie, którzy wiedzą lepiej, ludzie, którzy widzieli śnieg w lutym, deszcz w lipcu, a i wrześniowa fala upałów z perspektywy ich klimatyzowanego biura wydała się raczej mało uciążliwa. Oprócz dowodów anegdotycznych, w komentarzach z pewnością pojawią się argumenty o zabijaniu przedsiębiorczości i gospodarki, gułagach, światowym spisku, iluminati, no i klasyczny imposybilizm z cyklu (że pozwolę sobie zacytować puentę dowcipu opowiedzianego mi lata temu przez Konrada Góre): „no, to Kadafiego zabiliście, i co dalej?”

Wszystko to sprawia, że nie wystarczy znaleźć siły, cierpliwości i determinacji, żeby pisać o katastrofie klimatycznej –

trzeba jeszcze znaleźć sposób. Wydaje się jednak, że jako poeta mam trochę łatwiej. Jeśli przyjmiemy, że poezja jest wysławianiem czegoś po raz pierwszy (chciałaby!), to pewnie wystarczy znaleźć odpowiednio nośną metaforę, i wszystko się jakoś ułoży, byle tylko dopilnować średniówki, no i wpleść na przestrzeni książki chociaż z pięć słów, których znaczenie czytelniczka będzie musiała sobie wygooglać. Serio?

Pisanie o katastrofie jako przepis na katastrofę, połączenie medytacji z obserwacją uczestniczącą, plus te nachalne, czułości-kowe odniesienia do atlasu roślin. No cóż, ci, którzy kiedyś czytali moje wiersze, pewnie wiedzą, że wolałbym tego nie robić...

Z pomocą przyszedł mi clickbaitowy artykuł o charakterze popularnonaukowym, w którym pojawiła się lista miast, które – zdaniem klimatologów – do 2100 roku mają znaleźć się pod wodą. Bogactwo funkcji pełnionych przez te ośrodki miejskie uderzyło mnie natychmiastowo – stolice państw i jednostek podziału administracyjnego, centra nauki, kultury i biznesu, porty morskie i lotnicze, miejsca kultu, zabytki z listy światowego dziedzictwa, centralne punkty historii narodów i mniejszości etnicznych, rasowych czy seksualnych. Gotowiec, nic, tylko się częstować. Lista była wyjątkowo długa, pozwoliłem sobie wynotować dziewiętnaście z nich – wybrałem te, które wydały mi się istotne, interesujące, lub zwyczajnie były Szczecinem.

A dlaczego akurat dziewiętnaście? Gdy miałem już temat i centralną metaforę, zacząłem zastanawiać się nad formą, którą mógłbym wypełnić bulgoczącą już treścią – zależało mi na tym, żeby XXI wiek był w centrum nie tylko treści, ale całej

go projektu formalnego. Wiedziałem, że chcę mieć dwadzieścia jeden osobnych tekstów w książce, ale pomyślałem, że to trochę za mało... dojmujące. Stąd pomysł na budowę pojedynczego wiersza, którego format określiłem jako sonet i pół – dwie strofy po cztery wersy, dwie strofy po trzy, plus dodatkowa siedmiowersowa zwrotka, najczęściej budowana na zasadzie dygresji, a pozycjonowana w trzech możliwych miejscach wiersza: na początku, na końcu lub między dwoma sonetowymi blokami, w zależności od ostatecznego kształtu części zasadniczej. Uznałem też, że gdy każdy z pojedynczych wierszy będzie opowiadał o konkretnym mieście, układ może wydać się nieco nieczytelny, dlatego zdecydowałem się na napisanie wprowadzenia i zakończenia w osobnych tekstach, a przy okazji poematu wieńczącego całość pozwoliłem sobie na bardziej swobodną formę, która pozwoliła mi wyzwolić większy ładunek emocjonalny. Zostało mi więc miejsce na dziewiętnaście tekstów o konkretnych miastach, oto i one: Aleksandria, Bandżul, Bangkok, Bombaj, Boston, Dżakarta, Gdańsk, Ho Chi Minh, Lagos, Londyn, Manila, Meksyk, Neapol, Nowy Jork, San Francisco, Sydney, Szanghaj, Szczecin, Wenecja.

Oczywiście jedna metafora to trochę mało, jak na książkę poetycką, dlatego potrzebowałem czegoś jeszcze – stąd pomysł na dodanie pewnej irracjonalnej nuty poprzez posiłkowanie się astrologią (nie jest to do końca korzystanie z jej zasobów – wystarczyły mi dwa znaki zodiaku powszechnie kojarzone z wodą, i to też raczej jako figury stylistyczne, a nie osobne byty astralne), stąd powracający motyw pamięci, który jest pewną wariacją ars

poetica (poezja, która nie ocala pamięci o życiu i utracie życia, bo nie będzie już nikogo, kto mógłby pamiętać), a także – kluczowa dla treści książki – osoba patrona. XXI... zacząłem pisać w listopadzie 2019 roku, a więc równo sto lat po tym, jak Anatol Stern – nieco przykurzony poeta polskiej awangardy – opublikował poemat *Nagi człowiek w śródmieściu*, futurystyczny (choć jakoś jednak zaczepony w epokach wcześniejszych, głównie romantyzmie) tekst poświęcony miastu, pisany z energią, której w tym temacie mógłby pozazdrościć nawet młody Tuwim. Zderzenie futurystycznego, ale nieco zapomnianego poematu, z pseudo-klasyczną formą (wspomniany już *sonet i pół*), dołożenie szczypty z tradycji awangardy (a nie awangardy jako takiej, bo ciężko nazwać *Nagiego wodnika w śródmieściu* książką awangardową) do w sumie zachowawczego, raczej spokojnego tekstu – to już było wyzwanie, na które wtedy akurat miałem ochotę (tu wstaw swój ulubiony cytat z papieża-Polaka).

Więc mniej więcej tak to właśnie wygląda – połączenie tematycznej konieczności z formalnymi kapryсами, próba poetyckiego opisu przyszłości (i tego, jak zachowa się w niej nasza teraźniejszość), a nade wszystko dość jednak poważna praca nad dyskursem, próba przeniesienia rozmowy o katastrofie klimatycznej z symbolicznych już roślinek i zwierzątek na materialne podstawy egzystencji, podstawy jednak jakoś nam bliskie, nie tak całkiem abstrakcyjne – nasze maszyny do mieszkania, nasze środki transportu, nasze wymarzone destynacje turystyczne, miejsca, w których lubimy przebywać. Grajmy.

Tomasz Bąk



Mam 11 Prnt 2020

China Miéville

Granice utopii

[pierwodruk: „Salvage”, 2.03.2018]

Oficjalne raporty okazują się skażone dystopią.

Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) domaga się obniżenia emisji o jedną trzecią w celu zapobieżenia katastrofie. KPMG, przyciężką korporacyjną powerpointszczyzną, opisuje horyzont podobnie. NASA częściowo finansuje raport ostrzegający, że systemowy cywilizacyjny upadek „jest trudny do uniknięcia”. Możemy spierać się o szczególne konkretne modele, ale nie o to, że koniec wszystkiego jest w zasięgu wzroku, dla wszystkich pod rozważę.

Odór i huk zatrutych miast, smętne podziemne bunkry, popielne krajobrazy... Gorszość jest wyrzutem sumienia lepszości, dystopie – gestami sprzeciwu integralnymi dla utopijnej tradycji. Marzymy, ale równocześnie ostrzegamy – bo nasze najpiękniejsze sny i najgorsze koszmary wespół powstrzymują nas przed ocknięciem się. Jeśli to spieprzymy, zostaniemy z wyschniętą, zalaną, mroźną, upalną, martwą Ziemią. Ale jeśli damy radę... Dysponujemy tyloma wersjami marzeń o Nowym Edenie, że jedno życie nie wystarczy, by je zgłębić – pochodzą od le Guin, Piercy’ego i niezliczonych innych – to wizje tego, co niemal dwa tysiąclecia temu Ojciec Kościoła Laktancjusz w *Divinae Institutiones* nazwał „światem odnowionym”: „[Z]iemia okaże swą płodność i z własnej woli

wyda plony obfite; góry skaliste spłyną miodem; wino biec będzie strumieniami, a mlekiem wypełnią się koryta rzek; świat się więc rozraduje, a wraz z nim cała natura, uwolniona spod jarzma zła i bezbożności, winy i występku”.

Nigdy nie chodzi zaś tylko o świat: u Laktancjusza, jak w każdej z najlepszych utopii, chodzi także o ludzkość. Świat się rozraduje, bo wreszcie będziemy mogli go zamieszkać, wolni od zła, bezbożności, winy i występku, którymi go przeorałiliśmy. Relacja między ludzkością a tym, co dziś nazwalibyśmy środowiskiem, zostanie uzdrowiona.

Owa bogata tradycja nie uchroniła jednak niezliczonych przedsięwzięć na rzecz środowiska przed porażką – nie tylko w kwestii zmiany świata, ale nawet jeśli chodzi o ambicje skromniejsze, zmiany samego sposobu mówienia o zmianie świata. My, którzy chcemy innej, lepszej Ziemi, jesteśmy – zasadnie zresztą – dumni z tego, że podtrzymujemy przy życiu alternatywne wizje, w epoce, która karze za samą myśl o zmianie. Potrzebujemy utopii. To właściwie jedno z założeń aktywizmu jako takiego; gdyby alternatywy dla tego świata były nie do pomyślenia, jak mielibyśmy go zmieniać?

Utopia ma jednak swoje granice – może być toksyczna. Jaka jest cena nadziei? Jaki jest koszt jej braku?

W 1985 roku samorząd miejski Los Angeles ogłosił lokację planowanej spalarni śmieci w południowo-centralnej części miasta, w rok po tym, jak Kalifornijski Urząd Gospodarki Odpadami zapłacił pół miliona dolarów firmie konsultacyjnej Cerrell Associates za doradztwo w kwestii budowania podobnych kontrowersyjnych i toksycznych obiektów. Raport Cerrella to instrukcja, która wylicza cechy „najmniej opornego» profilu osobowościowego”. Celujcie w mniej wykształconych, radzi raport. Starszych. „Osiedla średnich i wyższych warstw socjoekonomicznych” – głosi raport – „nie powinny znajdować się w odległości mniejszej niż – odpowiednio – jedna i pięć mil od proponowanego miejsca budowy”.

Celujcie w biednych.

Wybór takiej właśnie strategii nie zaskakuje – zaskakuje, że się do niego przyznają. „Ale wiecie” – chciałoby się szepnąć – „że was słyszą?”

Zaznaczmy, że lokalna społeczność stawiała opór i, co więcej, odniosła sukces. Jednak tak zwana Wielka Dziesiątka „zielonych” grup – The Sierra Club, Friends of the Earth, National Resources Defense Council, Wilderness Society i inni – odmówiła wsparcia kampanii protestacyjnej. Sprawa nie dotyczyła ich zdaniem środowiska, tylko „zdrowia społeczności”.

Tradycyjna, koślawa logika stosowana przez *Big Green*. Zaczynj od heurystyk – wiejskie kontra miejskie, natura kontra społeczeństwo – a w obliczu opresji władzy łatwo staniesz się współwinny (albo i gorzej) środowiskowej niesprawiedliwości czy rasizmu. Uproszczony mieszkofobiczny utopizm może zjednoczyć najbardziej nostalgicznych konserwaty-

stów – szukających otuchy w parkach narodowych – z najbardziej ekscytacyjnymi posthipisami z eko-start-upu.

Według Laktancjusza to Bóg miał uzdrowić zepsutą naturę. My żyjemy w bardziej świeckich czasach (...powiedzmy), co nie znaczy, że wszyscy rezygnują z mesjanizmu: niektórzy włączają go w nowe, świeżo pozbawione treści totalności.

W 1968 roku Stewart Brand otworzył swój pierwszy *Whole Earth Catalogue* obrazem Błękitnej Planety, Ziemi Astronautki – kapsuły ratunkowej, w której tulimy się do siebie nawzajem. Obok umieszczono tekst: „Jesteśmy podobni bogom – podejźmy do tego porządnie”.

Oto, mówi zdjęcie, piękna totalność Gai. Oto, mówi podpis, ekologiczny podmiot: „My”. Co oczywiście pozostawia bez odpowiedzi pytanie, które w słynnej puencie bezlitosnego żartu Tonto stawia Jeźdźcowi Znikąd: „Kim jest «my»?”

Na skalę tego, co nadchodzi, odpowiedzieliśmy powszechnym i groźnym konwenansem, samoograniczającą zieloną potulnością. „Cokolwiek jest lepsze niż nic”. Stąd rozwiązania mające kusić biznes, stąd apele o to, by odrobinę nagiąć nasze ekonomiczne kalkulacje pod ekologię. Kapitalizm – mówi Jonathon Porritt, prominentny brytyjski działacz na rzecz środowiska – to jedyna dostępna dziś opcja.

I rzeczywiście, biznes się adaptuje, zgodnie z własnymi priorytetami. Niezależnie od ujadania wiernych im klimatoseptyków, wszystkie kompanie paliwowe mają Działy ds. Zmiany Klimatu – nie tyle po to, by z tą zmianą walczyć, ile by wymyślić, jak to zrobić, żeby nie przeskadzała w zyskach. Firmy ruszają na

podbój nowozmonetyzowanych terytoriów – stąd krótki boom na biopaliwa, które miały rzekomo rozwiązać problemy planety, ostatecznie prowadzą zaś do błyskawicznej deforestacji i zamieszek wywołanych niedoborami żywności, a w końcu zatopienia sektora i rynku. Niewidzialna Ręka teoretycznie powinna po sobie posprzątać przy pomocy Systemów Handlu Emisjami i kompensacji. Tymczasem rośnie liczba okazji i zachęt do szemranych umów i zawyżania wyjściowych szacunków; nieustannie rosną też emisje. Emitowane przez Unię Europejską obligacje węglowe pozostają nieodmiennie bezwartościowe. Mnożą się nowe instrumenty finansowe: derywaty pogodowe, które pozwalają czerpać zysk z samego chaosu klimatycznego. To, co nazywane bywa „obligacjami katastroficznymi”, przechodzi z rąk do rąk w ogromnych ilościach, bo jedną z pomniejszych ofiar kapitalizmu jest poczucie wstydu.

Obywatele przejmują się własną produkcją śmieci, którą powinniśmy, oczywiście, minimalizować. Ale w Wielkiej Brytanii tylko dziesięć procent odpadów pochodzi z gospodarstw domowych. Przypomnijmy, że sam koncept śmieci został wynaleziony przez amerykański przemysł produkcji opakowań w 1953 roku, w odpowiedzi na lokalny zakaz używania butelek jednorazowych. Parasol zatamizowanej, sprywatyzowanej winy, pod który się nas zagania, jest zupełnie celowym aktem dywersji.

W makroskali najbardziej ugodowe organizacje ekologiczne zaciemniają z kolei naturę sieci związków między degradacją środowiska, kapitalizmem i imperiaлизmem – sieci, w którą same są uwikła-

ne. W 2013 roku amerykańska Agencja Ochrony Środowiska przyznała Nagrodę National Climate Leadership – za „mierzenie się ze zmianą klimatyczną przy pomocy praktycznych, zdroworozsądkowych i oszczędnych rozwiązań” – koncernowi zbrojeniowemu Raytheon.

Nie jest jasne, czy Raytheonowskie drony ozdobione zostaną symbolem nagrody – tak, by ich oddanie sprawie zrównoważonego rozwoju połyskiwać mogło dumnie, jak płetwa złotej rybki, gdy zsyłają śmierć na afgańskie wioski.

W służbie zysku nawet uprawa drzew, mająca rzekomo przeciwdziałać skutkom emisji, może oznaczać przemoc. Zdarzają się rezultaty gorsze niż porażka: program Narodów Zjednoczonych w sprawie redukcji emisji spowodowanych wylesianiem i degradacją lasów – znany jako REDD – legalizuje, w imię dobra planety, uprawy monokulturowe i siłowe przejęcia ziemi, wszystko po to, by korporacje mogły nadal zanieczyszczać atmosferę. W Ugandzie 22,000 rolników zostało eksmitowanych ze względu na plany akredytowanej przy ONZ New Forest Company. W Kenii członkom plemienia Ogiek grożą brutalne przesiedlenia z lasu Mau – na podstawie projektu, który uzyskał błogosławieństwo ONZ. A na wypadek, gdyby potrzeba było mało subtelnej metafory, Guaraquecaba Climate Action Project w Brazylii, finansowany przez Chevron, General Motors i American Electric Power, zakazuje członkom plemienia Guaranów dostępu do ich własnego lasu, zatrudniając w tym celu uzbrojonych strażników zwanych „Forca Verde” – *Zielone Siły*.

To właśnie ochrona środowiska przez wywłaszczenie, którą Indigenous Envi-

ronmental Network nazywa Węglowym Kolonializmem.

Akcje przemysłu ciężkiego idą zaś w górę. Ostatni raport IPCC nie zachwiał rynkami finansowymi: wartość, którą nadal zapewniają one rezerwom ropy, węgla i benzyny, nie uwzględnia międzynarodowych celów klimatycznych, według których większa część owych rezerw musi pozostać w ziemi. Węglowa bańka to przyznanie wprost, że do wyboru mamy katastrofę klimatyczną lub katastrofę finansową.

Albo, oczywiście, obie naraz.

Zapomnijmy zresztą o jakiegokolwiek pozornej ludzkiej totalności: inna bardzo realna, niebezpieczna, współczesna totalność rozdaje tu karty, taka, z którą ochrona środowiska nie zdołała dotąd się zmierzyć. Jak ujął to Jason Moore: „Wall Street jest sposobem organizacji Natury”.

Już sam termin „Antropocen”, mając z jednej strony tę zaletę, że wskazuje na ludzki wpływ na zmiany środowiska, z drugiej strony pozostaje mylący przez to, że implicytnie zakłada jakieś „My”. Tymczasem przecież *homo sapiens, anthropos* zawsze – czy to poprzez deforestację tego, co dziś jest Wielką Brytanią, czy to przez wyćpienie megafauny w Ameryce Północnej, czy przez mrowie innych przykładów – wpływał zwrótnie na swój *-cen*, którego ekologii jest częścią, i przemieniał świat. Nie jest też tak, że owe zjawiska, uprzednio relatywnie lokalne, nabrały planetarnego i epokowego wymiaru – na podstawie którego przyznano im nowy geochronologiczny termin – z powodu narodzin przemysłu ciężkiego (jakoby zresztą, wedle zbyt wielu ujęć, cu-downych). Nie, stało się tak z uwagi na zmiany w obszarze ekonomii politycznej,

która ów przemysł i nas samych organizuje, przez stale przyspieszający cykl zysku i akumulacji.

Z tego właśnie powodu Moore, choć nie tylko on, upiera się, że nazwą epoki potencjalnej katastrofy jest nie Antropocen, a Kapitałocen.

Utopie są konieczne, są jednak też niewystarczające; co więcej, mogą w niektórych przypadkach stać się częścią ideologii systemu, owej złej totalności, która nami zarządza, ociepla nieboskłon i skazuje miliony na niewolniczą pracę pośród gór śmieci.

Utopia „bycia w tym razem” to kłamstwo. Sprawiedliwość ekologiczna wiązać się musi z przyznaniem, że nie ma „całej ziemi”, żadnego „my”, bez jakiegos „oni”. Nie jedziemy na tym samym wózku.

Co znaczy, że walczyć należy na przykład z tym, że grzywny za zanieczyszczenie wyciekami regionów zamieszkałych przez białą populację są pięć razy wyższe od grzywien za skażenie regionów zamieszkałych przez mniejszości; że należy nie tylko zapewnić warunki do życia ludziom, którzy utrzymują się z przetrzysania toksycznych odpadów, ale przede wszystkim rozliczyć śmieciowy imperializm, który ich tam umieścił, śmieciowy neoliberalizm, który powoduje, że ubogie państwa rywalizować muszą o przywilej zostania wysypiskiem.

Wynika z tego wreszcie, że należy przeciwstawić się bezpośrednio militarnym naciskom i przemocy. W samym 2012 roku zamordowano trzy razy więcej działaczy na rzecz środowiska i praw do ziemi niż w całej poprzedniej dekadzie. Środowiskowa sprawiedliwość oznacza stawianie oporu Shellowi nie tylko za to, że

zamienił nigeryjski Ogoniland w halucynogenne szambo, krajobraz petrochemicznego Ragnaroku, ale również za zapewnienie nigeryjskiemu państwu dopływu broni podczas panowania Saniego Abachy i po jego zakończeniu.

Handel bronią, dyktatury i morderstwa to też część polityki ekologicznej.

Ci, którzy są w pozycji dominacji, polegają nie tylko na bierności, ale na słabości tych, przeciwko którym występują. Raport Cerrella mówi jasno: „wszystkie grupy socjoekonomiczne będą oburzone perspektywą sąsiedztwa z wielkimi zakładami, ale ci ze średniej i wyższej warstwy mają większe możliwości realnego oporu”.

Innymi słowy, uderza się w biednych nie dlatego, że nie podniosą sprzeciwu, ale dlatego, że nie mają szansy wygrać – bo są biedni. Walka o ekologiczną sprawiedliwość to walka, by wykazać, że tak nie musi być.

Zacznijmy więc od nietotalności owego „my”. Z tego miejsca nie tylko widać stojące przed nami zadanie; możemy też powrócić stąd do naszych utopii, by oddać honor najlepszym z nich.

Rzeki mleka i wina mogą przestać jawić się jako eksces. Nie ma nic głupiego w podobnych pragnieniach: stanowią błysk w oku spoglądającym ku ludzkiej wolności, odwrót od tego, co jedynie konieczne. Nie są po prostu obrazkami nie z tego świata; to niespodziewane aspekty zupełnie realistycznej utopii, która uwzględnia ekonomię polityczną, pragnienie w imieniu walczących bezsilnych. W średniowiecznej chłopskiej utopii – Kulkanii – pada deszcz sera. Charles Fourier wyobrażał sobie morza spływające lemo-

niadą. „The Big Rock Candy Mountain”. Oto sny o dostępie do wiktów poza zasięgiem śniących, o redukcji pracy, o świecie, w którym wycieńczona ludzkość mogłaby odpocząć.

Odpuśćmy banalne zastrzeżenia wobec utopii: że są nieprzekonujące jako projekt wykonawczy (jakby kiedykolwiek miały nim być); że są mdłe, nudne, pozbawione kształtu i koloru i zawsze takie same. Zarzuty, że wizjonerskie aspiracje zawsze pogarszają tylko sprawę. Te bujdy służą utrzymaniu *status quo*.

Utopiom można postawić zarzuty poważniejsze, dla dobra ich samych i ich codziennego oddziaływania, bez którego narażają się na ryzyko – to zresztą jeden z owych zarzutów – że staną się wyłącznie metodą upuszczania pary, odreagowania.

Utopia nigdy nie była na przykład wyłączną domeną tych, którym zależy na wyzwoleniu. Różni osadnicy i wywłaszczeni przez wieki dowodzili swoich kompetencji w zarządzaniu środowiskiem, w opozycji do nieudolnych oczywiście miejscowych; dostrzegali potencjał terenów nagle uznanych za niezagospodarowane; zmieniali rzekome pustynie w kwitnące ponoć ogrody. Ekotopia legitymizowała osadnictwo i imperium na długo przed programami UN-REDD. Usprawiedliwiała mordy.

Istnieje wyobrażenie świata jako ogrodu w stanie zagrożenia, duszącego się pod toksycznym rozrostem. Ogrodnictwa jako wojny. Zadaniem byłoby „bezlitosne usuwanie chwastów, które pozbawiają lepsze rośliny wartości odżywczych, powietrza, światła, słońca”.

W tym przypadku lepsze rośliny to Arianie. Chwasty to Żydzi.

SS-Obergruppenfuhrer i Reichsminister Rolnictwa Trzeciej Rzeszy, Walther Darré, posklejał po trochu z gleboznawstwa, nostalgii, pogańskiego kiczu, imperializmu, wiejskiej mistyki i nienawiści rasowej w jedną wizję zielonej odnowy i opieki nad ziemią – opartych na ludobójstwie. Był najbardziej wpływowym teoretykiem ruchu *Blut und Boden* (Krew i Ziemia), nazistowskiej ekotopii organicznych gospodarstw rolnych i wskrzeszonych nordyckich lasów, strzeżonych przez czystej krwi chłopów-żołnierzy.

Choć krzew nie rozplenił się tak, jak Darré na to liczył, jego korzenie nie obumarły. Różnorodne ugrupowania faszystowskie na całym świecie nadal deklarują wierność idei ekologicznej odnowy, zielonego świata, i agitują z werwą przeciwko zmianie klimatycznej, zanieczyszczeniom i rabunkom, odcinając się od jednych truczyn w imię innych: logiki rasy.

Oczywiście reakcyjni apologetci Big Pollute (Wielkich Zanieczyszczaczy) zwyczajowo wyzywają ekologicznych aktywistów od faszystów. Nie oznacza to jednak, że aktywiści nie powinni bez litości tropić wszelkich faktycznych zbieżności – wręcz przeciwnie.

Elementy takiej eliminacjonistycznej, złej utopii są dość powszechne w samoswiadomych rejonach skrajnej prawicy. Całe pasma myśli ekologicznej uwikłane pozostają w mglistą, sentymentalno-spirytualną utopię, którą ekofeministka Chia Heller nazywa „Eko-la-la”. Skrzyżowana z wulgarnym maltuzjanizmem, w wersji bojowej nazywana Ekologią Głęboką, wiza ta szybko przechodzi z uroczej w brutalną, zgodnie z którą źródłem problemu jest przeludnienie, ludzkość jako taka. Za-

bawno-ekscentrycznym wcieleniem tych wizji jest ruch Voluntary Human Extinction Movement, zalecający zaprzestanie rozmnażania; najbardziej podłym zaś – deklaracje Davida Foremana z organizacji Earth First!, który w obliczu etiopskiego głodu w 1984 oświadczył: „Najgorsze, co możemy zrobić w Etiopii, to przekazać jej pomoc – najlepsze, to pozwolić naturze odzyskać równowagę, pozwolić tym ludziom po prostu umrzeć z głodu”.

Oto ekologiczna utopia masowej śmierci. Coś, co można by też nazwać apokalipsą.

Apokalipsa i utopia: koniec wszystkiego i horyzont nadziei. Wcale nie tak od siebie odległe, te dwie wizje zawsze pozostawały ściśle splecione. Czasem, jak u Laktancjusza, ich wyobrażona relacja ma naturę chronologiczną, a nawet przyczynowo-skutkową. Pierwsza – apokalipsa, uniesienie zasłony u końca czasów – toruje drogę drugiej, nowemu początkowi, czasom poza czasem.

Coś musiało się wydarzyć po drodze, dziś obie wydają się bowiem związane ze sobą mocniej niż kiedykolwiek. „Pogodzeni dzisiaj z potwornością” – głosił posępny i złowrogi filozof Emil Cioran – „jesteśmy świadkami zarażenia utopii apokalipsą [...]. Dwa gatunki, które zdawały się nam tak odmienne, utopia i apokalipsa przenikają się nawzajem, nawzajem się zabarwiają, tworząc gatunek trzeci” (tłum. Marek Bieńczyk). Ten rodzaj pogodzenia z potwornością, ten rodzaj przenikania są żywe w Głęboko Ekologicznych pragnieniach świata wyzbytego z ludzi. Plaga stała się marzeniem.

Nie mamy tu do końca do czynienia z dystopią; to trzeci gatunek – apokatopia,

utopialipsa – i wszędzie go pełno. Otacza nas kultura rozpadu, snów o upadłych miastach, wyludnionych światach przemierzanych przez zwierzęta. Znamy te klisze. Winorośl przejmując Wall Street, jakby ta jej się należała – a nie na odwrót; połacie śmieci, wydmy z odpadów; pozostałość jakiegoś majestatycznego, a teraz ledwo rozpoznawalnego mostu, stercząca, niby złowieszczą skocznia, prosto w otchłań. I tak dalej, i tak dalej.

Jest zupełnie tak, jakbyśmy nadal pragnęli dojrzeć coś lepszego, coś poza rumowiskiem, ale brakowało nam sił. Albo jakby ktoś podejmował wysiłki, by na nowo ustanowić owo „My”, tym razem negatywne – „My” jesteśmy problemem, a zatem nasza nieobecność, brak „My”, okazuje się idealnym, wzniosłym rozwiązaniem. Melancholia tego rodzaju jest jednak obłudna. W rzeczywistości widać tu entuzjazm, ledwo ukrywany zapał dla owych rzekomych ostrzeżeń, katastrof. Apokalipsożercy nikogo nie zwiodą. Na długo bowiem zanim Shelley wyobraził sobie dzień, w którym „Kaplica Westminsteru stać będzie w ruinie, bez imienia ni kształtu, wśród bagien bezludnych”, widzieliśmy w tych scenach piękno.

Wszyscy przeglądaliśmy, z rozdziawionymi ustami, zdjęcia z Czarnobyli, z opuszczonej japońskiej wyspy Gunkanjima, z ruin Detroit, dzięki clickbaitowym listom w rodzaju Top Ten Najbardziej Ekscytujących Creepy Opuszczonych Miejsc. Nie powinniśmy czuć się z tego powodu winni. Nasza trwoga na myśl o tragediach i przestępstwach stojących za tymi obrazami jest prawdziwa: współistnieje z westchnieniami podziwu raczej, niż je wymazuje. Nie decydujemy

swobodnie, co zapiera nam dech. Tego, jakie obrazy nas pochłaniają, nie da się też zredukować do takich albo innych politycznych poglądów. Z pewnością jednak amoralne piękno naszych apokaliptyki może zająć się z czymś brutalnym i złowieszczym, z eliminacjonistycznym obrzydzeniem.

Tak kempowo symptomatycznej kulturowej materii nie sposób nie czytać diagnostycznie. Cóż innego mielibyśmy zrobić z potopem filmów o potopie, z piętrzącymi się – niby rumowisko rosnące pod Benjaminowskim Aniołem Historii – tekstami o spiętrzaniu rumowisk?

Symptomy zlewają się ze światem. Jaskółka, choćby nie wiadomo jak wysokobudżetowa, wiosny nie czyni; ale nie trzeba być Żiżkiem, by zdiagnozować kulturowy uskok, gdy w Pacific Rim Guillerma del Toro Idris Elba wyje „Dzisiaj odwołujemy apokalipsę”. Może przejadł się nam koniec i wraz z tym okrzykiem wchodzimy w inny post-porządek: apokalipsy nieudanej. Oto wracamy – z nową, wydajną nadzieją.

Podobne przesunięcie dostrzec można we wzroście zainteresowania geoinżynierią, ideami dawniej kojarzonymi z tanią fantastyką bądź rojeniami ekscentryków. Dziś, snute na planetarną skalę plany rozpylenia w stratosferze kwasu, tworzącego odbijające promieniowanie cząsteczki lustrowane – co miałyby pomóc usunąć CO₂ z atmosfery – albo pomysł podniesienia wód bentonicznych w celu ochłodzenia oceanów, promowane są przez laureatów Nobla, dyskutowane na łamach „New Yorkera” i „MIT Technology Review”. Nowa nadzieja, nowe „damy radę”, powrót ludzkiej sprawczości, rękawy zakasane,

naprawiamy usterkę. Przy pomocy nauki – i przy wsparciu „Science”.

Ten rodzaj hackowania planety jest jednak kompletnie spekulatywny, kontrowersyjny, a także – według ostatnich doniesień niemieckiego Helmholtz Centre – nawet przy najbardziej szkodliwych przewidywaniach głęboko niewystarczający, by powstrzymać klimatyczny chaos. Wedle jakichkolwiek sensownych kryteriów, absurdem jest zakładać, że podobne plany są bardziej racjonalne niż wdrażanie środków społecznych mających na celu obniżenie emisji – środków, które są nam całkowicie dostępne tu i teraz, ale które wymagałyby transformacji systemu politycznego.

Lewicowym komunałem stało się stwierdzenie, że łatwiej dzisiaj wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu – Andreas Malm wskazuje, że dzięki pojawieniu się geoinżynierii, łatwiej wyobrazić sobie celową transformację całej planety niż ekonomii politycznej. To, co na pierwszy rzut oka może wydawać się nowym prometeizmem, jest raczej kapitulacją, ustępstwem na rzecz *status quo*. Utopia pomaga tutaj usprawiedliwić starą władzę, uzasadnić istnienie nieprzekraczalnych czerwonych linii.

Ponownie: jaki jest koszt nadziei?

Siedemdziesięciu procentom załogi zamkniętej fabryki Union Carbide w Bhopal, w Indiach, potrącono pensję za odmowę łamania zasad bezpieczeństwa. Poziom zatrudnień był za niski, odczyty sprawdzano o połowę za rzadko. Żaden z sześciu systemów bezpieczeństwa nie działał tak, jak powinien, o ile w ogóle jakoś działał. Związek zawodowy podniósł protest, ale został zignorowany.

3 grudnia 1984 roku z fabryki wylało się 27 ton izocyjanianu metylu. Między osiem a dziesięć tysięcy ludzi zginęło tej nocy, 25 tysięcy zmarło w kolejnych dniach i tygodniach. Pół miliona zostało ranne, z czego około 70 tysięcy trwale i szpecąco. Współczynnik wad u noworodków wzrósł drastycznie. Wody gruntowe nadal wykazują zawartość toksyn znacznie przekraczającą poziom bezpieczeństwa.

Początkowo indyjski rząd zażądał 3,3 miliardów dolarów odszkodowań; na walkę z tymi żądaniem Union Carbide wydało 50 milionów. W końcu, w 1989 roku, firma w trybie pozasądowym zgodziła się wypłacić kwotę 470 milionów dolarów, 15 procent kwoty wyjściowej. Poszkodowani jako zadośćuczynienie otrzymali między 300 a 500 dolarów na głowę. Jak stwierdziła Kathy Hunt, przedstawicielka Dow-Carbide ds. spraw publicznych, w 2002 roku „500 dolarów to całkiem sporo dla Indusa”.

Po co przypominać te koszmarnie, znane fakty? Nie tylko dlatego, że – jak powszechnie wiadomo – Warren Anderson, były CEO Carbide’u, nigdy nie został ekstradowany, by stanąć przed indyjskim sądem – mimo wydanego nakazu aresztowania. Nie dlatego też, że Carbide – i Dow Chemicals, które wykupiło je w 2001 roku – zaprzecza wszelkiej odpowiedzialności za wypadek, odmawia uprzątnięcia terenu katastrofy i w ogóle jakiegokolwiek odpowiedzi na wezwania indyjskiego sądu. Jest inny powód.

W 1989 roku „Wall Street Journal” podał, że amerykańska kadra kierownicza była ogromnie zaniepokojona owym pierwszym dużym sprawdzianem, mającym wykazać, czy amerykańskie korporacje ponoszą odpowiedzialność prawną za wy-

padki w krajach rozwijających się. Wreszcie, w październiku 1991, nadszedł kluczowy moment: Sąd Najwyższy Indii podtrzymał ofertę Carbide i oddalił wszystkie wszystkie nierozstrzygnięte pozwy przeciwko spółce, gwarantując jej tym samym prawną ochronę. Ceny udziałów natychmiast poszybowały w górę, Wall Street dowiedziało się bowiem, że jego priorytety przeważą. Sytuacja była bezpieczna.

Oto rzeczywiste przenikanie się apokalipsy i utopii. Apokalipsa dla tysięcy, którzy zmarli na skutek porażenia płuc. A dla korporacji – upewnionych właśnie, że biedni, w odróżnieniu od zysku, są naprawdę zbywalni? Utopia na co dzień.

Oto kolejna z granic utopii: żyjemy w utopii, po prostu nie naszej.

A więc żyjemy też w apokalipsie.

Ziemia: do ustalenia. Utopia? Apokalipsa? Czy gorzej jest mieć nadzieję, czy rozpacz? Na to pytanie może być tylko jedna odpowiedź: tak. Gorzej jest mieć nadzieję lub rozpacz.

Zła nadzieja i zła rozpacz konstytuują się wzajemnie. Kapitalizm dopada cię niezależnie od tego, w którą stronę się obrócisz. „My” możemy naprawić problem, który „my” wywołaliśmy. A kiedy „my”, geoinżynierowie, poniesiemy porażkę, „my” będziemy musieli ją przetrwać – podszeptuje nam „nasze” nieczyste sumienie, preppersi hodujący puszki fasoli.

Czy istnieje lepszy optymizm? Albo właściwy sposób tracenia nadziei? To zależy, kto ma nadzieję, na co, dla kogo – i przeciwko komu. Musimy nauczyć się ostrzej żywić nadzieje.

Nie damy zastraszyć się tym, którzy żądają, żebyśmy przedstawili nasze własne, biurokratyczne rozwiązania. Nie cierpimy

wcale na niedobór modeli wartych rozważenia – ale radykalna krytyka codzienności pozostaje zasadna nawet przy braku alternatyw. Pójdźmy dalej: jeśli traktujemy utopię poważnie, jako totalną transformację, sama jej skala oznacza, że nie możemy pomyśleć jej po tej stronie. Pozwoli nam na to dopiero sam proces jej tworzenia. To właśnie wierność utopii powoduje, że odmawiamy jej prostego wyartykułowania, czy też przedstawienia „mapy drogowej”.

W utopię, ile sił! Wraz ze spełnioną ludzkością powinniśmy śnić latające wyspy, samoustanawiające się koralowe osiedla, napędzane fotosyntezą samochody hodowane z poddanego biosplicingowi szpiku kostnego. Big Rock Candy Mountains. Ponieważ takich snów nigdy nie pomylimy z prostymi planami, ani po prostu z niedorzecznościami.

Utopie to nowe testy Rorschacha. Wylewamy swoje wątpliwości i idee, a potem, śniąc, składamy kartkę i rozkładamy ją ponownie, by ujawnić zaskakujące wzory. Wylewać możemy do pewnego stopnia intencjonalnie, ale co wyjdzie, uchodzi precyzyjnemu planowaniu. Nasze utopie mają być źródłem radości i podziwu: wkładamy w nie nasze wątpliwości, one zaś mówią nam o naszym teraz, o preutopijnych nas. Podlegają interpretacji. Tak samo jak utopie naszych wrogów.

Zrozumieć, z czym się mierzymy, oznacza nabrać do tego szacunku. Ziemia płonie nie dlatego, że rabusie są głupi albo irracjonalni, albo popełniają błąd, albo mają niewystarczające dane. Powinniśmy podjąć walkę o swoją sprawę tak pilnie, jak to możliwe, i dążyć do wygrania kolejnych sporów, ale nie łudźmy się:

samooszukiwanie się przez jakiegoś CEO, jego poczucie winy czy okazjonalna łza nie zmieniają tego, że w świecie maksymalizacji zysków zachowanie instytucji podtrzymujących nasze *status quo* jest racjonalne. Jednostki, a czasem nawet różne organizacje mogą stawiać mu opór w określonych przypadkach, ale tylko poprzez odrzucenie logiki systemu. To coś, czego sam system, oczywiście, nie może zrobić.

Walka o sprawiedliwość ekologiczną oznacza walkę przeciwko systemowi, bo w niesprawiedliwości kryją się ogromne zyski. Batalia nie zawsze będzie dotyczyć katastrofy klimatycznej czy wywłaszczeń ziemi: w neoliberalizmie, nawet lokalne walki o ulotne chwile zielonego życia miejskiego są ostatecznie walką przeciwko władzy. Protesty, które wstrząsnęły państwem tureckim w 2013 roku, rozpoczęły się od rządowego planu zabudowania parku Gezi, jednego z ostatnich terenów zielonych w mieście.

Nasza walka jest najskuteczniejsza, gdy zamiast zachwalać „bycie w tym razem”, podkreślamy coś wręcz przeciwnego: fakt, że istnieją strony. Podobno zbliżamy się do punktu krytycznego. Zamiast liczyć na zgodność, naszą najlepszą nadzieją jest konflikt. Naszym celem, jednym z aspektów naszej utopijności, powinna być strategia napięcia.

Istnieje zarówno zły pesymizm, jak i zły optymizm. Wbrew zręczliwej kapitulacji, powiedzmy, Jamesa Lovgrove’a, mamy naukowe przesłanki, by sądzić, że jeszcze nie przekroczyliśmy punktu, po którym nie ma odwrotu. Musimy dążyć do innego punktu krytycznego, do nieodwracalnej zmiany społecznej, to zaś wymaga innego pesymizmu: bezkompro-

misowego w dostrzeganiu tego, jak źle naprawdę jest.

Pesymizm ma złą reputację wśród aktywistów, przerażonych perspektywą kapitulacji. Ale aktywizm bez zakorzenienia w dyscyplinie pesymizmu jest po prostu sentymentalizmem.

Jest nadzieja. Żeby jednak okazała się prawdziwa – chroniona kolczastym drutem i wyostrzona w broń – nie możemy się po prostu na nią zdać. Musimy ją testować, poddawać naciskom odpowiedniej niemal-rozpaczy. Potrzebujemy utopii, ale by pomyśleć utopię, w tym świecie, bez wściekłości, bez furii, to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić. W obliczu tego, co zostało dokonane, nie możemy myśleć utopii bez nienawiści.

Nawet nasze końce świata zdają się zbyt Wigowskie w duchu. Skończmy z ideą apokalipsy chłopa, wójta i plebana; niech żyją utopie antynomiańskie. Nadzieja, która wyrzeka się nadziei rządzących.

Zwykle to najrozważniejsi rzekomo krytycy okazują się myśleć najmniej realistycznie. Jak mówi Joel Kovel: „możemy mieć akumulację kapitału albo ekologiczną integralność, ale nigdy obie te rzeczy naraz”. Wierzyć, że może być inaczej, byłoby pomysłem najwyższej osobliwym, gdyby nie tak groźnym.

W 2003 roku William Stavropoulos, CEO Dow – który, przypominam, nie jest niczego winien chemicznie okaleczonemu Bhopalowi – stwierdził w komunikacie prasowym: „Bycie ekologicznie odpowiedzialnym ma biznesowy sens”.

I to, w pejoratywnym sensie, jest najbardziej absurdalną z utopii.

China Miéville

Przełożyła Marta Koronkiewicz

Sam Kriss

Porzuć przyszłość

Jeśli z obchodów Dnia Powrotu do przyszłości wynika jakaś lekcja, to taka, że przyszłość nas nie uratuje.

[pierwodruk: jacobinmag.com, 11.21.2015]



Marcin 11 Pryt

W zeszłym miesiącu doczekaliśmy wreszcie Dnia Powrotu do przyszłości – daty, do której przenosi się Marty McFly w filmie *Powrót do przyszłości II* z 1989 roku. Stanowiło to coś w rodzaju wyroku śmierci dla naszej epoki: odtąd wszyscy żyjemy już w przyszłości; czas, w którym rzeczy mogły się zmienić, minął, a możliwości wypełniające niegdyś patrzącą nam w twarz pustkę rozmyły się w ponurej, przytłaczającej aktualności roku 2015. Tym razem nie ma szans na żaden powrót.

Może to dlatego tyle osób narzeka, że nasza przyszłość nie wygląda dostatecznie futurystycznie. Gdzie są latające samochody? Latające deskorolki? Reaktor fuzyjny w każdym domu?

Są też jednak tacy, którzy zwracają uwagę na rzekomą prognostyczną wartość filmu: przedstawia nam przecież dystopijną wersję 2015 roku, w której futurystyczna pozłotka ukrywa daleko posunięty społeczny rozkład; w której brutalnie wydajny system sprawiedliwości pozwala na aresztowanie kogoś, przeprowadzenie całego procesu i wydanie wyroku w ciągu jednego dnia; w której cała młodzież obróciła się bądź to w opryskliwych, nihilistycznych cyber-gotów, bądź w oszłomionych tępaków bez reszty pochłoniętych wszechobecnym cyfrowym spektaklem. Cóż, rozejrzyjmy się wokół siebie.

Dawne przepowiednie zawsze są fascynujące. Część najlepszych pochodzi

z początku XX wieku: wypełniają przestrzeń latającymi brykami, czasem nawet chwytają odległy przebłysk internetu, a jednocześnie nie są w stanie wyobrazić sobie, że kobiety pójdą kiedyś do wyborczych urn.

Jednak rozważać owe dawne prognozy wyłącznie w kategoriach ich trafności to zupełnie minąć się z celem. Proroctwa nie stoją z boku dialektyki historii, ale ją współtworzą; do pewnego stopnia, wszystkie przepowiednie należą do tych samospełniających się.

Obchody Dnia *Powrotu do przeszłości* pokazały to doskonale. Nike wypuściła samowiążące się buty (dokładnie jak w filmie!)¹; Pepsi – nową kolekcjonerską butelkę (w kształcie tej z filmu!)²; Hendo – działający *hoverboard* (zupełnie jak w filmie!)³. Szemrana aplikacja Lyft wylądowała na nasze ulice flotą DeLoreanów; USA Today pokryło pierwszą stronę własną wersją filmowego symulakrum.

To niemal jak coś z Borgesa: dzisiejsza rzeczywistość rekonstruuje się po to, by dopasować się do fantazji z przeszłości. Wizja dystopijnej przyszłości, opłacona i promowana przez Nike oraz Pepsi, zlewa się niemal niepostrzeżenie z faktyczną dystopijną współczesnością – opłaconą i promowaną przez Nike oraz Pepsi.

Narracje o podróżach w czasie często przydają tylko namacalności wrażeniu, które i tak tli się na obrzeżach doświadczenia – poczuciu, że kapitalizm zrobił coś nieprzyjemnego z czasem. Nic nie jest sobie do końca współczesne. Da się to wyczuć w despotyzmie post-fordowskiego zegara, w precyzyjnym przykrawaniu godzin i minut do jednostek, które nie mierzą prawdziwego rozwoju ludzkiego

życia, za to pozwalają opisać grafem naszą produktywność.

Istnieje mdlące wrażenie czasu dyslokowanego przez ideologię zarządzania nim; owe ckliwie podstępne zapewnienia, że dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia, ale powinienes go żyć tak, jakby był twoim ostatnim.

Jeszcze dalej rozwija się coś potężnego i pozaczasowego. Kapitał przetrząsa przeszłość i kanibalistycznie konsumuje własną przyszłość; zużywa zasoby, których jeszcze nie ma, poparte aktywami, które stracił dawno temu. Wszyscy, nawet najbardziej zażarli zwolennicy kapitalistycznej produkcji, przyznają – jakkolwiek niechętnie – że ów program stałej i nieskrępowanej ekspansji szkicuje na naszych oczach wizję ekologicznej apokalipsy⁴.

Już teraz zmieniamy własną przyszłość; niczym zdjęcie Marty'ego McFly'a i jego rodzeństwa, nasz zapas czasu znika w oczach. Może dlatego postulaty lewicy tak często krążą wokół żądania przyszłości, jakiejś przyszłości. Co jednak znaczyć może takie żądanie, skoro, jak pokazuje Dzień *Powrotu do przyszłości*, przyszłość już się wydarzyła?

W oryginalnym *Powrocie do przeszłości* Doc Brown w wersji z roku 1955 nieustannie ostrzega Marty'ego, by ten nie mówił mu nic o zdarzeniach z przyszłości – nie dlatego, że może to zachwiać obiektywną strukturą czasu, ale ze względu na to, co jakiegokolwiek obrazy możliwej przyszłości zrobić mogą z ludzkim doświadczeniem terażniejszości.

Doc Brown mógłby również dobrze przywołać *Park centralny* Waltera Benjamina, filozoficzne omówienie poezji

Charlesa Baudelaire'a, wykrojone z większego projektu *Pasaży*. Benjamin pisze, że Baudelaire „nie jest pesymistą. Nie jest nim, ponieważ według niego na przyszłości spoczywa tabu. W tym względzie jego heroizm odcina się jak najwyraźniej od heroizmu Nietzschego. Nie ma u niego jakiegokolwiek refleksji na temat przyszłości społeczeństwa burżuazyjnego”⁵.

Spleen Baudelaire'a jest „tarną na drodze pesymizmu”. Teraźniejszość nie stanowi tu łącznika pomiędzy przeszłością i przyszłością, ale czymś bezpośrednio danym, drażniącym i trzewnym: mgnienie obcego spojrzenia rozmywające się w tłumie, widok ludzkiego mięsa na ulicy.

Dostrzeżenie katastrofy kroczącej ku nam z przyszłości to pesymizm – ale dla Baudelaire'a i jego melancholii katastrofa jest już tutaj. Doświadczenie zostało wydrażone i odtąd nie da się myśleć bądź pisać poza tym stanem wielkiego zubożenia. Dlatego dystopijne sci-fi jest zawsze nieuchronnie reakcyjne, niezależnie od otwarcie progresywnych deklaracji którejkolwiek z przedstawicieli gatunku.

Świat terażniejszy może być zgniły i pusty, ale nasza rzeczywistość i tak stanowi raj w porównaniu ze złą przyszłością – nawet jeśli owa przyszłość jest tylko karykaturą tego, co mamy teraz. Dystopia zwalnia terażniejszość z odpowiedzialności; bierze najgorsze elementy faktycznie istniejącego społeczeństwa i przesuwa je w przyszłość. Horrory, które naprawdę naciskają na nas ze wszystkich stron, stają się nagle twórczą fantazją. Problem z pesymizmem w nastawieniu do przyszłości jest taki, że nigdy nie jest on wystarczająco pesymistyczny; odwraca nos od smrodu trupów.

Istnieje dość oczywista linia socjalistycznej krytyki serii *Powrót do przyszłości*: „właściwy” *timeline* to zawsze ten, w którym rodzina McFly dostępuje szczęścia i dobrobytu w rozwarstwowanym społeczeństwie klasowym, podczas gdy fałszywy to ten, w którym wyrywający się przed szereg proletariusz-antagonista Biff nie zostaje wystarczająco uciemiony. Fredric Jameson odnotowuje, że *Powrót do przyszłości* został „stworzony w bezprecedensowo regresywnym momencie amerykańskiej historii”⁶.

Reaganowska terażniejszość zostaje tu wzmocniona przez powrót do konserwatywnych lat 50. oraz na wskroś kapitalistyczną wizję XXI wieku; gdy Marty McFly ląduje w nowym stuleciu, przeżywa krótki kulturowy szok, ale ma to związek bardziej ze sposobem gry na gitarze niż z jakąkolwiek społeczną zmianą, która miała miejsce przez lata. Co uzgadnia się mniej więcej z naszym własnym *timelinem*.

Filmy z serii są dziś nadal popularne, ponieważ ucieleśniają pewne centralne wartości, które nie zmieniły się od czasu ich powstania: zajadłą pogardę klasową, pogoń za prywatnym bogactwem, męską asertywność w ramach edypalnej rodziny nuklearnej. (To znaczące, że w pierwszym filmie cała przyszłość zależy od męskiej zdolności skutecznego skanalizowania i nagięcia kobiecej seksualności).

Parafrazując Philpa K. Dicka, innego z wielkich proroków podróży w czasie, lata 80. nigdy się nie skończyły. Jednym z centralnych motywów *Powrotu do przyszłości* jest zegar, którego wskazówki nie ruszyły się od uderzenia pioruna w 1955 roku – mimo całego skakania między alternatywnymi *timeline*'ami, filmy tkwią

wciąż w dusznej momentalności powojennej społecznej represji. My zaś zostaliśmy zamrożeni razem z nimi, kręcąc się w coraz ciaśniejsze kółko w przyszłości, która jest niczym więcej niż wiecznym powrotem tego samego.

Jeśli z obchodów Dnia *Powrotu do przyszłości* wynika jakaś lekcja, to taka, że przyszłość nas nie uratuje. Już w niej jesteśmy, byliśmy od zawsze, i jest gówniana. Lepiej byłoby już postawić sobie kolektywne zadanie obalenia przyszłości w ogóle. Z miejsca, w którym stoimy, w środku koszmaru rodem z sci-fi, wszystko dobre, co może się jeszcze zdarzyć, widać wyłącznie jako przepastne i nieznanne Nie-To. Jak często w takich przypadkach, szaleni libijscy nacjonaliści z *Powrotu do przyszłości* byli na właściwym tropie: zapomnij o przyszłości, zastrzel szalonego naukowca, zbuduj dużą bombę na potrzeby tu i teraz.

Nie znaczy to jednak, że mamy osunąć się z powrotem w defetyzm cechujący rozpad przyszłości: porzucić politykę dla dobroczynności albo nadzieję dla nihilistycznej przemocy.

Sama odmowa rozważania przyszłości mogłaby właściwie zostać nazwana Utopią – jedyną nadal możliwą Utopią. Słowo utopia oznacza, jak wiadomo, zarówno „dobre miejsce”, jak i „nie-miejsce”.

Marks i Engels krytykowali utopijnych dziewiętnastowiecznych socjalistów za transcendentalizm i idealizm, za konstruowanie idealnych społeczeństw, przeznaczonych do zamieszkania przez abstrakcyjnych racjonalnych obywateli; za lekceważenie istniejącego świata na sposób, który dziś niespodziewanie przywoździ na myśl nasze własne rozczarowanie

nędzą przyszłości, zawód fana *Powrotu...* w świecie bez masowo produkowanych latających deskorolek: „Krótko mówiąc, instytucje społeczne i polityczne stworzone przez «zwycięstwo rozumu» okazały się w porównaniu ze wspaniałymi zapowiedziami myślicieli Oświecenia budzącymi gorzkie rozczarowanie karykaturami”⁷.

Naukowy socjalizm, przeciwnie, osadzony jest w faktycznym, teraźniejszym doświadczeniu robotników. Materialistyczny Utopizm to taki, który rozumiałby, że spojrzenie rozumu nie stoi obok czasu; nie mamy przemieszczających się czasoprzestrzennymi tunelami DeLoreanów, do których moglibyśmy wpakować cały proletariatus. Utopia to nie-miejsce – jak zauważył Theodor Adorno, w wnętrza naszego kalekiego świata nie możemy skontualizować sobie tego, jak mogłoby wyglądać dobre życie. Wiemy tylko, że na pewno nie tak.

Sam Kriss

Przełożył Paweł Kaczmarski

PRZYPISY

- 1 <https://abcnews.go.com/Business/nike-back-future-tying-shoes/story?id=34624788>.
- 2 <https://www.usatoday.com/story/money/2015/10/05/pepsi-perfect-back-to-the-future/73224922>.
- 3 <https://www.yahoo.com/tech/hendo-hoverboard-20-sorry-marty-you-cant-mcfly-043933288.html>.
- 4 <https://www.jacobinmag.com/2013/06/back-to-no-future>.
- 5 Walter Benjamin, *Park centralny*, w: tegoż, *Twórca jako wytwórca*, wyb. i tłum. Hubert Orłowski, Poznań 1975, s. 389–390.
- 6 <http://www.lrb.co.uk/v37/n17/fredric-jameson/in-hyperspace>.
- 7 Karol Marks, Fryderyk Engels, *Anty-Dühring*, w: tychże, *Dzieła. Tom 20.*, tłum. Paweł Hoffman, Tadeusz Zabłudowski, red. Jerzy Płudowski, Stefan Łompięś, Warszawa 1972, s. 287.

Maciej Szlinder

Hegemonia postpracy

O książce *Wymyślając przyszłość*
Nicka Srnicka i Alexa Williamsa



Marcin 11 Pryt

Nie sposób nie zacząć tej recenzji od pewnego doprecyzowania. Książka *Wymyślając przyszłość* została bowiem wydana w oryginale w 2015 roku, a zatem w świecie, w którym Barack Obama zmierzał do końca swojej drugiej kadencji w Białym Domu, przeprowadzenie referendum brexitowego było jedynie jedną z wielu obietnic wyborczych, a nadzieję

w Partii Pracy rozbudzał nowy przewodniczący – Jeremy Corbyn, który wreszcie stanowczo odcinał się od wypaczeń neoliberalnej trzeciej drogi blairystów. Polskie tłumaczenie ukazało się w 2019 roku, który z dzisiejszej perspektywy również wydaje się niezwykle odległy: nikt nie słyszał wówczas o COVID-19, prezydentem USA był Donald Trump, Corbyn nadal był

liderem opozycji, a Wielka Brytania nie rozpoczęła jeszcze formalnie procesu wychodzenia z UE. Dla każdej książki, która jest zanurzona w polityczno-teoretycznej debacie, czas musi być nieubłagany, obnażając naiwność niektórych oczekiwań, nietrafność prognoz czy ulotność przenikającego tekstu nastroju. Dlatego nie ma sensu pisać o zawartych w książce Srnicka i Williamsa konkretnych oczekiwaniach w odniesieniu do zmian na rynku pracy, procesu automatyzacji czy nadziei związanych z kryptowalutami. Warto skupić się na tych elementach przedstawianego w niej programu, które pozostają nie tylko w mocy, ale wręcz zyskują na aktualności z każdym mijającym miesiącem.

Piszę o programie, gdyż książka *Wymyślając przyszłość* jest właśnie manifestem ideologicznym i politycznym programem, który zawiera mniej lub bardziej konkretne odpowiedzi na fundamentalne dylematy lewicy w XXI wieku. Autorzy wskazują zarówno podstawową wartość ideologiczną (w imię czego?), konkretne polityczne postulaty i żądania, które najlepiej ją zrealizują (o co walczyć?), dotychczasowe błędne orientacje strategiczne i organizacyjne (jak i dlaczego przegrywamy?) oraz te, którymi należy je zastąpić (jak wygramy?). W tym tekście krótko przedstawimy te odpowiedzi, które mogą być użyteczne i atrakcyjne zarówno dzisiaj, jak i w przewidywalnej przyszłości.

W imię czego walczymy?

W polskim dyskursie publicznym termin wolność nieodczownie łączy się ze swobodą gospodarczą przedsiębiorczych jednostek i firm, nieograniczanych przez

państwo zbędnymi regulacjami i nieobciążanych nadmiernymi podatkami. Za obrońców wolności uchodzą pravicowi politycy i twardogłowi neoliberalowie, a „wolnościowcami” nazywają się paleoliberalowie i neofaszyści.

Dlatego każda książka, która przypomina, że wolność można rozumieć w mniej ograniczony i jałowy sposób, jest w naszym kraju na wagę złota. Srnick i Williams – powołując się, jakżeby inaczej, na Marksa i Engelsa – w centrum swojego projektu stawiają właśnie wolność, ale wolność, która jest nierozzerwalnie powiązana z władzą: „Jeśli władza jest podstawową zdolnością do wywierania wpływu na innych, to zwiększanie naszej zdolności do realizowania naszych pragnień jest jednocześnie zwiększaniem naszej wolności” (130). Taką wolność nazywają syntetyczną.

Osiągnięcie takiej wolności zależy od zapewnienia podstawowych potrzeb życiowych, poszerzenia zasobów społecznych oraz rozwoju możliwości technologicznych. W tym ostatnim aspekcie autorzy w transhumanistycznym duchu wspominają o przekraczaniu naturalnych ograniczeń i odważnym sięganiu po „wzbogacenia cyborgiczne, sztuczne życie, biologię syntetyczną czy technologicznie zapośredniczoną reprodukcję” (134).

Realizacja podstawowych potrzeb wymaga zaś sprawnie działających i dostępnych usług publicznych: od ochrony zdrowia, przez opiekę i edukację, po transport i mieszkalnictwo. Ale wymaga również zdobycia zasobów takich jak czas i pieniądze, a ściślej rzecz biorąc – wydarcia ich z objęć kapitalistycznego sposobu

produkcji opartego na pracy zarobkowej i powiązanej z nią etyce.

O co walczymy?

Z tym zadaniem bezpośrednio są powiązane trzy z czterech głównych postulatów/żądań¹ Srnicka i Williamsa: osłabienie etosu pracy, skrócenie tygodnia pracy i zapewnienie dochodu podstawowego (215)². Przeciwstawienie się dominacji pracy nie dotyczy oczywiście szeroko rozumianej twórczej aktywności przekształcającej rzeczywistość materialną i społeczną (czyli pracy w szerokim rozumieniu będącej, choćby dla Marksa, istotą człowieczeństwa), ale pracy zarobkowej. To do tej pracy jesteśmy zmuszani w systemie kapitalistycznym, a przymus ten jest cechą konstytutywną klasy pracowniczej.

Srniczek i Williams słusznie zauważają, że „zdecydowanej większości ludzi praca nie daje sensu, spełnienia czy wybawienia – jest po prostu czymś, co trzeba robić, żeby zapłacić rachunki” (214). Przymus ekonomiczny jest wzmocniony nadbudową ideologiczną etosu pracy: najbardziej godna szacunku jest ciężka praca, a wynagrodzenie musi wiązać się z cierpieniem i wyrzeczeniami. Praca nie musi być sensowna ani satysfakcjonująca dla osoby ją wykonującej. Ważne, by była ciężką robotą zajmującą znaczną część dnia. W swojej książce Srniczek i Williams jasno odcinają się od tej lewicy, która fetyszyzuje pracę zarobkową i samą tożsamość robotniczą³. Przeciwstawiają się otwarciu kapitalistycznemu etosowi pracy przenikającemu naszą kulturę i zachowania. Kult bezsensownej harówki⁴, masa niewiele wartych prac⁵, patologiczny system pomocy społecznej zmuszający

do pracy (*workfare*)⁶, a także całkowite podporządkowanie systemu szkolnictwa odpowiedniej alokacji siły roboczej – to nic innego jak konsekwentna realizacja zasad tego etosu. Jego funkcją jest oczywiście normalizacja podziału klasowego, pacyfikacja oporu i dyscyplinowanie miliardów pracujących.

Jest nim także stałe zwiększanie wyzysku poprzez zwiększanie godzin pracy. W wielu krajach, w tym w Polsce realnie przepracowane godziny pracy przekraczają ustawowy wymiar czasu pracy. Co więcej, to właśnie w naszym kraju kult pracy po godzinach jest szczególnie obecny. Jeśli spojrzymy na średnią roczną liczbę godzin pracy, to Polska zarówno w 2019, jak i 2020 roku znajdowała się w czołówce państw OECD. Z 1781–1766 godzinami w roku wyprzedziliśmy nie tylko inne kraje regionu (takie jak Węgry 1722–1660, Słowacja 1692–1572, Litwa 1665–1595), ale drastycznie odstawiamy od państw zachodniej i północnej Europy (takich jak Hiszpania 1688–1577, Wielka Brytania 1537–1367, Francja 1511–1402, Szwecja 1452–1424 czy Niemcy 1383–1332)⁷.

Srniczek i Williams przypominają, że praca zarobkowa nie ogranicza się jedynie do formalnych, oficjalnych godzin pracy. Co najmniej od neoliberalnego zwrotu w latach 70. XX wieku na Zachodzie, a w Polsce po transformacji ustrojowej praca zarobkowa „zaczęła przenikać każdy aspekt naszego życia. W pewnym sensie wielu z nas jest nieustannie w pracy z powodu e-maili, telefonów, sms-ów i związanych z nią trosk” (196). Coraz powszechniejsza jest również nieopłacona praca użytkowników/konsumentów (kas samoobsługowych, bankomatów, mediów

społecznościowych), którą autorzy *Wymyślając przyszłość* nazywają „pracą ukrytą”. Zatrudnienie wiąże się również z pracą wykonywaną poza godzinami pracy, ale niezbędną do jego utrzymania⁸, a w tym „zarządzanie finansami, poszukiwanie pracy w przypadku bezrobocia, nieustanne podnoszenie kwalifikacji, dojazd do miejsca pracy” (197). A nie wspomnieliśmy jeszcze o nieopłaconej pracy domowej i opiekuńczej (głównie kobiet) – niezbędnej do utrzymania kapitalistycznego systemu pracy najemnej w ogóle.

Stąd drugim postulatem Srnicka i Williamsa jest skracanie czasu pracy. Przypominają oni o powszechnych w czasach Keynesa przewidywaniach na XXI wiek co do zaledwie kilkunastu godzin pracy w tygodniu. Ten postulat jest kluczowy w lewicowej strategii co najmniej od czasów Marksa i – jak trafnie wskazują autorzy omawianej książki – nawet jego skromna realizacja inicjuje „idealny, nieprzerwany cykl, w którym każde poszczególne zwycięstwo wzmacnia pozycję negocjacyjną w następnym sporze” (198).

Dochód podstawowy

Dopełnieniem programu przewyżczającego kapitalistyczną opresję pracy zarobkowej jest osłabienie zależności ekonomicznej od teźże pracy przez zapewnienie wszystkim bezwarunkowego dochodu podstawowego (BDP). Srnicek i Williams wymieniają szereg pozytywnych konsekwencji wprowadzenia tego rozwiązania⁹, takich jak: „zmniejszenie ubóstwa, poprawa i obniżenie kosztów opieki zdrowotnej, więcej osób kończących szkołę średnią, ograniczenie drobnej przestępczości, więcej czasu dla rodziny i przyjaciół, a także

redukcja państwowej biurokracji” (204), redukowanie niepewności ekonomicznej (207), przewartościowania różnych prac i zawodów (207).

Jednak głównym powodem, dla którego popierają oni BDP, jest jego potencjał polityczny, polegający na zmianie relacji między pracą i kapitałem (205). Zwracają uwagę, że siła klasowa pracowników zwiększyłaby się nie tylko z uwagi na usunięcie przymusu pracy, ale także wzmocnienie akcji strajkowych. BDP ma też niezaprzeczalny walor łączenia potrzeb różnych części klasy pracującej, w tym „zatrudnionych, bezrobotnych, pracujących w niepełnym wymiarze godzin, pracowników sezonowych i tymczasowych, studentów i osób niepełnosprawnych” (206).

BDP zmieniliby również relacje między płciami i poprawił sytuację kobiet. Po pierwsze, „przyczyniłby się do uznania większości nieodpłatnych prac opiekuńczych” (208). Pozwolił również na porzucanie przemocowych i dysfunkcyjnych gospodarstw domowych, a także ułatwił „eksperymentowanie z różnymi rodzajami rodzin i struktur społecznych”, uderzając tym samym w model sprywatyzowanej rodziny nuklearnej (209).

Wszystkie opisane wyżej postulaty (a także czwarty postulat pełnej automatyzacji) wzajemnie się wzmacniają. Jak piszą Srnicek i Williams, BDP wzmocni „potencjał skrócenia tygodnia pracy i poszerzenia władzy klasowej. Przyspieszy on również projekt pełnej automatyzacji [...]. Cele te rezonują ze sobą, co zwiększa siłę całego programu” (215). Postulaty te stanowią także spójną opowieść o lepszym świecie, świecie czasu wolnego, rozwo-

ju, braku alienacji i wyzysku. Opowieść o świecie po kapitalizmie, o nowej hegemonii postpracy, która „będzie odporna na próby odejścia od niej, ponieważ wytworzy masę wyborczą, dla której jej trwanie będzie opłacalne” (215).

Polityka folkowa – jak i dlaczego przegrywamy?

Jednak nie tylko niewystarczająco spójne lub zbyt zachowawcze żądania stoją u podstaw słabej pozycji lewicy względem wciąż dobrze trzymającego się neoliberalnego kapitalizmu. Problemem jest także zła strategia polityczna i organizacyjna, wręcz niewłaściwe rozumienie tego, czym w ogóle powinna być polityka lewicowa. Srnicek i Williams nazywają ten rodzaj polityki, który – ich zdaniem – zdominował sposób myślenia i działania wielu lewicowych organizacji i ruchów (m.in. ruchu antyglobalistycznego czy Occupy Wall Street), a także stoi na przeszkodzie realnej zmianie systemu, mianem „polityki folkowej”. Termin ten łączy się zarówno z kwestią zdrowego rozsądku, myślenia potoczne-go (a więc pewnego antyintelektualizmu), jak i „czegoś w małej skali, autentycznego, tradycyjnego i naturalnego” (30).

Autorzy *Wymyślając przyszłość* wskazują na pięć podstawowych problematycznych cech polityki folkowej:

a) Horyzontalizm. Założenie, że każda organizacja i każdy ruch powinien mieć jak najbardziej płaską strukturę. „Decyzje polityczne mają być podejmowane nie przez przedstawicieli, ale przez jednostki, które reprezentują same siebie” (54). Organizacja musi być tak skonstruowana, by wewnątrz odzwierciedlać, w mikro-skali, świat, o który walczy.

b) Lokalizm. Koncentracja na działaniach lokalnych, których bezpośrednie efekty widać gołym okiem.

c) Nostalgia. Właściwa głównie części partii socjaldemokratycznych wiara, że możliwy i pożądany jest powrót do powojennego „złotego wieku” kapitalizmu. Czyli powrót do „produkcji w uporządkowanym środowisku fabrycznym, w którym robotnicy (biali mężczyźni) mieli zapewnione bezpieczeństwo i podstawowy standard życia w zamian za ogłupiającą nudę i opresję społeczną. [...] System ten opierał się na międzynarodowej hierarchii imperiów, kolonii i nierozwiniętych peryferii, narodowej hierarchii rasowej i płciowej oraz sztywnej hierarchii rodzinnej, podporządkowującej kobiety” (82)¹⁰.

d) Opór. Koncentracja na reakcyjnej obronie zdobytych praw i ochronie pozostałości demontowanego państwa dobrobytu. Często dominująca w działalności największych związków zawodowych.

e) Wycofanie. Rezygnacja jednostek z uczestnictwa w instytucjach społecznych. Próba tworzenia swojej wysepki równości i godności na oceanie kapitalizmu. Srnicek i Williams słusznie zauważają, że takie „autonomiczne przestrzenie” nie tylko nie zmieniają systemu, ale ich istnienie jest zależne od kapitalistycznego otoczenia. Jako przykład podają hiszpańskie miasto Marinaleda¹¹, gdzie mieszkańcy próbują tworzyć enklawę wolną od kapitalistycznej opresji. Jednak oddzielenie to jest tylko pozorne. „Materiały do budowy domów dostarczane są przez regionalny rząd, dotacje rolnicze pochodzą z Unii Europejskiej, miejsca pracy są utrzymane za sprawą odrzucenia urzędzeń ułatwiających pracę, dochód

pochodzi ze sprzedaży dóbr na zewnętrznych rynkach kapitalistycznych, a przedsiębiorstwa podlegają konkurencji kapitalistycznej i światowemu kryzysowi gospodarczemu” (85). Ta forma eskapizmu jest *de facto* rezygnacją z walki o zmianę świata i próbą uspokojenia własnego politycznego sumienia.

Polityka folkowa preferuje takie taktyki jak „protesty, marsze, okupowanie przestrzeni publicznej i różne inne formy działania bezpośredniego” (24). Zdaniem Srnicka i Williamsa zbyt często działania te ograniczają się do jałowego, rytualnego odgrywania po raz kolejny swoich ról przez aktywistów i policję. To powtarzający się teatr, który zaspokaja jedynie emocjonalne potrzeby samych uczestników tych akcji. Dla zewnętrznych obserwatorów żądania protestujących często są niejasne, nie mówiąc już o sytuacji, gdy celowo unika się formułowania konkretnych żądań i celów (np. by nie doprowadzić do podziałów wewnątrz ruchu, 26). „Wyraźnie widać tu symboliczną i rytualną naturę tych działań, którym towarzyszy dreszczyk emocji związany z tym, że coś się robi” (25). Polityka folkowa jest zatem redukcją poziomu politycznego do indywidualnej etyki. Tym samym jest to jednak wygodna dla neoliberalizmu rezygnacja z walki o systemową zmianę. Nic dziwnego, że nie przyniosła ona zatem takiej zmiany. Pytanie, co może ją przynieść?

Jak wygramy?

Srniczek i Williams w opozycji do polityki folkowej stawiają politykę hegemoniczną¹². Wskazują na skuteczny projekt hegemoniczny, któremu udało się doprowadzić

do zmiany modelu kapitalizmu, czyli na projekt neoliberalny. Opisana w *Wymyślając przyszłość* opowieść o neoliberalnych think-tankach, organizacjach pozarządowych, redakcjach, zjazdach i sieci biznesmenów, dziennikarzy, akademików, nauczycieli, literatów uzupełnia dostępne już polskim czytelnikom podobne próby opowiedzenia tej historii¹³.

Historia neoliberalizmu wskazuje nam na konieczność budowania polityki przy wykorzystaniu różnych narzędzi, ale zawsze nastawionej na realizację pewnych żądań i koncentrującej się na systemowej zmianie społecznej. Konieczne jest „połączenie sojuszy społecznych, myślenia strategicznego, pracy ideologicznej i instytucji” (226). Oznacza to, że rozwiązanie kryje się w odpowiednim powiązaniu między walkami odbywającymi się na różnych polach. Chodzi zatem o podział pracy i walkę klas w mediach, w środowisku kultury, na akademii i w systemie szkolnictwa, w parlamencie, w samorządach, na ulicach, w zakładach pracy. Walki te powinni się wzajemnie wzmacniać, ale każda z nich kieruje się swoją własną logiką i potrzebuje innych zdolności i predyspozycji uczestników, a także odmiennych taktyk. Wszystkie zaś przesuwają części „okna Overtona”, budując i utrzymując przepustowość „łącza dla idei i opcji, które mogą być «realistycznie» dyskutowane przez polityków, intelektualistów i kanały informacyjne, zyskując w ten sposób akceptację opinii publicznej” (226). W momencie kryzysu, ważne by gotowe były rozwiązania, które mogą zostać uznane za zarazem obiecujące i realistyczne.

Nie uda się to bez przynajmniej częściowo wygranej walki na akademii

w „zapewnieniu pluralizmu w nauczaniu ekonomii, ożywieniu badań nad ekonomią lewicową oraz rozwijaniu czytelnictwa prac popularyzujących ekonomię” (238–239). W ostatnich latach zauważamy tutaj pozytywne zmiany, ale polska akademia, jak zwykle, ciągnie się raczej w ogonie tych zmian. Tym niemniej pojawiają się bardzo obiecujące inicjatywy takie jak na przykład działania Polskiej Sieci Ekonomii¹⁴ czy Fundacji im. Edwar- da Lipińskiego¹⁵, książki wydawane przez Wydawnictwo Ekonomiczne Heterodox (ale także coraz więcej lewicowych książek ekonomicznych dostępnych choćby w Wydawnictwie PWN, Wydawnictwie Krytyki Politycznej, Instytucie Wydawniczym Książka i Prasa czy Wydawnictwie Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego), inicjatywy okołopandemiczne typu Pacjent-Europa¹⁶, Regeneracja zamiast tarczy¹⁷ czy „Dług dla regeneracji”¹⁸. Wskazują one na zachodzące zmiany polskiego środowiska ekonomicznego (szczególnie w młodszym pokoleniu ekonomistek i ekonomistów), ale także wspierają zwrot nie pęknięcie neoliberalnego i neoklasycy- znego betonu.

Ważnym elementem architektury hegemonicznej powinny być również związki zawodowe. Warto wspierać obecne w nich tendencje do szukania nowych form organizacji wokół lokalnych wspólnot (a nie tylko zakładów pracy), a także włączania pracowników o różnych formach i różnym aktualnym stosunku do zatrudnienia.

Nie można też pomijać roli partii politycznych próbujących działać w ramach polityki parlamentarnej i walczących o udział we władzy wykonawczej na

poziomie centralnym i samorządowym. Jak słusznie zauważają Srnicek i Williams: „Trzeba zajmować całkiem uprzywilejowaną pozycję, by nie troszczyć się o regulacje dotyczące płacy minimalnej, praw imigracyjnych, zmian w aspekcie wsparcia prawnego czy orzeczeń dotyczących aborcji” (281).

Czy to wystarczy?

Srnicek i Williams próbują przekonać nas, że rozwiązaniem problemu lewicy jest porzucenie nieodpowiedniego (polityka folkowa) sposobu działania i zastąpienie go lepszym (polityka hegemoniczna). Te dwa modele stanowią własne przeciwieństwa. Ta druga stawia na „przekonywanie i wpływanie, a nie zakładanie spontanicznego upolitycznienia; działa ona na różnych poziomach, a nie tylko w sferze tego, co namacalne i lokalne; zmierza do przejęcie trwałej, a nie doraźnej władzy w społeczeństwie” (257). Jednak ten jasny wybór jednej drogi i odrzucenie drugiej może budzić wątpliwości. Autor przedmowy do książki Jan Sowa zauważa, że problem „polega raczej na tym, że jest nas za mało i w związku z tym nie jesteśmy w stanie robić jednocześnie i jednego, i drugiego” (15). Wskazuje na szkodliwość wykluczenia danej strategii przez zwolenników innej – „partia polityczna zamiast ruchu społecznego (bądź odwrotnie), wystąpienia w mediach zamiast demonstracji na ulicy (bądź odwrotnie), zmiana stylu życia zamiast odgórných regulacji (bądź odwrotnie), związki zawodowe zamiast uniwersyteckich katedr (bądź odwrotnie)”. Zdaniem Sowy, potrzebujemy różnych form organizacyjnych i strategii.

Spór wydaje mi się tutaj jednak pozorny, ponieważ podobnego zdania są autorzy *Wymyślając przyszłość*. Krytykują raczej wyłączną koncentrację na akcjach bezpośrednich, protestach czy indywidualnych wyborach w zakresie stylu życia, a nie samą ich zasadność i miejsce w ramach hegemonicznej polityki. Książka Srnicka i Williamsa jest raczej nawoływaniem do niezamieniania polityki w etykę i orientowania się na konsekwencje działań dla zmiany systemu. Jeśli celem organizacji jest stworzenie bezpiecznej przestrzeni, żeby jej uczestnicy mogli w innych sferach podejmować skuteczne działania – świetnie. Jeśli jakaś organizacja ma być w pełni transparentna i horyzontalna, bo dzięki temu wytwarza pewne formy podmiotowości, a jej cele są głównie wewnętrzne – w porządku. Jeśli ma ona po prostu pomagać konkretnym potrzebującym osobom borykającym się ze szczególnie krzywdą lub będącym w trudnej sytuacji – doskonale. Ważne jednak, by nie wymagać realizacji tych funkcji od organizacji, których cele i funkcja są inne. Wymaganie tego na przykład od lewicowej partii politycznej, to jak próba wbijania gwoźdźcia ołówkiem. Nie do tego on wszak służy. Oczywiście, konkretne jednostki mogą być w jednym czasie zarazem aktywistami ruchu społecznego, politykami, działaczami związkowymi i akademikami. Ważne jednak, by używały one organizacji, w których działają jak narzędzi zgodnie z ich przeznaczeniem. Ważne, by nie próbowały dostosować danego narzędzia do czynności, do których mają akurat większe upodobanie czy predyspozycje. Nie oczekujemy też od konkretnych organizacji, że będą

działać tak, jak chcielibyśmy, żeby funkcjonował świat, o który walczyliśmy. Takie partie, związki zawodowe, organizacje pozarządowe czy grupy wsparcia są niczym biegacz maratonu, od którego wymaga się jednocześnie udanego skoku o tyczce, podniesienia sztangi i wygrania partii szachów w trakcie biegu. Nie skreślamy w ten sposób elementów sieci tworzącej nasz hegemoniczny projekt już na samym starcie. I choćby dla takich refleksji warto przeczytać *Wymyślając przyszłość* i o takiej prawdzie pamiętać zarówno w 2015, 2021, 2030, jak i 2050 roku.

Maciej Szlinder

BIBLIOGRAFIA

- Bugaj R. (2021), *Czy Polska może stać się państwem dobrobytu?*, „Wszystko Co Najważniejsze”, 27 marca. <https://wszystkoconajwazniejsze.pl/prof-ryszard-bugaj-czy-polska-moze-stac-sie-panstwem-dobrobytu/>
- Frase P. (2018), *Cztery przyszłości. Wizje świata po kapitalizmie*, przeł. M. Szlinder, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Górski, J. (2019), *Bezsensowny, ale widoczny zap***dol to świętość dla Polaków*, noizz.pl, 30 kwietnia, <https://noizz.pl/opinie/felieton-o-bezsensownej-pracy-po-polsku/lj87pjn.amp>
- Graeber D. (2019), *Praca bez sensu*, przeł. M. Denderski, Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Hardt M., Negri A. (2012), *Rzecz-pospolita. Poza własność prywatną i dobro publiczne*, przeł. Praktyka Teoretyczna, Kraków: Korporacja Ha!art.
- Harvey D. (2008), *Neoliberalizm: Historia katastrofy*, przeł. J.P. Listwan, Warszawa: Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”.
- Klein N. (2008), *Doktryna szoku. Jak współczesny kapitalizm wykorzystuje klęski żywiołowe i kryzysy społeczne*, przeł. H. Jankowska, T. Krzyżanowski, K. Makaruk, M. Penkala, Warszawa: Wydawnictwo Muza.
- Kussy, A., & Talego Vázquez, F. (2017). „Inny świat jest możliwy”: z gwarantowaną pracą czy

- z gwarantowanym dochodem? Przypadek Marinaledy, „Praktyka Teoretyczna”, 24 (2), 68–100. <https://doi.org/10.14746/prt.2017.2.3>
- Standing G. (2014), *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa*, przeł. K. Czarnecki, P. Kaczmarek, M. Karolak, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Standing G. (2015), *Karta prekariatu*, przeł. P. Juszkowiak, P. Kaczmarek, M. Szlinder, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Standing G. (2021), *Dochód podstawowy. Jak możemy sprawić, żeby to się udało*, P. Kaczmarek, T. Płomiński, M. Szlinder, Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Szlinder, M. (2018). *Bezwarunkowy dochód podstawowy. Rewolucyjna reforma społeczeństwa XXI wieku*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Szlinder, M. (2021). Państwo powinno w większym stopniu przejąć inicjatywę w kształtowaniu gospodarki, „Wszystko Co Najważniejsze”, 27 marca. <https://wszystkoconajwazniejsze.pl/maciej-szlinder-panstwo-powinno-w-wiekszym-stopniu-przejac-inicjatywe-w-kształtowaniu-gospodarki/>
- Weeks, K. (2020). *Polityka feministyczna anty/postpracy a obrona dochodu podstawowego*, „Praktyka Teoretyczna”, 37 (3), 119–151. <https://doi.org/10.14746/prt2020.3.6>
- PRZYPISY**
- 1 Żądania te są reformami, które autorzy nazywają „niereformistycznymi”, gdyż: (a) „ogólna rama żądań jest utopijna i wykracza poza to, na co kapitalizm może przystać”; (b) „opierają się na tendencjach występujących we współczesnym świecie, co daje im poręczenie, którego brak marzeniom rewolucyjnym”; (c) „przesuwają środek ciężkości obecnej polityki i budują platformą dalszego rozwoju” (180). W ten sposób te „niereformistyczne reformy” bliższe są innym próbom konceptualizacji wyjścia poza jałowy spór reforma/rewolucja proponowanych choćby przez Michała Kaleckiego („reforma przełomowa”), Adreę Fumagallo i Antonia Lucarello („reforma radykalna”) czy Yanna Mouliera-Boutanga („reforma rewolucyjna”). Zob. Szlinder (2018), 219.
 - 2 A pośrednio także czwarty, czyli żądanie pełnej automatyzacji.
 - 3 Za Standingiem możemy nazwać ją „laburystyczną” (Standing 2014, 2015).
 - 4 Górski 2019.
 - 5 Graeber 2019.
 - 6 Zob. Standing 2014, 2015, Szlinder 2021.
 - 7 W wypadku każdego kraju pierwsza, wyższa liczba dotyczy 2019 roku, a druga, niższa, pandemicznego 2020 roku.
 - 8 Guy Standing nazywa ten rodzaj pracy „pracą-dla-zatrudnienia” (Standing 2014, 245–246).
 - 9 Większość argumentów za dochodem podstawowym nie jest niczym nowym i można szerzej zapoznać się z nimi także w literaturze w języku polskim: Szlinder 2018, Standing 2021 (a także fragmenty Hardt, Negri 2012; Standing 2014, 2015; Frase 2018).
 - 10 Także na polskiej lewicy ma miejsce spór między zwolennikami odbudowy socjaldemokratycznego państwa dobrobytu rodem z lat 50. XX wieku, a bardziej radykalnymi propozycjami wykraczającymi poza ten model, bliższymi stanowisku Srnicka i Williama. Jednym z jej ostatnich przejawów była na przykład wymiana artykułów o polskim państwie dobrobytu zorganizowana przez, skądinąd konserwatywne, czasopismo „Wszystko Co Najważniejsze” (Bujaj 2021, Szlinder 2021).
 - 11 O problemach Marinaledy od strony sporu między gwarantowaniem pracy a dochodem podstawowym pisze na łamach „Praktyki Teoretycznej” dwójka antropologów Angelina Kussy i Felix Talego Vázquez (Kussy, Talego Vázquez 2017).
 - 12 Co istotne Srnicek i Williams delikatnie, acz wyraźnie odcinają się od teorii hegemonii Ernesta Laclaua i Chanta Mouffe, zarzucając im, że „wykorzystanie teorii dyskursu jako ontologii społecznej rzeczywiście skutkuje podejściem antyrealistycznym, niepotrzebnie szkodziąc szerszemu przedsięwzięciu rozumienia złożoności świata politycznego” (225).
 - 13 W języku polskim znaną już choćby z prac Davida Harveya czy Naomi Klein (Harvey 2008, Klein 2008).
 - 14 Zob. <https://plse.org.pl/>
 - 15 Zob. <https://fundacjalipinskiego.pl/>
 - 16 Zob. <https://wyborcza.pl/7,162657,25850107-pacjentem-ktoremu-grozi-smierc-sa-europejskie-wartosci-ludzkie.html>
 - 17 Zob. <https://regeneracjamanifest.wordpress.com/>
 - 18 Zob. <http://pospolita.eu/dlug-dla-regeneracji/>



Marcin 11 Pryt

Paweł Lisicki, *Epoka Antychrysta. Powiastka apokaliptyczna o czasach ostatecznych*, Lublin-Warszawa 2018; tenże, *Nowa wspaniała przyszłość. Zbiór opowiadań o tym, co nas czeka i nie tylko*, Kraków 2019.

Maciej
Urbanowski

Pawła Lisickiego ćwiczenia z przyszłości

Ktoś kiedyś opíše bardzo obszerny już dorobek i formalnie mocno zróżnicowany literacki Pawła Lisickiego i jego ewolucję od eseistycznego, chwalonego między innymi przez Czesława Miłosza zbioru esejów *Nie-ludzki Bóg* (1995) do uprawianej ostatnio beletrystyki, czego przykładami są wydany w 2019 tom opowiadań *Nowa wspaniała przeszłość* albo o rok wcześniejsza powieść *Epoka Antychrysta*. Dwa ostatnie utwory sygnalizują też wzrost zainteresowania pisarza przyszłością, o tyle znowuż znamienny, iż jego pierwsza próba literacka, dramat *Jazon* (1999), wychylony był ku czasom antycznym, a nawet mitycznym.

Można przypuszczać, iż ten zwrot – od mitu do przyszłości – jakoś się wiąże z narastającym poczuciem dystansu pisarza wobec teraźniejszości, z niepokojem, jakie budzą w nim toczące ją procesy, które w postaci wyolbrzymionej i zarazem skarykaturowanej Lisicki rzuca w przyszłość, traktując ją jako laboratorium, w którym śledzi możliwe konsekwencje owych procesów.

Efekty owych eksperymentów są mało krzepiące, a nawet przerażające, czego nie zmienia satyryczna formuła, do jakiej sięga w swych „futureskach” autor *Epoki Antychrysta*.

Sygnalizuje to wyraźnie tytuł wspomnianego zbioru opowiadań, będący czy-

telną aluzją do sławnego *Nowego wspaniałego świata* Aldousa Huxleya.

Tytuł tej wydanej w roku 1932 powieści wszedł do języka potocznego i niemal zawsze jest naznaczony ironiczną intencją. Nowy wspaniały świat ukazany przez Huxleya był – jak pamiętamy – rzeczywiście nowy, ale na pewno nie był wspaniały. Owszem, był (będzie?) to świat ludzi szczęśliwych, ale zarazem zniewolonych i poddanych totalnej kontroli. Jak zauważał Neil Postman w głośnej książce *Zabawić się na śmierć* (1985, polski przekład w 2002) w Huxleyowskiej wizji przyszłości „do pozbawienia ludzi ich autonomii, pełni osobowości i historii niepotrzebny jest żaden Wielki Brat”, gdyż „ludzie pokochają osaczającą ich przemoc, zaczynają wielbić technologie, które pozbawiają ich zdolności myślenia” (tłumaczenie Lecha Niedzielskiego). Zestawiając dalej Huxleya z Orwellem Postman zauważał, że o ile w *Roku 1984* „ludzi kontroluje się przez dawanie im bólu”, to w *Nowym wspaniałym świecie* „to samo jest osiągnięte dzięki dostarczaniu im przyjemności”. U Orwella kultura staje się więzieniem, u Huxleya zaś przekształca w burleskę, która – to już moja uwaga – także staje się specyficznym narzędziem przemocy.

Gdy *Nowy wspaniały świat* ukazał się w Polsce w roku 1933 Stanisław Piasecki określił go mianem „kapitalnej satyry” na technokrację, która „musi się w pewnym i to nieodległym punkcie spotkać z *piatiletką* sowiecką”, albowiem „technokracja i bolszewizm są w gruncie rzeczy dwoma nazwami tego samego programu”. To wyjaśnia dobrze, dlaczego powieść Huxleya wydano w PRL-u dopiero w roku 1988. Bogdan Baran w posłowie do tamtej edy-

cji *Nowego wspaniałego świata* stwierdził nieco ogólnikowo, iż „ostrze satyry w gruncie rzeczy nie godzi [tu] w systemy polityczne, gdyż atakuje cywilizację przemysłową jako taką”. Cytowany już Postman widzi w *Nowym wspaniałym świecie* wciąż aktualną wizję i zarazem diagnozę liberalnej demokracji...

Przywołanie i zarazem powołanie się na Huxleya nie jest więc w przypadku Lisickiego jakoś szczególnie zaskakujące, potwierdza na pewno fakt żywotności pewnego sposobu konstruowania przyszłości i jednocześnie atrakcyjności specyficznej poetyki, opisywanej za pomocą takich terminów jak „satyra”, „antyutopia” czy „powieść idei”.

Nowa wspaniała przyszłość Lisickiego to jednak nie powieść, ale zbiór opowiadań, z których o przyszłości traktują tylko dwa: utwór tytułowy oraz *Miasto*. Ten pierwszy snuje wizję przyszłości Polski. Przyszłości nieodległej, bo akcja opowiadania rozgrywa się wiosną roku 2021. W kraju rządzą politycy Koalicji Bardzo Europejskiej, którzy w roku 2019 wygrali najpierw wybory parlamentarne, a potem prezydenckie. Premierem nowego rządu jest Andrzej Schit, prezydentem zaś lewicowy Robert Mrówa, któremu doradza Jerzy, intelektualista, doktor filozofii pracujący na warszawskiej uczelni. Z perspektywy Jerzego patrzymy też na rozgrywające się w „nowe wspaniałe” Polsce wydarzenia, których jest on w znacznej mierze pomysłodawcą: publiczne ogłoszenie przez prezydent RP, iż Polacy byli sprawcami Holocaustu, deklarację arcybiskupa Żbika, iż każdy chrześcijanin jest „potencjalnym zbrodniarzem” i potomkiem tych, którzy „mogli Żydów

mordować”, deklarację budowy „wielkiego pomnika hańby narodu polskiego” na Krakowskim Przedmieściu, wręczenie Orderu Orła Białego profesorom „nowej szkoły historii” (dowodzą oni na przykład, że nie było niemieckiej okupacji Polski w czasie II wojny światowej, ale istniała zbrodnicza niemiecko-polska republika), premierę sztuki *Jedwabne dwadzieścia jeden*, dowodzącej, że współcześni Polacy są gorsi od tych, którzy dokonali pogromu Żydów w roku 1941, a wreszcie – jako kulminację – wielką paradę równości z udziałem premiera i prezydenta.

Te i inne działania mają na celu „przełamanie”, a właściwie zlikwidowanie polskości „z jej tradycjonalizmem, patriotyzmem i zapyziałością”, a to z kolei wynika z wiary Jerzego, że możliwe jest „formatowanie przyszłości”. Pomagają w tym przede wszystkim media, które fabrykują „afery” pozwalające skutecznie spacyfikować Kościół i prawicowych tradycjonalistów. Droga do nowej wspaniałej Polski jest tym samym otwarta, choć ofiarą „formatowania przyszłości” okaże się ostatecznie sam Jerzy. Ściśle: zostanie on oskarżony przez feministki deklarujące – na serio – chęć walki o „nowy wspaniały świat”. Oskarżą one Jerzego o gwałt na jednej z nich – fałszywie, ale też prawdą jest, że racjonalny i politycznie poprawny doradca prezydenta wobec Marty „zachowywał się jak dzikus”. Porównanie znaczące, gdy pamiętać, iż to Dzikus z powieści Huxleya buntował się przeciw „nowemu wspaniałemu światu”, domagając się między innymi prawa do grzechu, nieszczęścia i strachu przed jutrem. I Jerzy stwierdzi ostatecznie, że „nowa wspaniała przyszłość to kupa gówna”, ale niewiele już z tego wyniknie. Re-

wolucja – domyślamy – nabierze bardziej pospiesznego rytmu.

Motywnie nagle wyzwolonej dzikości pojawia się także we wspomnianym *Mieście*. To bardziej przypowieść, której akcja toczy się w nieokreślonym czasie i miejscu, mianowicie w Cesarstwie, o którym wiemy tylko tyle, iż „należało bez wątpienia do najszczęśliwszych pod słońcem”, posiadało liczne „wspaniałości”, „niezwykłe urzędnictwo i doskonałości”. Jak mówi narrator opowiadania: „Nasza elita znalazła sposób, by kontrolować liczbę urodzin, wiedzieliśmy, jak radzić sobie z wylewami rzek albo gdy brak deszczu groził suszą, opanowaliśmy wiedzę o trzęsieniach ziemi, znaliśmy granice ludzkiej namiętności i ludzkiej rozumności. Powołaliśmy miasto, które było samowystarczalne, skończone i doskonałe”.

Elementem owej „wspaniałości” Miasta jest używanie eliksiru odmładzającego oraz leków przeciw starości.

A przecież w owym doskonałym świecie wybucha tajemnicza epidemia, której efektem są „dzikie wyczyny” mieszkańców Miasta, a symptomami zanik pamięci, zapominanie sensu słów (logomnezja) i zdolności rozpoznawania oraz nazywania świata. W efekcie umierania języka ludzkie stają się „zwierzętami bez instynktu”, a doskonałe Miasto upada. Jak tłumaczy jeden z mędrców, to efekt wypchnięcia z języka słowa Omega, odsyłającego do tego, co jest poza murami Miasta. Narrator dochodzi do wniosku, że „poza miastem i murami jest coś. [...] na straży ładu i słuszności nie może stać sam człowiek i samo miasto”. Co można tłumaczyć i tak: świat tworzony zamknięty na „zaświat”, bez oparcia w tym, co absolutne, rozpad-

nie się, stoczy w nicość i chaos. Trochę jak w sławnym wierszu Czesława Miłosa *Oeconomia divina*?

Podobną nieco diagnozę i zarazem przestrożę słyszymy w *Epoce Antychrysta. Powiastce apokaliptycznej o czasach ostatecznych*. Akcja tej obszernej powieści toczy się w latach 2217–2221, przede wszystkim w Watykanie, ale chwilami także w Częstochowie albo Jerozolimie. Ukazany przez Lisickiego światem rządzi globalny rząd światowy, który jest potrosze emanacją tych samych procesów, które opisane zostały w *Nowej wspianiej przyszłości*. Oto niemal bezapelacyjne zwycięstwo odniosła lewicowa, rewolucyjna wizja świata. Rząd tropi wszelkie przejawy niechęci wobec postępu, wszelkie dyskusje są kontrolowane przez Centralne Europejskie Biuro do Walki z Rasizmem, Ksenofobią i Pozostałościami Nacjonalizmu, a nielicznych opornych kieruje się do obozów reedukacji, gdzie poddawani są „procedurom defanatyzującym”.

Jest to też świat, w którym ludzkość skolonizowała Księżyc i Marsa, roboty są czymś powszednim, symbolem Zjednoczonych Stanów Europy jest zielony sierp i młot, zamiast imion nadaje się ludziom coraz częściej kombinacje cyfr i liter. Dzieci wychowywane są przez państwo, które pozwala im do 15 roku życia „badać swoją seksualność i nie decydować się jeszcze na określoną tożsamość”. Osoby chore lub stare, powyżej siedemdziesiątego roku życia, kierowane są do „klinik dobrego umierania”, które propagują hasło: „Umrzyj zdrowo w pełni sił”. Popularne są „kotły pamięci”, gdzie zamrażane są zwłoki tych, którzy chcą być leczeni w przyszłości, oraz leki uszczęśliwiające

(przypomina to somę z powieści Huxleya czy pigułki Murti-Binga z *Nienasycenia Witkacego*). Ponieważ walce z tradycją i – zwłaszcza – religią towarzyszy rosnąca liczba samobójstw (stąd popularność „maszyn samobójczych”), buduje się „fabryki sensu”, w których obowiązkowo przeprowadza się badania psychologiczne.

Uwaga narratora *Epoki Antychrysta* skupia się jednak przede wszystkim na działaniach nowo wybranego papieża Juana Pabla Bergamota, który przyjmuje imię... Judasza i którego ambicją jest całkowite zniszczenie resztek tradycyjnego chrześcijaństwa w myśl tezy, iż „prawdziwym sensem chrześcijaństwa jest ateizm”. Kulminacją tych działań ma być udowodnienie (za wszelką cenę), że Chrystus nie zmartwychwstał i ogłoszenie tego w uroczystej encyklice. Prowadzone w tej sprawie śledztwo wyznacza oś fabularną utworu. Jego zakończenie, w którym zgromadzeni na Placu Świętego Piotra słyszą i widzą oznaki Drugiego Przyjścia, budzi skojarzenia z zakończeniem *Nie-Boskiej komedii*, no i oznacza bankructwo wszystkich „emancypacyjnych” reform, których początków narrator powieści – ktoś z XXIII stulecia – szuka w połowie lat 60. XX wieku: w II Soborze Watykańskim i pontyfikatach Jana Pawła II oraz Franciszka. A można tu dorzucić – najciekawsze moim zdaniem z omawianych tu utworów – opowiadanie szkatułkowe *Prawda i pozór*, w którym narrator relacjonuje przemówienie, którego z kolei autor cytuje fragmenty dwu listów z XVIII wieku. Ich autorami są walczący przeciw rewolucji francuskiej polski obrońca Wandei oraz jego ksiądz-spowiednik. Tu – w rewolucji francuskiej i oświeceniu –

wskazuje więc Lisicki pęknięcie, którego skutkiem będzie świat nowej, wspaniałej przyszłości.

W każdym z omawianych utworów przyszłość rysuje się w ciemnych barwach i w każdym jest to konsekwencja wyzwalania się ich bohaterów od szeroko rozumianej tradycji i zarazem wiary w to, że możliwa jest budowa nowego świata w geście radykalnego odrzucenia tego, co „stare”, i tego, co „nie-ludzkie”, przede wszystkim Boga. Mniej tu istotna jest technologia, bardziej teologia – coraz bardziej kontestowana i zastępowana przez kolejne wersje *quasi*-religii człowieka i rewolucji. Wszystkie te – katastrofalne – skutki ukazuje Lisicki jako logiczny skutek lewicowego projektu człowieka, polityki, kultury.

Jak Lisicki „to” robi w sensie literackim? Trochę jak wspomniany Huxley, a więc sięgając po satyrę, karykaturę, a nawet groteskę. Widać to choćby w jakby Witkacowskich, zwykle bardzo dosadnych, nazwiskach postaci utworów Lisickiego (Juan Picculino Virgo Ligiduppa, Johann Georg Banał, Jean Claude van Damulka, Emil Leninista, Nadieżda Hujko, premier Schit *etc.*), organizacji (np. Siostry bez Pruderii Otwartego Jezusa, Dziewuchy Dziewuchom Dziewuchami) albo opisie wyglądu – na przykład papieża Judasza, którego znakiem rozpoznawczym są „białe, ekologiczne trampki z delikatnym, tęczowym trójkątem z boku” i który w pewnym momencie występuje w stroju... Aborygena.

Czuć w tym wszystkim szyderstwo z takiej, a nie innej przyszłość, nieukrywaną do niej niechęć, ale też może konsekwencję diagnozy, iż mowa o świecie

burleskowym (w znaczeniu, w jakim pisał o nim Postman) czy – po prostu – świecie „nie-Boskiej komedii”. Śmiech, szyderstwo nie niwelują pesymizmu, nawet jeżeli „futereski” są szybko dezaktualizowane, jak to jest w przypadku jawnie „interwencyjnej” *Nowej wspaniałej przyszłości*. Wiosna roku 2021 wnet i nie widać, aby ktoś zbudował do tego czasu w Warszawie pomnik hańby narodu polskiego.

Z pewnością bliska jest też Lisickiemu tradycja powieści-idei, a nawet powieści jawnie tendencyjnej i – o czym świadczy podtytuł *Epoki Antychrysta* – powiastki filozoficznej. Światy przyszłości zamieszkują więc charakterystyczni dla tej konwencji ludzie-kukielki, zredukowana i uproszczona jest warstwa opisowa, zaś nikła fabuła jest podporządkowana bardzo (a często zbyt) obszernym dygresjom-wykładom i dygresjom-komentarzom. Amatorzy wartkiej akcji będą więc rozczarowani.

Stąd czasem skojarzenia z *Bezrobotnym Lucyferem* Aleksandra Wata, ale też z nie tak odległymi i również w ducha anty-nowoczesnymi obrazami przyszłości, które znajdziemy na przykład w *Walcu stulecia* Rafała Ziemkiewicza czy *Gorszych światach* Cezarego Michalskiego. Lęk przed nowoczesnością jest tu zarazem lękiem przed przyszłością. I złem, które ona przyniesie, a którego załączki są obecne tu i teraz, tuż obok nas. W tym też sensie mówiąc o przyszłości, Lisicki ostrzega nas przed teraźniejszością. Przypisywanie i aktualizowanie Huxleya (z Orwelliem w rękę) jest w swych intencjach demaskowaniem i alarmowaniem współczesnego czytelnika.

Maciej Urbanowski



Marsu 11 Agt 2020

Między poczuciem obowiązku a radością istnienia – kulisy kariery literaturoznawcy

Jerzy Jarzębski

Miasta, rzeczy, przestrzenie

Fundacja Terytoria Książki,
Gdańsk 2019

Malwina Mus
Olga Szmidt
Katarzyna Trzeciak
Piotr Sobolczyk

Cztery lata temu, przy okazji premiery książki *Proza: wykroje i wzory* Jerzego Jarzębskiego, pisałam, że autor „demonstracyjnie rezygnuje z «tonu akademickiego» na rzecz «prywatnej przygody intelektualnej»” oraz że w jego podejściu do literatury dominuje prywatność, jawna subiektywność, strategia, dzięki której z tekstu krytycznoliterackiego wynosimy tyle wiedzy o książce, ile o jej uważnym czytelniku („NDK” 2016, nr 4/5). Kolejny zbiór tekstów Jarzębskiego nosi tytuł *Miasta, rzeczy, przestrzenie* i jest logiczną kontynuacją, ale też intensyfikacją obranej przez autora już wówczas perspektywy.

Zacznę od końca, czyli od wkładki ilustracyjnej z ostatnich stron książki. Oprócz zdjęć, odnoszących się bezpośrednio do opisywanych w poszczególnych tekstach miejsc, osób i wydarzeń, pojawiają się tu również obrazki i komentarze

zupełnie osobiste – jak zdjęcie młodego Jerzego z mamą, opatrzone wyznaniem: „Z Matką łączyły mnie głębokie więzi, jej śmierć była dla mnie stratą najważniejszego życiowego wzorca. Od niej uczyłem się wrażliwości i szacunku dla twórczych pasji, a także umiejętności zachowywania równowagi między poczuciem obowiązku a radością istnienia. Śmierć jej była jednocześnie dla mnie wyzwaniem: odtąd musiałem sam dawać sobie radę. Ojciec – człowiek uroczy i utalentowany – nie był jednak dla mnie oparciem w życiu”. Gdyby zacząć lekturę właśnie tak, od końca, można by odnieść wrażenie, że to szczere, intymne zwierzenie zostało wtrącone do książki o literaturze z zupełnie innego porządku. Tak jednak nie jest, a to – i wiele innych – wyznań oraz migawek z prywatności stanowi tym razem właściwą treść zbioru, dla której rozważania o pisarzach, ich twórczości i życiu, są barwnym dopełnieniem. Można powiedzieć, że jest to opowieść quasi-autobiograficzna osoby, dla której bohaterowie książkowi są równie istotnymi towarzyszami codzienności, co realni ludzie, a wiele wydarzeń w jej życiu, wyborów i przygód determinowanych jest właśnie miłością do literatury.

Takie na przykład *Buenos Aires Gombrowicza* – wciągająca historia badacza ze środkowoeuropejskiego kraju, który pewnego razu wyrusza w samotną podróż do Ameryki Południowej! Powodem eskapady jest oczywiście chęć odnalezienia śladów autora *Ferdydurke*, a leitmotivem tekstu tropienie świadków, miejsc, dokumentów pisarza. Tekst nie skupia się jednak na przedstawieniu uporządkowanych efektów czy wniosków z przeprowadzonej z takim rozmachem kwerendy. Dowie-

dzieć się za to można o przygodach, jakie przeżywa człowiek szukający „równowagi między poczuciem obowiązku a radością istnienia”, człowiek z pasją, która umieszcza go w ekstraordynaryjnych okolicznościach: „Moja hiszpańszczyzna to było kilka lekcji branych tuż przed wyjazdem z Polski. Właściwie wcale nią nie władałem. Ale Gómez działał jakies cuda: dolewając mi wciąż alkoholu (dość okropny aperitif, który na własny użytek i na cześć bohaterów Marka Twaina nazywałem *pain killer*), przenoślił mnie stopniowo w stan upojenia, w którym zaczynałem wszystko rozumieć, ba, nawet chyba coś mówić” (s. 297). Wspomniany Gómez to dawny przyjaciel Gombrowicza, a opisana wyżej scena pozwoliła Jarzębskiemu dowiedzieć się o codzienności polskiego pisarza za Oceanem. Dla gombrowiczołoga są to wiadomości bezcenne, zapewne twórczo wykorzystane w późniejszych naukowych artykułach i książkach badacza. Nie w tej jednak. *Miasta, rzeczy, przestrzenie* są wypełnione raczej takimi właśnie anegdotycznymi sprawozdaniem z kulisów humanistycznych odkryć, z okoliczności barwnych i niespodziewanych.

Ciekawość świata, w jego materialnej i niematerialnej odsłonie, napędza autora do kolejnych opisanych aktywności (również intelektualnych). Bo jest to też książka o perspektywie humanistycznej jako specyficznym trybie funkcjonowania w świecie, który czyni go skomplikowanym, złożonym, a przez to interesującym. Taki filtr jest stosowany w tekstach wypełniających kolejne rozdziały, których nazwy zdradzają zresztą ukierunkowanie autora raczej na świat rzeczywisty niż tekstowy: *Miasta, Rzeczy, Peryferie, Podróże*,

Sąsiedzi. To spojrzenie szczególnie cenne dziś, kiedy – z jednej strony – trwa proces dewaluacji humanistyki (w społecznym odbiorze jawiącej się jako kompetencja nieżyciowa, niepraktyczna, oderwana od rzeczywistości), a z drugiej – postępuje zmęczenie nadmiarem bodźców i powierchownością ich odbioru. Turyście, który widział już wszystko, kolejny odwiedzany kraj zlewa się ze wspomnieniami, nie oferuje szczególnie wyjątkowego doznania – ostatecznie morza, góry i drogi wszędzie są do siebie podobne. Ludzie również, jeśli nie zadać sobie trudu bezpośredniego z nimi kontaktu. Receptą na ten spleen jest postawa prezentowana przez Jarzębskiego. Należy czytać, być ciekawym kultury i historii, wchodzić w żywe relacje, a zarazem mieć w głowie opowieści (zwłaszcza te pogłębione, książkowe) innych osób z podobnych miejsc czy okoliczności – wówczas bycie w świecie staje się nieustannym dialogiem, a każde miasto, rzecz lub przedmiot uruchamia cały strumień skojarzeń, przemyśleń, natchnień. Oczywiście turysta jest tu tylko metaforą – w podobny sposób, jak do miejsc, krajów i kultur, można podchodzić do mody, wystroju wnętrz czy architektury (zresztą rozdział *Rzeczy*, poświęcony tym właśnie kwestiom, wydaje mi się najciekawszą częścią książki). Gdy nieustannie jest się wczepionym w siatkę znaczeń, bez różnicy, czy w egzotycznym Bali, czy na terenie niegdysiejszej Galicji, czy choćby w oldskulowym mieszkaniu – nigdzie nie można się nudzić, ze wszystkiego można uczynić interesującą grę z odniesieniami. Trzeba tylko mieć w sobie odpowiedni rezerwuuar wiedzy: „Główną ulicą dochodzę do rzymskiej bra-

my, zwalistej, dobrze zachowanej budowli z kamienia. Tylko w paru miejscach widać to coś wstydlwego, co przydarzyło się monumentom antyku w nowszych czasach: widać oto, że brama była kiedyś obłożona marmurową okładziną zdobną w płaskorzeźby – i że owe płyty zostały z niej zdarte i użyte do innych celów. To samo ujrzymy w Rzymie, to samo we Francji czy w Turcji” (*Trędowaty z Aosty*, s. 288).

Napisałam „sprawozdanie”, ale przecież Jarzębski w ostatnim tekście zbioru pisze wprost: „Ma ta migawka charakter reportażu, nie literaturoznawczego szkicu, ale ostatecznie nie odbiega zbyt od tematyki całego tomu” (s. 404). To prawda, teksty wybrane do tego zbioru, uzupełnione zamieszczonymi tuż przed tylną okładką zdjęciami z prywatnego archiwum autora, uwierzytelniającymi opisane perypetie, mają reporterskie zacięcie. Kończąca całość *Wieża Babel na przełomie tysiącleci*, opowiadająca o konflikcie izraelsko-palestyńskim z perspektywy profesora widywanego w katedrze historii i kultury polskiej w Izraelu, jest tego najwyraźniejszym przykładem (pierwsza wersja była zresztą publikowana w „Przekroju”, więc poza akademicką bańką). Jednak również pozostałe teksty są podporządkowane podobnej tendencji do opisywania świata z bardzo podmiotowego, subiektywnego punktu widzenia. Mimo że w skład książki wchodzi teksty powstające w bardzo różnych czasach i okolicznościach (pochodzą z lat 1991–2017), wszystkie są wsparte na podobnej konstrukcji – osobiste obserwacje poszczególnych elementów świata popychają autora w przestrzeń literatury, by tam szukać dowodów, wyjaśnień, potwierdzeń, uzupełnień do zjawisk, wo-

bec których perspektywa „tu i teraz” jest ograniczona czy niewystarczająca. Książki nie tylko pozwalają obrać inny punkt widzenia, ale także dają drogocenny dystans. A sprawy uchwycone w dłuższej perspektywie czasowej wyglądają zgoła inaczej, ciekawiej niż zastygłe w chwili obecnej. To dlatego obok od lat istniejących w tekstach Jarzębskiego bohaterów – Gombrowicza, Schulza, Lema – pojawiają się tu pisarze i utwory bardziej nieoczywiste (zbiór *Buty* Jana Józefa Szczepańskiego, powieści *Dziecko przez ptaka przyniesione* Andrzeja Kijowskiego, *Miasteczko z ludzką twarzą* Marka Sieprawskiego itd.). Nawet jeśli nie są to dzieła wiekopomne, stanowią najwyraźniej na tyle ciekawy komentarz do rzeczywistości, by wiele lat po lekturze wciąż powoływać się na nie, rekonstruować obecny w nich punkt widzenia jako argument we współczesnej dyskusji. W takim ujęciu każda twórczość ma sens, każdemu dziełu należy się uwaga i szacunek, nawet jeśli nie zajmuje ważnego miejsca w kanonie.

Choć reportaż wydaje się w tym przypadku jedynie pewnym punktem, w kierunku którego ciążą teksty, nigdy się z nim w pełni nie pokrywając, cały zbiór zdradza podobieństwo do innej, dość nieoczekiwanej, bardzo współczesnej formy prezentowania własnych przygód, poglądów i obserwacji – jaką jest blog internetowy. To specyficzny rodzaj publicznego pamiętnika, w którym własna działalność zawodowa miesza się z prywatnością, gdzie można pokazać kulisy oficjalnych wydarzeń i poważnych przedsięwzięć (o, na przykład w tym stylu: „O takich sytuacjach mówiono dawniej, że są «jak z Mrożka». Mnie na pytanie, dlaczego

przestałem nagle dostawać zaproszenia na imprezy, miła pani z recepcji odpowiedziała: «Skoro pan jest referentem na sesji, a sesja się skończyła, to pan wypadł z komputera». Wypadłem!” – *Kraszewski na opak wywrócony*, s. 86), dodać zdjęcia, komentować wydarzenia, relacjonować podróże i lektury, wspominać. Różnorodne materiały (sam Jarzębski pisze o tej książce: „rozwichrzony tematycznie dzieło” – *Wstęp*, s. 17) przechodzą jednak przez filtr wyrazistej osobowości autora. To dla niego czytelnik tu wraca, to z nim wchodzi w specyficzną relację opartą na bezpośredniej komunikacji. Taka konwencja tłumaczyłaby również pojawiające się w poszczególnych tekstach na podobny temat powtórzenia, zapętlenia wątków i przemyśleń, które najwyraźniej mocno zaprzątają głowę autora, czego ślad odnajdujemy w tekście.

„Ten, kto chce się dowiedzieć czegoś istotnego o stanie społeczeństwa, powinien zatem czytać równie uważnie znaki wytwarzane przez jego literaturę, jak i te, które tworzą jego miasta. Tu i tam widoczne są zarówno procesy wiodące społeczeństwo, jego zbiorowego ducha, architekturę i kulturę do stanu «miazgi», jak i te, które obrazują mózół wznoszenia na powrót konstrukcji i struktur wartości – choćby w ich postmodernistycznej, zawsze migotliwej i nieostatecznej wersji” (*Zniszczenie centrum*, s. 53–54) – pisze Jarzębski i rzeczywiście z równą uwagą podchodzi do literatury i do materialnych, czasem zupełnie użytkowych, prozaicznych wykwitów kultury (puszki po player-sach; masło ekstra wyborowe, czerwone – od koloru nadruku na opakowaniu). Jego wzrok nie zatrzymuje się na powierzchni

spraw, ale drąży głębiej, by dotrzeć do treści bardziej ulotnych – jak historie życia pojedynczych osób, relacje międzyludzkie, tożsamość narodów: „Pozostają po tych przemianach liczne ślady – w psychice ludzkiej, w kulturze materialnej i wreszcie w krajobrazie. Granice kiedyś istniejące na mapie, a następnie zniesione, nie znikają z dnia na dzień w momencie, gdy znikną graniczne zasięki, podobnie jak nowe granice, choć wytyczone i bronione przez strażników, nie mogą podzielić świata naprawdę skutecznie, jeśli po obydwu stronach pozostaną takie same domy, kościoły i mosty, a poza tym społeczności ludzkie połączone licznymi więzami – rodzinnymi, przyjacielskimi lub choćby etnicznymi” (*Gdańsk i granice kultur*, s. 104). Takie palimpsestowe spojrzenie na świat kultury to umiejętność, w której warto się ćwiczyć – niezależnie, czy jest się członkiem środowiska akademickiego, czy „cywilnym” obserwatorem rzeczywistości.

Malwina Mus

Interpretowanie podzielonego świata

Michał Paweł Markowski
**Wojny nowoczesnych plemion.
Spór o rzeczywistość w epoce
populizmu**

Karakter, Kraków 2019

Gdy po niekończącym się liczeniu głosów oddanych w wyborach prezydenckich Donald Trump traci ostatecznie szansę na drugą kadencję, wydaje się, że równy marsz międzynarodówki prawicowych populistów zmierza ku końcowi. Niewiele później wśród krytyków amerykańskiego – dziś już oficjalnie byłego – prezydenta można wyczuć osobliwą nutę nostalgii. Odczuwaną nie wobec niego, ale wobec błyskotliwych esejów, ostrych satyr i śmiałych diagnoz, do których skłaniały jego rządy. Tuż przed lekturą książki Michała Pawła Markowskiego przeglądam pokaźną listę książek o Ameryce Trumpa zgromadzoną na półkach i dyskach. Męczą mnie pytania o ich aktualność, wydźwięk dystopijnych diagnoz, wreszcie styl i retorykę.

Przekonanie, że przedmiot namysłu zniknie jak złe wspomnienie, wydaje się jednak przedwczesne. Podobnie jak poczucie ulgi i myśl, że to analizy już przeterminowane.

Kiedy w końcu siadam do lektury, na Kapitol wdziera się rozwścieczony tłum składający się z wyznawców teorii spiskowej QAnon, zagorzałych wielbicieli nowo-

jorskiego dewelopera, który ich zdaniem został „okradziony z wyborów”, a także – jak się później okaże – byłych mistrzów olimpijskich, policjantów i weteranów. Zamiast czytać, przez kilka godzin oglądam relację na żywo. Na kolanach trzymam wciąż zamknięte *Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu*.

*

Przed lekturą ociągam się jeszcze kilka razy, odczuwając swego rodzaju zmęczenie tematem. Znużenie wizją uzdrawiającej mocy dialogu, kolejnymi panacjami na bolączki dzisiejszego świata, morałami i epokowymi diagnozami. David Brooks pisał swego czasu w „The New York Timesie”, że jego zdaniem wyborcy głosują na tych kandydatów, którzy mniej ich wyczerpują. „Zmęczenie stało się niezależną siłą w nowoczesnej polityce” – ocenił. Tego rodzaju osobliwą apatią zdaje się zaniepokojony Markowski. Sięga jednak do etapu wcześniejszego – szukając nie tyle leków na zmęczenie, ile pytając o źródła współczesnych konfliktów społeczno-polityczno-kulturowych. Wydaje się to zadanie cokolwiek karkołomne, szczególnie gdy zorientujemy się, że metoda autora opiera się przede wszystkim na interpretacji rzeczywistości.

Publikacja wpisuje się we wcześniejsze poszukiwania i zainteresowania autora – sygnalizowane w *Polityce wrażliwości: wprowadzeniu do humanistyki*, ale przede wszystkim w późniejszej *Kiwce*. Odnoszę wrażenie, że książka wydana przez Karakter podejmuje próbę przedarcia się do czytelników, którzy niekoniecznie dzielą z autorem pasję teoretycznoliteracką,

może nawet nie mieli okazji sięgnąć po jego najśłynniejsze prace wydane jeszcze przed transatlantyckim transferem. Autor wielokrotnie podkreśla swoją gotowość do uwzględnienia perspektywy nieakademickiego czytelnika, a dokładniej – „wyborcy spoza duopolu”. Zaznacza też – już na początku książki – punkt dojścia swojej refleksji albo – jak może powinniśmy powiedzieć – rekomendację dla rzeczywistości. Píše: „[...] w sytuacji otwartego konfliktu kulturowego, który nas wszędzie osacza, konfliktu, który jest skutkiem utraty racjonalnych podstaw prowadzenia uniwersalnej debaty (lub tylko uznaniem, że takich podstaw nigdy nie było), jedynym rozwiązaniem wartym politycznego roztrząsania nie jest wcale, jak naiwnie uważają liberalni optymiści, *potrzeba rozmowy, lecz zmiana języka*, przy użyciu którego możemy o rzeczy wspólnej, jaką jest nasza *res publica*, Rzeczpospolita, mówić. Tym językiem jest język sensu, nie wartości, i język interpretacji, nie opinii, i kto, niezależnie od rzeczywistości, w której tkwi po uszy, skłonny byłby, z powodów, które mnie nie zajmują, dać temu dyskursowi posłuch, jest wymarzoną czytelniczką mojej książki”.

Poza poszukiwaniem ocalającej mocy interpretacji i sensu (to słowo klucz całego eseju) poszczególnych zdarzeń i napięć, autor sięga po pokazną grupę tekstów. Obok – nie zawsze dla mnie zrozumiałego – wyboru tekstów z zakresu nauk politycznych i społecznych, znajdziemy tu sporą garść publicystyki. Zarówno ten zestaw tekstów (niejednorodnych gatunkowo i językowo), jak i ich wykorzystanie może skłaniać do pytania o możliwość wyłonienia porządku z tego chaosu.

Nie jestem jednak pewna, czy to najbardziej pożyteczna lektura tej książki. Jedną z podstawowych cech tego kilkunastu-esejowego eseju jest doświadczenie kryzysowej rzeczywistości, z którego zdaje sprawę autor. Nie sposób mieć wątpliwości, że obserwacja rządów skrajnej prawicy w Polsce i Stanach Zjednoczonych napawa autora przerażeniem, epokowym lękiem, ale i troską. Jego reakcja na te procesy i pojedyncze zdarzenia jest ściśle zależna od jego pozycji – społecznej i akademickiej przede wszystkim. Krótko mówiąc: Markowski szuka narzędzi we własnej dziedzinie i próbuje powstrzymać rozpadającą się rzeczywistość interpretacją. Jest w tym donkiszoteria, wobec której odczuwam niepokój, ale i uznanie. Mogą się tu pojawić wyraziste skojarzenia z pozycją intelektualistów niemal sto lat temu. Mogą – ze szkołą frankfurcką. Wszystkie one mają w pewnym sensie nobilitujący charakter, ujawniając zarazem tragizm tej pozycji, tragizm kamuflowanej bezsilności. Witalność i intensywność tekstu Markowskiego nie dopuszcza tej tonacji do głosu. Odnoszę mimo to wrażenie, że nie tyle jej tam nie ma, ale że autor za wszelką cenę stara się ją zagłuszyć.

To bardzo intensywna, chwilami wręcz straceńcza, praca u podstaw. Markowski angażuje do tej analizy – jestem co do tego przekonana – pełnię swojej intelektualnej energii. Kiedy świat się wali, zdaje się melancholijnie pytać: czy interpretacja, rozumienie, poszukiwanie sensu mogą nas wydobyć spod ruin? Wydaje się, że autor odpowiada na to pytanie afirmatywnie. Z energią rozplątuje kolejne konteksty, pojedyncze zdarzenia, które obserwuje i w których sam bierze udział; wreszcie

proponuje centralną korektę: sens powinien zastąpić wartości, musimy rozpoznać, co rozumiemy jako rzeczywistość.

Podchodzę do tej książki z dużą dawką empatii i melancholii, ponieważ rozumiem panikę autora, a nawet podzielam absurdalne poczucie, że może gdzieś w humanistyce kryje się złote runo i w końcu uda nam się je znaleźć, aby – trochę jak w filmach sci-fi – uratować ludzkość przed zagładą. W trakcie lektury prędko zdałam sobie sprawę, że czuję się mimo wszystko jak widz nieco innej narracji filmowej – bohater jeszcze nie wie, że to się nie uda. Ja już wiem. Nie daje mi to cienia satysfakcji, raczej poczucie tragiczności. Łatwo można zbyć wysiłki Markowskiego, wskazując na pewne nieścisłości w dowodzeniu, wcześniej wspomniany chaos, a także kapryśnie dobrane zdarzenia i anegdoty. Można, jak Patryk Szaj w swojej – nieco biurokratycznej – recenzji, uznać, że autor „bywa pryncypialny i, co chyba najgorsze, ucieka się do nieuczciwych chwytów interpretacyjnych” (ostatni człon jest w oryginale dodatkowo wytłuszczony; zob. „artPAPIER” 2019, nr 22). Nie podzielam tej perspektywy. W tej, którą przyjął, Markowski bliżej do postawy Sándora Máraiego, autora dziennika, emigranta tęskniącego za porządkiem. Pisze Markowski: „Na naszych oczach kruszą się międzyludzkie regulacje i zakazy, które nie pozwalały przekładać niezgody na nienawiść, a na plan pierwszy w relacjach międzyludzkich wysuwa się jawna, lub tylko z trudem powstrzymywana, gwałtowność. Skoro jest tak źle, to co zrobić, żeby było lepiej? Otóż nie mam najlepszych wiadomości. Będzie jeszcze gorzej, albowiem w sukurs politycznym

podziałom idzie zmasowana potęga mediów społecznościowych, zamiast obiecanego globalnego połączenia fundujących nam globalną samotność, a z niej niektórzy nie widzą innego wyjścia jak tylko poprzez przemoc”. Nie jestem przekonana, czy ogólnej refleksji przysłużyły się tak jednoznaczne diagnozy dotyczące współczesnej komunikacji (z perspektywy pandemicznej rzeczywistości wydaje się to tym bardziej złożony problem).

Odnoszę wrażenie, że trudno byłoby autorowi przyznać się do bezsilności wobec niektórych zjawisk, a nawet – problemów społeczno-politycznych. Te potencjalne miejsca wypełniają osobiste doświadczenia i obserwacje. Niektóre rzeczywiście sprawdzają się w tej funkcji, inne – jak refleksja, że sąsiad-demokrata, który jest sikhem, ma z autorem książki więcej wspólnego niż biały sąsiad, który głośuje na Trumpa – mogą skłaniać do stawiania niezbyt wygodnych pytań. Uwzględnienie jakich sfer codziennego życia w Stanach umożliwiają taką konstatację? A które mogłyby ją sfalsyfikować? W kilku momentach lektury zastanawiałam się, czy taka – cokolwiek uniwersalizująca – pozycja autora daje się łatwo obronić. Inne pytanie, które bym postawiła, dotyczy swobody (niezaprzeczalnie mającej swoje zalety) językowej i diagnostycznej, którą autor uzyskuje przez pisanie o amerykańskich wojnach kulturowych po polsku. Ta pozornie banalna kwestia, którą można sprowadzić do wyboru poszczególnych słów (na przykład krytyczne użycie bezpośredniego przekładu *n-word*), ale która sięga nieco dalej. Autor nie używa poza jednym (również krytycznym) przypadkiem po-

jęcia intersekcjonalizmu, a jednak w całej pracy i obszernych omówieniach pułapek polityki tożsamości wydaje się, że takie postawienie sprawy sprawdziłoby się doskonale dla uwypuklenia bardziej złożonych nierówności, a także pogmatwanych wątków ideologicznych. Wydaje się bowiem, że autor zgodziłby się z Robertem Pfallerem, który w tomie poświęconym współczesnemu uniwersalizmowi pisał: „Zamiast zapewniać obywatelom życie na pewnym ekonomicznym poziomie i troszczyć się o ich życiowe perspektywy w gospodarce, w której warunki pracy były coraz bardziej niepewne, politycy zajęli się głównie nadawaniem wszystkim grupom społecznym ładniejszych nazw, które nie będą urażać ich uczuć” (Robert Pfaller, *O tym, jak ważne jest bycie dorosłym. Etyczny partykularyzm a polityczny uniwersalizm*, w: *W poszukiwaniu wspólnego mianownika. Uniwersalizm i progresywna polityka kulturalna*, red. Jan Sowa, Warszawa 2019). Jest w tym niewątpliwie ziarno prawdy, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że te diagnozy mogą być bronią obosieczną.

Skoro bowiem fetyszyzowanie owych różnic jest podejściem do sprawy z niewłaściwej strony, można się zastanowić, czy obaj autorzy nie powtarzają tego gestu – odżegnując się od (choćby, jak twierdzą, niewystarczająco lub nieskutecznie) postępowych aktywistów, pisarzy, polityków. Jednocześnie nadal zastanawiam się, czy o wartościowości *identity politics* powinni rozstrzygać autorzy o najmniej marginalizowanym statusie po obu stronach oceanu – biali mężczyźni w średnim wieku związani z akademią. Nie mam na to pytanie ostatecznej odpowiedzi, jednak

skoro kwestia skuteczności politycznych dyskursów jest podsuwana przez obu autorów – uznałabym, że ten akurat postulat ma niewielkie szanse powodzenia, gdy wypowiedziany jest z tej pozycji.

Wracamy tu tym samym do wcześniej wspomnianego witalizmu i autobiograficznego potencjału tej publikacji. Na początku eseju autor podejmuje się swego rodzaju rewizji kariery pojęcia „różnicy”. Pisze Markowski: „I ja tam byłem, miód i wino piłem; nie mogę powiedzieć, wszystko to było bardzo pociągające, zwłaszcza dla tych, którym śpieszno było do manifestowania długo tłumionej jednostkowości. Nierozstrzygalność zamiast rozstrzygalności, poróżnienie zamiast porozumienia, niezrozumiałość zamiast zrozumiałości, indywidualność zamiast solidarności”. Ta osobliwa autokrytyka jest dla mnie twardym orzechem do zgryzienia. W ostatecznym rozrachunku przesłania nawet liczne polemiki, które wobec wniosków i obserwacji rzeczywistości mogłabym wysunąć. Markowski lokuje się na liminalnej pozycji. Niczym w rytuałach autentyczności, stoi przed tłumem i znajduje swoje grzechy, na nowo ustanawiając się jako podmiot. „Ten sam”, choć już nie „taki sam”. *Wojny nowoczesnych plemlion* są niespodziewanym zapisem procesu przenoszenia się z pierwszej do drugiej kolumny opozycyjnych pojęć, które autor eksponuje w całym tekście. Sam fakt budowania tak mocnych dualizmów musi czytelników wcześniejszych prac autora przyprawiać o co najmniej zdziwienie. Admiratorów przede wszystkim jego dekonstrukcyjnych i poststrukturalistycznych prac – wprowadzić w stupor. Markowski dokonuje tu bowiem czegoś

więcej niż nowego otwarcia, ucieczki od tekstu do rzeczywistości. Mimochodem zdaje się w kilku fragmentach sygnalizować swoiste poczucie odpowiedzialności za bieżący stan rzeczy. Jest to w pewnym sensie godne podziwu. Liberalna perspektywa: „my kontra barbarzyńcy” – zyskuje dzięki temu nieco bardziej zniuansowany obraz. Nie jestem pewna, czy prawdziwy, ale na pewno zniuansowany. Towarzyszą temu bardziej problematyczne rozpoznania, które łatwo sfalsyfikować zarówno na poziomie przykładów, jak i śmiałych antropologicznych założeń („Kto zdania porządnie złożyć nie umie, a domaga się władzy, pokazuje jasno, że jego władza opierać się będzie na zwichniętej wizji rzeczywistości, pokracznej jak jego składnia. Obustronna to wszelako gra: kto mówi zbyt gładko, polerując puste komunały opakowane w nienaganne zdania, nie ceni rzeczywistości wcale wyżej niż jego niepiśmienny rywal”). Wydaje mi się jednak godne podziwu to, że autor próbuje zrezygnować z opcji, które oferują mu karty rozdane przez współczesny dyskurs. Ucieka jednak nie tylko od niego, poszukując na własną rękę – powiedzmy to wprost – nadziei. Ale ucieka także do rzeczywistości. W tym kontekście doświadczenie amerykańskiego uniwersytetu odciska się na perspektywie autora w sposób dość nieoczywisty.

Markowski wspomina kilkakrotnie (choć ogólnikowo) jedną z najciekawszych pozycji ostatnich lat, która wyszła spod pióra amerykańskiej profesorki. (Co symptomatycznie podobna próba pojawia się i u nas w formie raportu przygotowanego przez Macieja Gdulę we współpracy z Katarzyną Dębską i Kamilem Trepką:

Dobra zmiana w Miastku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta, Warszawa 2017). Arlie Russell Hochschild poszukuje w Luizjanie szansy na zrozumienie ludzi, którzy cenią raczej Partię Herbacianą niż Berniego Sandersa, raczej dostęp do broni niż do powszechnej opieki zdrowotnej, a eksploatację środowiska (w przeciwieństwie do ekologii) uznają za zabezpieczenie społecznego ładu. Autorka zdaje się niesiona podobnym impulsem co Markowski – postanawia sprawdzić rzeczywistość tam, gdzie stawia jej ona największy opór interpretacyjny. W aneksie książki pisze: „Często odnosiłam wrażenie, że ja i moi nowi przyjaciele żyjemy nie tylko w różnych regionach kraju, lecz także w różnych prawdach” (*Obcy we własnym kraju: gniew i żal amerykańskiej prawicy*, przeł. Hanna Pustuła, Warszawa 2017). Wydaje się to perspektywa pokrewna wobec tej, którą przyjmuje Markowski. W jego tekście zostały wskazane zamiast tego wartości, jednak pole znaczeniowe obu pojęć w tym kontekście w dużej mierze się pokrywa. Hochschild spędza pięć lat na Południu, szuka, rozmawia i błądzi. Mimo że nie otrzymujemy w jej pracy żadnej ostatecznej odpowiedzi, wydaje się, że to jedna z książek przebudowujących obraz świata, którego nie znamy, ale przede wszystkim – nie rozumiemy. Ten paradoksalny sukces Hochschild wynika moim zdaniem z dwóch powodów: autorka próbuje zawiesić to, co dotąd wie i powstrzymuje się przez większość narracji od wniosków. Nie jest to sentymentalne rozumienie dialogu à la Szymon Hołownia, ale raczej trudna, wymagająca i wyczerpująca praca, aby zrozumieć warunki stwarzające ekstremalnie

spolaryzowane społeczeństwo. Odnoszę wrażenie, że dzięki autorce dowiedziałam się nie tylko wiele na temat obcych w Ameryce, ale także rozejrzałam się raz jeszcze wśród obcych w Polsce.

Zbliżoną funkcję upatruję w książce o nieco mniejszym rozmachu, ale również „organicznie” przełamującej polityczne wyobrażenia – mowa o książce Katarzyny Dudy *Kiedyś tu było życie, teraz jest tylko bieda* (Warszawa 2019). Obie pozycje mają nieco odmienny wydźwięk, wskazują jednak na ekonomiczne wykluczenie, poczucie zapomnienia i niezrozumienia jako źródła podziału. Zwraca uwagę na to także Markowski, bardzo trafnie kreśląc obraz wykluczenia. Twierdzenie, że kwestie ekonomiczne są „niewidzialną ręką” społecznego podziału, wydaje się słuszny, ale i fundamentalny dla całego eseju. Wracamy tu do intersekcjonalizmu, który autor wymija w swoich rozważaniach. Piśsze w jednym z podsumowań: „Zawartość portfela liczy się bardziej niż kolor skóry”. Mimo że zgodnie z duchem książki próbowałam dostosować się do dualistycznego stawiania spraw (bez sukcesu, co warto nadmienić), na koniec pozwolę sobie odpowiedzieć na tę diagnozę w duchu dawniejszych tekstów autora: i tak, i nie.

Olga Szmidt

Jeszcze nie teraz

Maciej Jakubowiak
Ostatni ludzie

Wymyślanie końca świata

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

W połowie lat 80., a dokładnie w 1984 roku, w tle zimnowojennego wyścigu zbrojeń, Jacques Derrida opowiadał o kulturowych znaczeniach zagłady nuklearnej. Filozof łączył przecucia technologicznej, globalnej katastrofy z jednym, zasadniczym pojęciem, które znalazło się w centrum jego wykładu na Uniwersytecie Cornella. Pojęciem tym była apokalipsa, przez Derridę traktowana jako dyskurs, a zatem szczególna organizacja języka, u podstaw którego tkwi pragnienie całkowitego ujawnienia; odsłonięcia prawdy. W otoczeniu wojny nuklearnej francuski filozof ujawniał podstawy popularnych wówczas fantazji o całkowitym zniszczeniu – możliwość fabulacji końca istnieje dopóty, dopóki nie wydarzy się jednorazowa, absolutna katastrofa. Ta z kolei nie ziści się tak długo, jak długo dystansować się będziemy od niej przez imaginacyjne wizje końca. Apokalipsa – jak przekonywał Derrida – jest więc zawsze niewydarzona jako niemożliwa do spełnienia obietnica, bowiem całkowite odsłonięcie prawdy, jej katastroficzne uobecnienie byłoby rozczarującym rozpoznaniem martwej wieczności. Wykład Jacquesa Derridy, wielokrotnie przypomniany, ilekroć mowa jest o uparciu odnawianych scenariuszach apokalipsy, choć rozbroił retorykę odroczonego końca, nie powtrzymał pocho-
du fikcji, w ramach których projektujemy

warianty światowej katastrofy. Co więcej, od lat 80. przyrost tych wariantów nie tyle nawet nie spowolnił, ile wręcz objął swoim zasięgiem kolejne, nie tylko atomowe fabulacje kresu.

Z tego przyrostu zdaje relację Maciej Jakubowiak, którego eseistyczni *Ostatni ludzie* obezwładniają wielością apokaliptycznych obrazów. Ich stawką nie jest jednak wyłącznie ani powtórzenie dekonstrukcyjnego gestu, ani samo przypomnienie o porządkującej funkcji apokaliptycznej opowieści, która przynosi momentalne olśnienie w chwilach, „gdy wikłamy się w jakąś historię, ale obfitość faktów i postaci nas przytłacza”. To punkt wyjścia do rozważań o zróżnicowanych polach wiedzy, sferach kultury, praktykach artystycznych, społecznych i politycznych, które korzystają z apokaliptycznej logiki porządku i których konsekwencje skutkują określonymi wizjami zarówno teraźniejszości, jak i przyszłości.

W pochod schyłkowych wyobrażeń wprowadza doskonały warsztatowo początek książki – pierwszoosobowe wspomnienie chłopca, który z balkonu ogląda postępujący pożar wypalanych traw, w tle zaś dociera do niego dźwięk telewizora: akurat emitowany jest katastroficzny film i w Ziemię uderzają meteoryty. Ta równoległość planów końca – mikrokatastrofy za oknem i widowiskowej zagłady planety – świetnie zapowiada zarówno eseistyczne obrazy, jak i metodę pisarską Jakubowiaka. Przerażone i bezradne dziecko chce, by coś już zakończyło jego beczynną obserwację; by nie musieć już rozważać decyzji – zawiadomić straż i ryzykować ośmieszenie czy liczyć, że może jednak ogień nie dostanie się do okolicz-

nych budynków? Z pomocą przychodzi mu rozpaczliwe życzenie – by nieznośną niepewność zakończył kiczowaty, filmowy obraz uderzającego w ziemię meteorytu. Kiczowatość scen końca, niejednokrotnie podkreślana przez Jakubowiaka, nie wprowadza jednak dystansu wobec seryjnie produkowanych fikcji. Przeciwnie, te kiczowate końce są potrzebne – nam i samemu eseiście. Dzięki nim bowiem możemy przeczytać, że „koniec świata się przydaje” (z perspektywy końca świat, którego już nie ma, może wreszcie okazać się sensowny) i że „potrafi ukoić”, gdy normalizuje zjawiska trudne do udźwignięcia – jak za Susan Sontag powtarza Jakubowiak.

Chłonność eseistycznej formy – w wydaniu Jakubowiaka mieszczącej zarówno kicz kina gatunkowego, krytyczne narracje literackie, słownik filozoficzny i kulturoznawczy (a to i tak nie wszystkie pola kontekstów, których możemy spodziewać się w *Ostatnich ludziach*) – nie eliminuje jednak wartościowania i przenikliwej krytyki konkretnych wariantów apokaliptycznej wyobraźni. Najostrzejsza krytyka wymierzona jest w zasadniczy konserwatyzm apokalipsy – obrazy końca odsłaniają bowiem nasze przywiązanie do zastanych, oswojonych form, których (niekiedy drobne nawet) naruszenie jawi się jako definitywny koniec świata. Nie trudno podsunąć przykłady potwierdzające tę zachowawczość apokaliptycznego myślenia; sam Jakubowiak, dostarczając ich obficie, sięga między innymi po nie tak dawny pożar paryskiej katedry Notre Dame, gdy wraz z płonącym budynkiem – zdaniem prawicowych polityków i publicystów – płomień metafizycznej

tragedii trawił całe chrześcijaństwo. Inny wymiar konserwatyizmu fikcji końca autor uruchamia, gdy przygląda się zupełnie realnym konsekwencjom tej fikcji, która „wytwarza setki książek, filmów, gier komputerowych, memów, artykułów prasowych i albumów muzycznych, generując przy tym miliardy dolarów obrotu”. Monetyzacja apokalipsy, swoisty przemysł końca świata czy – za amerykańską kulturoznawczynią Gwendolyn Audrey Foster – *apocotainment* („aporozrywka”) doprowadziły do skostnienia finalistycznej konwencji, którą konsumujemy, znajdując w niej ukojenie napędzanych przez kapitalizm lęków. Kapitalizuje się więc ta apokalipsa, która homeopatycznie działa na naszą kapitalistyczną codzienność. Przy tym jednak udaje się Jakubowiakowi unikać jednoznacznych diagnoz, opartych o pojedyncze symptomy, co do których istnieje pokusa, by sprowadzić je do jednej, głębokiej przyczyny (jak choćby właśnie kapitalizm). Tu autor jest zdecydowanie ostrożny, wybiera więc formuły raczej łączące niż wykluczające – bliżej mu do „i tak też jest”, aniżeli do „ostatecznie zatem”.

Oprócz archiwaliów końca, które wprawnie przeszukuje Jakubowiak, gdy przypomina historyczne wyobrażenia apokalipsy, w *Ostatnich ludziach* znajdziemy również fascynujący tekst o najtrudniejszej do zwizualizowania, odroczonej katastrofie, którą jest globalne ocieplenie. „Nie są to skale – przekonuje Jakubowiak – które łatwo nam objąć wyobraźnią. Do tego globalne ocieplenie dotyczy niemal każdego zjawiska na Ziemi, przez co nie da się go wyizolować i wpisać w proste ciągi przyczynowo-skutkowe”. Stąd tak

wiele w tym imaginarium uproszczeń, a bohaterami scenariuszy o katastrofie klimatycznej tak często bywają naukowcy, którzy mają pomóc nam w zwizualizowaniu odległej abstrakcji. I na przekór tym uproszczeniom w *Ostatnich ludziach* znajdziemy wiele ścierających się stanowisk, dotyczących celów i strategii przedstawiania katastrofy klimatycznej – z jednej strony przeczytamy więc o dyscyplinująco-prewencyjnej funkcji apokalipsy, o potrzebie przedstawiania globalnego końca; z drugiej – Jakubowiak przypomni zasadne stanowiska przeciwników apokaliptycznego dyskursu o klimacie i rzeczników narracji o polityczno-społecznym, a nie planetarnym wymiarze katastrofy.

Istotne przy tym, że rozpisując podłoża i artystyczne obrazy dzisiejszych kryzysów, Jakubowiak włącza w swój esej zjawiska świadczące o potrzebie oddalania katastroficznej przyszłości. Sporo uwagi poświęca więc dzisiejszej kulturze nostalgii, charakteryzującej właśnie „ostatnich ludzi” – żyjących w przeczuciu końca i w jego obliczu kompulsywnie rozpamiętujących. Zresztą analogicznych wycieczek ku różnym fenomenom społecznym, kulturalnym i politycznym (głównie z amerykańskiego i polskiego kręgu) jest w *Ostatnich ludziach* niemało. Spotkamy tu i doomerski pesymizm, i preperską zapobiegliwość, znajdziemy też przegląd polskich scenariuszy likwidacyjnych, odkopany przez Jakubowiaka z historii literatury. I wreszcie – znajdziemy tu obszerną listę bibliograficznych odniesień, erudycyjnie (lecz nienachalnie) rozproszonych w eseistycznym dyskursie Jakubowiaka. Wiele z tych odniesień odsyła do wcześniejszych prób – antropolo-

gicznych studiów nad schyłkową wyobraźnią, które w *Ostatnich ludziach* służą tyleż za punkt odniesienia, co za argument na rzecz ciągłości apokaliptycznego motywu i równie ciągłej potrzeby sondowania jego wariantów czy aktualizowania wniosków, płynących z analiz tego rozległego pola. Aktualizacja, którą wprowadzają *Ostatni ludzie* – w przeciwieństwie do opisanej przez Derridę ponad trzy dekady temu apokalipsy – na pewno nie jest rozczarowująca.

Katarzyna Trzeciak

W labiryncie zdrowego kraju

Izabela Morska
Znikanie

Wydawnictwo Znak, Kraków 2019

Doświadczenie lektury *Znikania* Izabeli Morskiej ująłbym syntetycznie następującą formułą: przejście przez labirynt ruchem transowym. W starożytnej Grecji labirynty służyły do rytualnych tańców, a jednocześnie symbolizowały epistemologię zagadki o zabarwieniu raczej ezoterycznym. Konstrukcja niniejszej opowieści jest przejściem wraz z bohaterką przez labirynt niewiedzy (dopadają ją komplikacje zdrowotne o nieznanym podłożu, próbuje szukać odpowiedzi wespół z medycyną konwencjonalną), wobec czego rozwiązaniem zagadki (wyjściem z labiryntu) wydawałoby się trafne wskazanie przyczyny czy choroby głównej, generatora rozgałęzionych dolegliwości czy symptomów. Narratorka Morskiej / narratorka Morska została zresztą skonstruowana na grze podwójnością – jest bohaterką idącą przez labirynt i jednocześnie jest przewodniczką przez tenże labirynt dla czytelnika. Niezwykle umiejętnie zmienia tryby swojej niewiedzy (wtedy) i wiedzy (teraz, tj. post factum). Tu właśnie wytwarza się odbiór transowy (wolę tę formułę niż np. „kompulsywny”), owo mityczne „od książki nie można się oderwać”. Transowość jest tu dobrym terminem także dlatego, że ostatecznie wyjściem z labiryntu okazuje się nie skuteczność medycyny zachodniej, a medycyna alternatyw-

na (zioła peruwiańskie), poprzedzona... autodiagnozą przez internet. Oczywiście, dowiadujemy się o tym w odpowiednim momencie – nie na początku, a w części trzeciej: „Jeśli zatem znalazłam się w pułapce, to przecież niczego więcej nie mam się już obawiać. A jeśli sama się do niej wpędziłam, to sama się też z niej uwolnię. Dragon [program komputerowy dla ludzi niemogących używać klawiatury – przyp. mój, P.S.] czeka, więc mówię: Listen to me. Dyktuję mu objawy: [...] [przeskakuję całą stronę 23. objawów – przyp. mój, P.S.]. Boję się, że wyjdzie SM albo lupus. [...] Ale wychodzi Lyme disease. Borelioza”. Tak, tak, rozwiązanie zagadki labiryntu przychodzi za sprawą przemo- wy do „Smoka” (programu), Dr. Google’a, a potem substancji o nazwach „smocza krew” i „koci pazur” (stosowanych w tradycyjnej medycynie peruwiańskiej) – po wielu miesiącach naznaczonych kilkoma nieskutecznymi pobytami w szpitalach, operacjami i dziesiątkami konsultacji, w tym z powtarzającymi się podejrzeniami psychologów i psychiatrów, że bohaterka chorobę sobie wmawia, bądź że ma zaburzoną osobowość.

Ale tu dygresja: mając pierwszy raz zażyć *uña de gato*, narratorka przedstawia swoje autoironiczne wątpliwości: „Boję się śmieszności, która wyniknie jakoś pobocznie z tego eksperymentu z tajemniczą peruwiańską korą i sokiem z drzewa, który smakuje jak krew. Jeszcze trochę, a za oknem zobaczę miotłę i polecę do Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie. Obawiam się, że ten zwrot w stronę medycyny nieszpitalnej mnie nazaczy, że stanę się osobą wierzącą w przesady, metempsychozę i życie przed życiem.

Wzdragam się na myśl, że ktokolwiek mógłby sądzić, iż mogłabym się stać taką osobą, lub uwierzyć, że się nią stałam. [...] Nie chcę dołączyć do kobiet, które zwierzają się komuś intymnym szeptem, że w poprzednim życiu były egipskimi księżniczkami”. Doprawdy? Bo mnie się wydaje, że albo Morska prowadzi tu grę ze swoimi czytelnikami, udając superracjonalistkę, albo „ułatwia” zwykleszemu czytelnikowi zaakceptowanie nagłego zwrotu akcji w mniej oczywistym kierunku. „Wzdragam się na myśl, że ktokolwiek...” – z pewnością ktokolwiek, kto nie czytał książek Izabeli Filipiak? A przede wszystkim dwóch ostatnich (nie licząc naukowej o Komornickiej/Właście), *Almy* (2003) i *Księgi Em* (2005), rzeczy wybitnych, a zarazem zupełnie odjechanych i to właśnie ezoterycznie? A jakże w tym kompetentnych! Sam napisałem swego czasu półtora arkusza o gnostycyzmie w *Almie* (zob. rozdział *G(n)o(s)tycyzm* w mojej książce *Gotycyzm – modernistyczny sobowtór odmieńca*, Gdańsk 2017). Przy okazji: motyw labiryntu, który uważam tu za strukturę narracyjną i poznawczą – jest gnostycki. *Alma* jest labiryntem.

Ale też *Znikanie* jest zupełnie inną książką niż wszystkie dotychczasowe w karierze Filipiak/Morskiej; jakkolwiek, po prawdzie, każda jej książka była inna, a to wielka wartość. *Znikanie* jest bodaj najprzystępniejszą, bo też i może dla tak zwanego najszerszego czytelnika najbardziej... przydatną czy potrzebną. Och, będzie potrafił ów najszerszy czytelnik sprowadzić ją do jakiejś „krytyki systemu medycznego w Polsce”; oj, będzie ci on umiał do „manifestu politycznego antyrządowego” ją ściągnąć. Szczególnie

że pisarka nie odmówiła sobie w poincie drobnego odjechania w postaci opowieści o tym, jak zamierzała dokonać samospalenia. Wskazane dwie warstwy w tej książce oczywiście występują. I parę innych dyskursów, jak choćby antyhomofoobiczny czy proLGBTQ, czego zresztą pewnie część czytelników się wręcz spodziewała. Tu szczególnie efektowny jest hiperboliczny fragment pokazujący „korelację” pomiędzy nasilającymi się objawami choroby a obrażaniem osób nie-normatywnych w przestrzeni publicznej, co zyskuje umotywowanie teorią „stresu mniejszościowego”. Gatunkowo bowiem ta książka to sylwa, niezwykle umiejętnie przeplatająca różne takie wątki, sylwa o kształcie para-dziennika. Proza, chociaż Morska podpowiada jeszcze inne określenie: „Jestem autorką, a moją opowieść umieszczam w kontekście humanistyki medycznej, czyli opowieści o chorobie”. I słusznie, choć musimy przyjąć taką definicję humanistyki, której akurat polska akademia przyjmować na ogół nie chce, to znaczy uwzględniającej także twórczość artystyczną i autobiografizm/introspekcję jako jedno z metod badawczych. W istocie jedną z zaplecionych tu w sylwę warstw jest przejście narratorki od pracy badawczej nad koncepcją długi w kulturze (czego dotyczyła habilitacja Morskiej) ku humanistyce medycznej – zaczęła jeździć na konferencje z odczytami na przykład o syndromie Münchhausena, który to syndrom – jak można między wierszami wyczytać – właściwie jest metapatronem tak pojmowanej humanistyki medycznej.

A jednocześnie warsztat badaczki przydaje się w procesie chorowania,

czy raczej poszukiwania wyzdrowienia: narratorka konfrontowana z kolejnymi koncepcjami lekarzy, hipotezami, sama czyta, szuka, wypytuje, próbuje weryfikować. Znajdujemy w sylwie mikroeseje-mikrowykłady, nie tylko zresztą związane z chorobą. Raptem oto zaczyna się czterostronicowy esej o więzieniu CIA na terenie Polski. Prowadzi on do jednego z mocniejszych miejsc w książce, bo do metafory naruszającej „polityczną poprawność”, albo nawet nie tyle „polityczną”, ile „etyczną”: „Centrum przesłuchań zostało przeniesione do mojej piwnicy. [...] To mną targa bezsenność, a bóle, które przewiercają mi stawy, okazują się skutkiem podwieszęń, leżenia na cemencie tam, gdzie się spadło, spania w skrzyni. To ja puchnę. To moja skóra przybiera odcień sypanej na ranę soli”. A metafora zestawiająca pozyskanie uwagi lekarza z przechodzeniem selekcji w obozie koncentracyjnym? Metafory u Morskiej muszą być hiperbolami; muszą być, potocznie mówiąc, „chore”; tylko „chore” metafory mogą wyrazić chorobę.

Dyskurs „długu” jest tu powiązany z innym współobecnym wątkiem – sytuacji polskiego uczonego i jego kondycji ekonomicznej. Początkowo to, co bohaterka od czasu do czasu rzuca, wydaje się podobną prowokacyjną metaforą-hyperbolą: „Moja uniwersytecka pensja ledwo starcza, żeby nie wybierać jedzenia ze śmietnika. Każdy inny wydatek staje się dramatem. Nie mam pojęcia, jak wkałkulować w to prywatne wizyty lekarskie”. To znów: „Wymaksowałam kartę kredytową, a uniwersytecka pensja starcza do

piątego”. W innym miejscu, że zarobki pracowników naukowych w Polsce i opiekunów osób niepełnosprawnych za granicą są porównywalne. Jednocześnie co i rusz czytamy – tu prywatna wizyta 150, tu na leki, tam na suplement, tu na zioła. Dopiero dużo dalej nagle otrzymujemy konkretną informację: „Jako pracownik dydaktyczno-naukowy na Uniwersytecie Gdańskim w 2012 zarabiam miesięcznie dwa tysiące sto złotych na rękę, po odliczeniu ubezpieczenia i podatków. [...] Profesor czyścibutem. Książę, co psy wiąże. Moje rachunki są proste: spłacam siedemset złotych na miesiąc, wynajmuję piwnicę za drugie siedemset, a na życie zostaje mi trzecie siedemset. Lecz to nie ja wymyśliłam system, który mnie poniża, który umieszcza pracownika naukowego gdzieś poniżej kierownika zmiany w sklepie spożywczym”. Skądinąd Susan Sontag w *Chorobie jako metaforze* przypomina, że w średniowieczu zarówno gruźlicę, jak i raka określano mianem „konsumpcji” (potajemnie konsumuje chorego; także w sensie „spala”); dług i choroba są więc metaforycznie powiązane na głębokim planie. Powiążmy to jeszcze z kolejną dość szokującą metaforą – Morska zapożycza ją od badacza Michaela Sandela, który cytował korporację tytoniową wywodzącą, że zgony ludzi około pięćdziesięcioletnich są korzystne dla gospodarek (krajów), bo unika się płacenia emerytur oraz za coraz liczniejsze usługi medyczne. „Kulejący system medyczny to klucz do podreperowania budżetu narodowego”.

Dlatego najwyraźniej czytamy książkę o zdrowym kraju.

Piotr Sobolczyk

PRL i pamięć

Tadeusz Kwiatkowski

Ważne, nieważne.

Dziennik 1953–1973

wstęp Monika Wysogład-Majewska

Wydawnictwo Literackie 2019

Autor tego *Dziennika* trzyma się ściśle głównej, dziennikowej zasady: trzeba pisać regularnie, bez względu na nastrój i pisarskie przygotowanie, aprobować doświadczenie chwilowe, „czernić papier” bez wytchnienia, bo ten sam materiał poddany obróbce może okazać się w efekcie inny, a więc oddalony od tego, co się dzieje teraz. Podobny imperatyw rządził wielkimi *Dziennikami* Jana Józefa Szczepańskiego. Tadeusz Kwiatkowski, żyjący w tych samych czasach, znajdował się w innym kręgu ludzkim niż Jan Józef, ale fakty publiczne, które towarzyszyły jego życiu, były podobne. Chcę więc powiedzieć, iż te czasy „słusznie minione” (co wydaje się stylistycznym wykrętem) mają, z perspektywy lat, oblicze bardzo różnorodne, układają się w formę palimpsestu, każda z jego warstw domaga się bacznej uwagi interpretatora, i dopiero gdy warunek uważności zostanie spełniony, możemy orzekać o całości.

Dziennik Tadeusza Kwiatkowskiego kończy się w roku 1993 – tom, który teraz otrzymujemy zamyka datą 1973. Pisarz zmarł w roku 2007. Czytelnik obecnego tomu pozostaje więc w pewnym zawieszeniu – kluczowe wydarzenia początków nowego stulecia nie zostały już, jak można się domyślać, zapisane. Na czwartej

Marta Wyka

stronie okładki czytamy, iż tom 2 jest „w przygotowaniu”.

Jak wpłynie on (bo sądzę, iż tak się stanie) na kształt „pamięci o PRL-u”? Jakie były konfiguracje i rytmy uczestnictwa w życiu publicznym i umysłowym, jeśli chciało się w nim brać udział? Kwiatkowski miał usposobienie społeczne i talent literacki.

Pisał powieści, książeczki dla dzieci, uprawiał publicystykę, był autorem kabaretowym (Jama Michalika), pracował z Wojciechem Hasem jako scenarzysta (*Sanatorium pod klepsydrą* i *Rękopis znaleziony w Saragossie*), z Jerzym Passendorferem z kolei jako autor *Janosika*, wreszcie pisał popularne kryminały pod pseudonimem Noel Randon. Ich akcja toczyła się we Francji, Joe Alex (czyli Maciej Słomczyński) zaanektował bowiem Anglię. Te wszystkie aktywności czynią z Kwiatkowskiego literata – czyli kogoś, kto posiada elastyczny warsztat twórczy, umie nim dysponować i nie stawia sobie warunków „specjalizacji”. Przebywa natomiast częściej poza gabinetem, zaś krąg towarzyski umacnia go w jego działaniach, inicjując różnorakie przedsięwzięcia, które się sprawdzają i trwają.

To Tadeuszowi Kwiatkowskiemu udało się zdobyć siedzibę dla ZLP, czyli dom przy ulicy Krupniczej 22. I on wraz z Jackiem Stworą i Brunonem Miecugowem wymyślił kabaret – ogromnie w Krakowie popularny, trafiał w różne upodobania; nie był młodzieżowy jak Piwnica pod Baranami, bywał ukrytą satyrą polityczną, co przyciągało na widownię wszystkich: od członków Biura Politycznego po zwykłą, krakowską publiczność.

Nie istnieje już stolik w Klubie Dziennikarzy od Gruszką, przy którym co-

dziennie spotykali się twórcy kabaretu, zaprzyjaźnieni z nimi pisarze, profesoria i miłośnicy życia towarzyskiego. Po tym przedpołudniowym wstępie udawali się (niektórzy) na obiad do stołówki przy Krupniczej, tworząc stolik obiadowy. Wyśmiał niegdyś to miejsce Adam Zagajewski, ale „smutek kompotów”, o którym pisał, był jednak drugorzędny w porównaniu z żywym charakterem biesiadników. Dołączały panie: Halina Kwiatkowska, Ewa Otwinowska, Ewa Broszkiewiczowa, Wincentyna Stopkowa. W bliskim sąsiedztwie spożywała obiad rodzina Kwiatkowskich (Maria, Jerzy, Anna i Krzysztof), pełna dystansu. Szyborska nie była, choć tam mieszkała. Filipowicz czasem wpadał. Po południu stołówka stawała się miejscem zebrań organizacji partyjnej przy ZLP, tutaj pierwsze miejsce należało do Adama Polewki i Władysława Machejka.

Scena pozostawała więc ta sama, ale aktorzy się zmieniali. Znane były sylwestry na Krupniczej, podczas których następowało częściowe pojednanie. Szopki pisali autorzy Michalika. Śmiech był powszechny, bójki na podwórku wynikały przede wszystkim z konfliktów na tle erotycznym.

Piszę o tych okolicznościach dziennikowych obszerniej dlatego między innymi, iż ich autor unika intymnych wyznań czy aluzji, możliwych również w tym gatunku. Jego osobista pamięć – nazwijmy ją personalną – odgrywa rolę mniejszą niż przeżycie faktów, z którymi wciąż i dynamicznie obcuje.

Istnienie w literaturze i życiu literackim nie oznaczało tylko pisania książek. Ich autorzy mieli świadomość, iż żyją

i piszą w skomplikowanym świecie urzędniczym, na ogół partyjnym, uzależnieni od cenzury, omawiani na zebraniach organizacji partyjnych, a także wciągnięci w konkurencję nagród państwowych.

Widać w *Dzienniku*, jak silne to były emocje. Czy były jakieś przypadki odrzucenia państwowego wyróżnienia (i sporych pieniędzy)? Kwiatkowski nic o tym nie pisze, zapewne wcześniej władze sprawdzały, czy wśród nominatów nie ma potencjalnych buntowników.

Świat opisany w *Dziennikach* posiadał też własne, wewnętrzne hierarchie. Największy polski poeta to K.I. Gałczyński. Jemu wybaczone wiele, zaś kunszt liryczny pozostawał niekwestionowalny. Jarosław Iwaszkiewicz, jedyny wówczas piszący w kraju, obok Słonimskiego, poeta „pięknej plejady”, postrzegany jest o wiele surowiej. Miłosza nie ma.

Kwiatkowski najbliższy jest, w swoich zapiskach, teatrowi, aktorom, premierom, walkom o dyrektorowanie. Sam nie chce zostać dyrektorem teatru w Nowej Hucie – bo musiałby daleko dojeżdżać do pracy... (mieszkał przy ulicy Batorego).

Każdą zmianę partyjnych sekretarzy, każdy ruch w gronie decydentów Kwiatkowski zapisuje, świadomy tego, iż będzie się on odbijał, jak fala, na jego otoczeniu. I tak się oczywiście dzieje, co nie znaczy, iż środowisko piszących było magmą poddaną biernie tym działaniom. Zmiany nie tylko odczuwano – dyskutowano o nich, choć jeszcze czynnie ich nie kontestowano.

W tych latach pisarzom udawało się (czasem) odbywać dalekie podróże. Byli pasażerami statków handlowych. Tym sposobem Kwiatkowski znalazł się w Argentynie i poznał Witolda Gombrowicza.

Krytycy sądzą, iż jego powieści oddychają „duchem pana Witolda” (a także jego stylem).

Wysoko ceniono wtedy powieściopisarstwo Mariana Promińskiego. Postrzegany też był jako bardzo wyrazista osoba i jako emigrant ze Lwowa. Lwowska strona pisarzy z Krupniczej stanowiła osobny problem – zarówno ludzki, jak i artystyczny.

Kwiatkowski okazuje się mistrzem portretu. Marian Eile, Andrzej Stopka i jego dom, Wilhelm Mach – oto niektórzy jego bohaterowie. Rozrzucone po całym tekście i godne uwagi są zapiski spotkań z Karolem Wojtyłą, potem z Janem Pawłem II. Szkolna przyjaźń przetrwała aż do końca pontyfikatu.

Pamięć o PRL-u i o Krakowie z tych lat domaga się – powtórzę raz jeszcze – uważności i bystrego spojrzenia. Które pokolenie badaczy będzie w stanie, po lekturze *Dziennika*, zdolne do osiągnięcia poziomu szczególnej, interpretacyjnej empatii – nie umiem powiedzieć. Pokolenie Kwiatkowskiego nie było, jak się czasem sugeruje, zbiorem oportunistów ideowych, uległych wobec wszystkich przemian inicjowanych przez Urząd. A także rozważających sposoby unikania represji i przyjmowania nagród państwowych.

Ich kreatywność zasługuje na analizę, która bierze pod uwagę nie tylko „wewnętrzny cenzor”, ale również miarę autentycznych talentów.

„Chcę rozweselić miasto” – deklaruje Kwiatkowski. I to się udaje. Może warto teraz sięgnąć po scenariusze kabaretu z Jamy Michalika i przeczytać je w innym czasie? Nie da się odtworzyć innego wesołościowego projektu Kwiatkowskiego:

kapela uliczna Szmelc Paka już nie żyje, potomków zaś nie bawi zapewne granie zwierzyńskiego folkloru na ulicach Krakowa.

Z obszernego tomu *Dzienników* (771 stron) emanuje energia tkwiąca w środowisku. Powiedzonko o „najweselszym baraku” znajduje tutaj częściowe uzasadnienie, ale nie taki jest przecież cel tych zapisków. Obok „wesołości” dużo w nich determinacji i goryczy.

Ale przede wszystkim świadomości, że każdy zapis dostarcza materiału o czasach, które nie dawały szans na przyszłą prawdę o kondycji artystów – byli przez państwo hołubieni, ale też bezlitośnie karceni za nieposłuszeństwo.

Tadeusz Kwiatkowski spisuje też dowcipy, których wiele wówczas opowiadano.

Ten antropologiczny i socjologiczny zamysł to podszełka tamtego oporu. Przecież Radio Erewań w rzeczywistości nie istniało. Pytania do owego radia powtarzano sobie co prawda półgłosem, ale były one kwintesencją politycznych nastrojów. Z chmury tych dowcipów wyrastała twórczość Sławomira Mrożka i spektakle Jamy Michalika.

Przytaczam jeden z nich: „Breżniew pyta Gomułkę: «Towarzyszu, coście zrobili z tymi waszymi *Dziadami*?» «Zdjęliśmy z repertuaru.» «A co z reżyserem?» «Dejmek przestał być dyrektorem teatru.» «Dobrze postąpiliście. A co z autorem?» «Autor nie żyje.» Breżniew spojrzał na Gomułkę: «Towarzyszu, czyście jednak nie przeholowali?»”.

Marta Wyka



Marcin II Pryt

Literatura po piśmie

Jacek Dukaj
Po piśmie

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Obraz przyszłości, jaki rysują pospołu humaniści i przedstawiciele innych nauk, nie napawa otuchą: pustynniejąca ziemia, topniejące lodowce, ginące zwierzęta, milknące ptaki, ludzkość przechodząca pod władzę sztucznej inteligencji... W tej sytuacji los samej literatury nie wydaje się problemem szczególnie poruszającym i właściwie pogodzono się już z myślą, że czas jej panowania się kończy, a dotychczasowe jej terytorium zajmuje obraz i inne coraz bardziej skomplikowane wytwory nowych technologii. Nie znaczy to, że nie należy futurologom patrzeć na ręce i – nie szukając łatwej nadziei – nie przyglądać się bacznie ich mrocznym prorocstwom.

Jednym z takich prorocstw – szczególnie interesującym, bo rodzimym – jest wydana dwa lata temu, ale w żadnej mierze nieprzedawniona, książka Jacka Dukaja *Po piśmie*. Składa się ona z powiązanych ze sobą wewnętrznie esejów, z których pięć różnymi drogami prowadzi do ostatniego, najważniejszego, dającego tytuł całej książce; jemu też warto szczególnie poświęcić uwagę. Jest – podobnie jak pozostałe rozdziały – skomplikowanym w swej budowie gmachem wzniesionym z wielorakiego budulca: rozległej wiedzy filozoficznej, kulturoznawczej, antropologicznej, językoznawczej, neuropsychologicznej, technologicznej i pochodzącej

Teresa Walas

z wielu innych dziedzin – co czytelnika dość onieśmiela i wprowadza w stan poznawczej niepewności. Jeśli jednak pokona się to wstępne oszołomienie, pogodzi się chwilowo z własną ignorancją i zaufa autorskiej erudycji, nie wyłączając równocześnie polemicznej czujności umysłu, da się uchwycić konceptualne żebrowanie tej myślowej konstrukcji.

Osadzona jest ona na dwu opozycjach: bezpośrednio/naoczność *versus* zapośredniczenie/transfer oraz sprawczość człowieka *versus* sprawczość pozaludzka, a pojęciem kluczowym wyводу staje się przeżycie. To przeżycie ma u Dukaja dość szeroki i nieostry zakres treściowy; zawiera w sobie myśli, wyobrażenia, reprezentacje świata i innych ludzi, zapewne także związane z nimi emocje. Trzeba uznać, że da się je teoretycznie zatrzymać w jakimś stanie czystej samoistnej naoczności, zarówno wewnętrznej, jak i zmysłowej, by przyjąć za Dukajem, że człowiekiem rządzi „instynkt wyzewnętrzniania przeżyć”, co byłoby szczególną formą działania komunikacyjnego. By do tego wyzewnętrzniania przeżyć mogło dojść, potrzebne są ich transfery, które Dukaj dzieli na cztery kategorie: słowa, sztuka figuratywna, *Augmented Reality* i *Mind-machine interface*. Chodzi więc nie o samą ekspresję, lecz o materialne nośniki, dające się określić jako zasobniki przeżyć, tyleż je zawierające i konserwujące, co też zwrótnie stymulujące. Za punkt wyjścia obiera Dukaj słowo i na tym gruncie dokonuje periodyzacji ludzkich dziejów, dzieląc je na trzy epoki: oralności (nieobecność pisma), piśmienności (dominacja pisma) i postpiśmienności (odchodzenie od pisma), czemu odpowiadają

trzy „myślunki” (neologizm ten pokrywa przeświadczenie we współczesnej humanistyce od dość dawna już zadomowione, że myślenie i działanie człowieka, jego obraz świata i samego siebie formowane są – dla niego bezwiednie – przez zewnętrzne wobec niego struktury – języka i społecznej świadomości) i trzy – rzecz można – odmiany człowieczeństwa. Kulturę oralną charakteryzuje wydarzeniowość mowy, sytuacyjność, operowanie konkretem. Pismo umożliwia myślenie abstrakcyjne i uniwersalizujące, tworzy prawo, naukę i teologię, aktywizuje wyobraźnię człowieka, wykształca w nim empatię, rozwija czy wręcz inicjuje jego życie wewnętrzne, zmusza umysł do skupienia i podejmowania długotrwałego wysiłku, jest fundamentem samoświadomości. Postpiśmienność oznacza odchodzenie od symbolicznego zapośredniczenia, czyli kodowania znaczeń, na rzecz – jak to określa Dukaj – bezpośredniego transferu przeżyć, przez co rozumie komunikację opartą na impulsach skierowanych wprost do zmysłów – na obrazach, dźwiękach i rozbudowanych ich sekwencjach, które mogą się układać w postaci, wydarzenia, segmenty życia. Przy czym nieistotne, czy są one prawdziwe, czy nie, czy wytworzył je człowiek, czy wyprodukowała sztuczna inteligencja. W tej samej mierze i z równą skutecznością stanowią one główny pokarm przeżywczy – łatwo dostępny, szybko przyswajalny i nie tylko słabo sycący, ale też działający narkotycznie i wywołujący głód nowych przeżyć, zaspokajany i pobudzany przez wyrafinowane nowoczesne technologie, podsuwające coraz to nowe formy wirtualnej rzeczywistości, która wyostrza zmysły i pozwala

przekraczać dotychczasowe ich ograniczenia. To nieustające pochłanianie innych przeżyć w przeżyciu własnym, mające charakteryzować człowieka postpiśmiennego, wytworzy (już tworzy?) według Dukaja inny rodzaj jednostki ludzkiej, trudny do uchwycenia z perspektywy piśmiennosci, ale w jakiejś mierze przeczuwalny: będzie to istota pasywna, o zredukowanej samoświadomości i opróżnionym wnętrzu, które jest jedynie łożyskiem przepływu kaskady przeżyć, pozbawionych momentu sprawstwa, nieprzechodzących przez pryzmat oporu, jaki stwarza symbolizacja, a różnicowanych głównie ze względu na swoją jakość, moc. Obraz to dość przynębiający i zniechęcający do przyszłości, aczkolwiek, jeśli rozejrzeć się po nie tak dawnej przeszłości, to i w niej znaleźć można jego słabą prefigurację, pozbawioną wprawdzie wyrazistej technologicznej ramy: to wywiedzione z empiriokrytycyzmu Macha i Avenariususa przeświadczenie, że rzeczywistość jest jedynie migotliwą wiązką wrażeń, a jednostkowa świadomość sitem, nieustannie przesiewającym ich chwilowe konfiguracje. Owocem tego był impresjonizm w sztuce i literaturze, a w wersji bardziej mrocznej – dekadenski pesymizm i pogoń za podtrzymującą podmiot intensywnością i niezwykłością wrażeń, co wklepało dekadenta w konflikty ze społeczną normą i moralnością. Obyło się wszakże bez większych szkód, dekadenskość nie była bowiem postawą wzorcotwórczą i powszechnie praktykowaną, w przeciwieństwie do tych, jakie wedle Dukaja stają się i stać mogą wytworem technologicznych zdobywcy XXI wieku.

Oczywiście, ten myślunek postpiśmiennosci – jak widzi go Dukaj – kształtuje,

modelując egzystencję człowieka, wszystkie dziedziny życia i myśli: filozofię, psychologię, politykę, ekonomię, społeczną strukturę. Jak łatwo przewidzieć, jego oddziaływaniu nie wymknie się też literatura, z piśmem od dłuższego czasu nierozzerwalnie związana, i losowi literatury poświęca Dukaj – w końcu pisarz – sporo uwagi.

Na przykładzie zróżnicowania literatury pokazuje między innymi odrębność i swoistość trzech wyznaczonych przez siebie epok. Kultura oralna – oparta na stabilności wzorców, cechująca się agonistycznością i skłonnością do emfazy – wydaje literaturę epizodyczną, pozbawioną organizującej struktury, posługującą się wyrazistymi postaciami. Rzeczą istotną jest relacja między opowiadaczem a słuchaczem, wyznaczona przez namacalną bezpośredniość, przez wspólnotę konkretnej sytuacji i jedność czasu. Piśmo – młode, bo mające za sobą mniej więcej pięć tysięcy lat – wprowadza porządek fabuły, logikę przyczyny i skutku, wydobywa z cienia autora, a zarazem umożliwia jego nieobecność. Literaturę, której w postpiśmiennosci udaje się jeszcze utrzymać przy życiu, cechuje rozprężenie konstrukcji fabularnej i nastawienie na przeżycie, acz nie jest jasne, czy chodzi o przedstawianie przeżyć, mających służyć do wtórnego spożycia, czy o ich pierwotną stymulację. Oczywiście, żaden historyk literatury na takie uproszczenie bez oporu nie przystanie, bo wie, że dynamika literacka jest znacznie bardziej skomplikowana; może jednak powstrzymać swoją polemiczną popędliwość w oczekiwaniu na inne tezy autora, jakie wyłaniają się w toku dalszego wywodu.

Literatura oglądana w perspektywie przeżycia odsłania interesującą ambiwa-

lencję. Dukaj stwierdza, że „słowo wybija z przeżycia”, na co wszyscy gotowi w pierwszej chwili łatwo się zgodzić, a co nie jest dziś taką oczywistością, bo wiemy, że język podskórnie modeluje przeżycie. Jeśli jednak chwilowo twierdzenie to zaakceptować, wiedząc, że oddaje ono potoczną intuicję, powstaje pytanie, jak usytuować literaturę, która posługuje się słowem i to słowem pisanim, jeszcze bardziej zdystansowanym od przeżycia niż słowo mówione? Dukaj nie rozpatruje stosunku między przeżyciem autora a potencjalnym jego wyrazem, za jaki można niekiedy uznać urzeczywistnione w słowach dzieło. Skupia uwagę na utworze fabularnym, wykwiecie pisma, oraz na jego czytelniku. I cóż się okazuje? Fikcyjna fabuła bywa dawcą intensywnych częstokroć przeżyć; można się w jej świecie zatracić, można go przeżywać jako jedynie rzeczywisty i godny zamieszkania. Wie o tym od dawna sama literatura i powołała do życia takie postaci jak Skawiński z *Latarnika*, pani Bovary czy jej nadniemeńska kuzynka, Emilia Korczyńska. Pismo także więc wytworzyło swoich namiętnych przeżywczy i sami bywaliśmy nimi w dzieciństwie, póki wiedza o wartościach estetycznych nie okiełznała tej czystej żądzzy zanurzania się w fabularności i życia jej życiem. „Potrzeba czytania była porównywalna z uczuciem głodu, który raz zaspokojony, nieustannie wracał” – pisze o swoim dzieciństwie anonimowa czytelniczka „Wysokich Obcasów” w liście do redakcji. Te przeżycia Dukaj jednak rozgrzesza, a nawet nobilituje, ponieważ ich transfer zapośredniczony jest przez język, kod symboliczny, towarzyszy im więc wysiłek związany z rozumieniem słów. Do-

dać do tego należałoby pracę wyobraźni, tak istotną w wytwarzaniu wewnętrznej naocności, ale jej działanie mniej go interesuje, choć jej atrofia byłaby dla człowieka równie groźna, jak ubytek logicznego myślenia, podtrzymywanego przez pismo. Skądinąd Dukaj świadom jest tego, że literatura fabularna łatwo poddaje się deprawacji ze strony postpiśmiennego świata i coraz chętniej odwzorowuje jego formy: filmy, seriale, biografie celebrytów. Choć więc uznał ją wcześniej za jądro kultury pisma, nie widzi w niej dobrego i lojalnego sojusznika w krucjacie przeciw postpiśmienności i nieufnym okiem patrzy na podejrzaną ostoję pisma, jaką są czytające kobiety, potencjalne niekontrolowalne przeżywaczki. Okazuje się, że naprawdę pismo ocaleć może, zapewne chwilowo, w tych jego wytworach, które są odporne – na razie przynajmniej – na pokusy i możliwości transferu bezpośredniego.

Co więc znajduje się w owej niszy literatury słowa pisanego i odpowiadającego mu odbioru? Po pierwsze, literatura, której rdzeniem jest formalizm języka, a słowo staje się przedmiotem i ogniskiem przeżycia, a nie jego wehikułem. W grę wchodzi tu u Dukaja głównie poezja, ale zapewne można to kryterium rozszerzyć na wszelką sztukę czystą i wyizolować przeżycie formy spośród innych rodzajów przeżyć, podatnych na bezpośrednie transferowanie. Znajdą się tu także te wszystkie utwory, których treścią – jak powiedziałby Eichenbaum – jest samo wypowiedzenie, wszelkiego rodzaju stylizacja i gra językowa, stawiająca opór innym typom przekazu. Po drugie, trafia tu literatura oddająca życie wewnętrzne, wszelkie przygody ducha, to

więc wszystko, co nie podlega poznaniu zmysłowemu i – co za tym idzie – transferowi apelującemu do zmysłów. Choć sytuacja może ulec zmianie, gdy pojawi się nowy sposób takiego bezpośredniego transferu przeżyć, polegający na przenoszeniu samych wzorców aktywności mózgowej. Po trzecie, w obrębie myślunku piśmiennego pozostaje nadal myślenie logiczne i abstrakcyjne, co oznacza zachowanie w niszy literatury eseistyki i innych form opartych na rozważaniu. Po czwarte, według Dukaja narzędzia postpiśmienności nie są w stanie uchwycić samego zjawiska czasowości i przemijania, bo – jak ujmuje to w rozmowie z Łukaszem Orbitowskim – „czasowości nie doświadczamy bezpośrednio, nie ma czegoś takiego jak zmysł czasu”. Ujawnia się ona i zostaje uprzytomniona, czyli też możliwa do przeżycia, jedynie w narracji i fabule, toteż fabularność podlega jednak rehabilitacji i znajduje miejsce w tej niszy, choć – jak się wydaje – inne sztuki przedstawiające, według Dukaja przynależne już postpiśmienności, w jakiejś mierze zdolność tę z literaturą dzielają. Widać więc, że ta nisza dość jest obszerna i gotowa byłaby pomieścić znaczną część dotychczas uprawianej literatury. Sama jednak odporność na zakusy postpiśmienności nie stworzy jej zapewne dostatecznych warunków do przetrwania w środowisku kultury opanowanej przez wrogi jej myślunek. Jak bowiem skłonić przywiązaną do bezpośredniego transferu przeżyć większość – wszystkich tych miłośników seriali, surferów internetu, komputerowych graczy, najemców wirtualnych rzeczywistości, by nie trwali w tym nałogu, lecz odda-

li część swojego czasu i uwagi awangardowej poezji, *Twierdzy wewnętrznej* św. Teresy lub *Próbnom* Montaigne'a oraz podobnym dziełom tworzonym dziś przez ich następców? Na to pytanie Dukaj nie daje odpowiedzi, bo też w ramach schematu jednoliniowego rozwoju, jaki w jego myśleniu dominuje, niełatwo o taką odpowiedź. Sądzić więc wypada, że ta literatura po piśmie to już nie Miłoszowska wyspa, lecz odludna samotnia na wysokim wzgórzu. Trwająca, póki i jej nie wysadzi w powietrze sztuczna inteligencja, która – nakarmiona dawną literaturą – potrafi szybko, sprawnie i bezbłędnie wyprodukować i nowego Leśmiana, i nowego Rousseau.

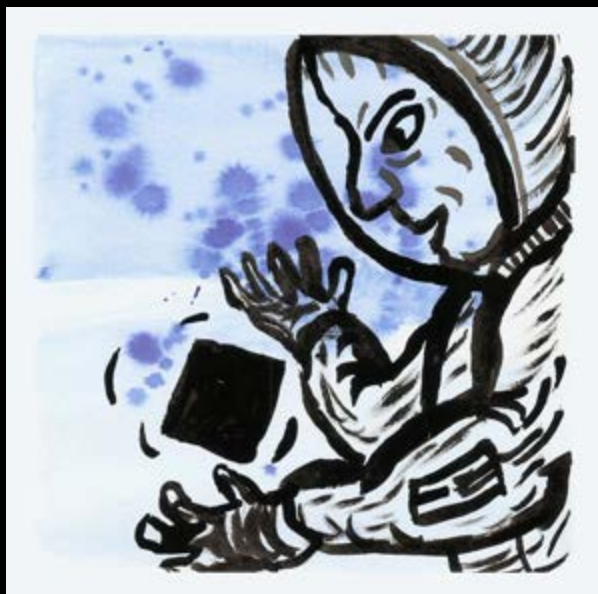
Nisza, którą Dukaj projektuje, to legalne potomstwo pisma, zrodzone w prawowitym łożu tamtego myślunku. Okazuje się jednak, że w obrębie kształtującej się właśnie i rozwijającej postpiśmienności ujawnia się nieprawa, a niezwykle żywotna jego progenitura. To literatura będącą zapisem istniejącego już przekazu obrazowego (serialu, filmu, komiksu itp.) lub powstała z jego inspiracji, która posługuje się wprawdzie kodem symbolicznym, ale nie respektuje już prawdziwego ducha pisma, cechuje się natomiast łatwiejszą od obrazu dostępnością i poręcznością.

Uwagę Dukaja zwraca jednak także inne, znacznie ciekawsze zjawisko: powszechne pragnienie literackiego uobecnienia się lub zwykłej pisemnej auto-prezentacji, przejawiane na wszystkich szczeblach artystycznej drabiny społecznej i we wszelkich komunikacyjnych rewirach. Wysyp powieści, których ilość umyka oku najskrupulatniejszych księgarzy, literatura sieciowa, autobiografie, wspomnie-

nia, wyznania, blogi, komentarze – jakby słowo pisane i bycie czytany wciążyć było gwarantem jednostkowego istnienia. Technologia wyzwoliła pisanie z okowów profesjonalnego nadzoru i idącej za tym selekcji, otworzyła dostęp do potencjalnego odbiorcy na nieznaną dotąd skalę. A słowo wciąż jeszcze jest traktowane jako pojemne i stosunkowo łatwe w obsłudze, niewymagające kosztownej aparatury; potrafi też okiełznać czas, któremu nadal musi się poddać doświadczenie zmysłowe. Czy ta grafo-mania – rozumiana zarówno opisowo, jak i wartościująco – to przedśmiertna eksplozja energii pisma, czy przeciwnie – redukcja piśmienności, konkurencyjna wobec tamtej elitarnej niszy, choć często jej budowniczym nie respektują rygorów macierzystego myślniku zarysowanego przez Dukaję? Nie dostajemy uprawnień do wiążących odpowiedzi.

Diagnozy i prognozy Dukaję nie składają do optymizmu, ale trudno je stanowczo podważyć, nie kładąc na stole własnych, równie ambitnie zakrojonych. Jedyne, czym historycy literatury mogą tę ciemną wizję jakoś zneutralizować, to świadomość, że w ich konceptualnym instrumentarium, służącym do opisywania dziejów, znajdują się też inne, nieco lepiej rokujące schematy: sinusoidy, zwielokrotnione linie spiralne, a nawet geometryczne figury, pokazujące, że dekonstrukcja przydarzająca się różnym formom kultury rzadko pociąga za sobą ostateczne ich zanikanie; że zepchnięte przez konkurentów z głównego traktu lub wręcz czasowo uśpione powracają do gry w innym układzie sił. Więc być może los pisma i samej literatury, jaką znamy, nie jest przesądzony.

Teresa Walas



Marcin II Pryt

Tomasz Cieślak-
-Sokołowski

Inne życie wierszy Marcina Pryta

W letnich miesiącach 2021 roku w olsztyńskiej Galerii DOBRO gościła wystawa *Po co słońce?* Zwiedzający ją zostali zaopatrzeni w następującą zapowiedź: „to wystawa-świat Marcina Pryta, ważnego ogniwa polskiej sceny niezależnej i miasta Łodzi. Kolaż poezji, komiksów, rysunków i konstrukcji, które (jeszcze) nie posiadają nazwy. Największy nacisk kładziemy jednak na słowo. Wystawa jest więc przede wszystkim portretem Pryta-poety, autora setek poruszających tekstów” (z ulotki towarzyszącej wydarzeniu).

Olsztyńska wystawa przybliżyła zatem do poetyckiej praktyki łodzianina (do wierszy pisanych w latach 1989–2021, które poeta ujawniał przede wszystkim na koncertach i płytach zespołu 19 Wiosen – oraz Tryp, 11, Niebiescy i Kutman, ale także w obszernym tomie wydanym w 2005 roku nakładem Lampy i Iskry Bożej pt. *Szpital Heleny Wolf*) – w sposób jednak dalece nieoczywisty. Klasyczną instytucję tomu poetyckiego dostajemy jedynie w jednej z gablot – patrzymy na tytułową okładkę zbioru z 2005 roku. Jakby Pryt podpowiadał, że życie wierszy, że życie jego tekstów ma być inne – szersze niż to ograniczone do szczerze domkniętych czterech stron okładki tradycyjnej książki poetyckiej. Nieprzejednanym zwolennikom tradycyjnego trybu umacniania kontaktu z wierszem poeta zdaje się doradzać wyprawę do biblioteki (w której sam na co dzień pracuje). Tymczasem jesteśmy w Galerii DO-

BRO, w której zaprojektowano inne życie wierszy. Jakież? Sam Pryt – w dużej mierze, jak mi się zdaje, nie tyle poszukując terminologicznej ścisłości dla nazwania technicznej, artystycznej innowacji, ile lekko, trochę niedbale sugerując, że zamknięcie jego tekstów jedynie w płaskim wymiarze stronicy książki nie jest najbardziej pożądanym lekturowym paktem – stwierdza, że chodziłoby o doświadczenie „tomiku 3D”. Wkraczamy zatem z olsztyńskiego rynku w przestrzeń galerii, na której ścianach i suficie (także ramy obrazów okazały się nazbyt ograniczające dla tych praktyk artystycznych) widzimy czarne litery wierszy współdziałające z rysunkami i obrazami (po wystawie trzeba będzie zburzyć ściany galerii, ew. ukryć wszystko szczelnie pod warstwą białej farby) oraz trzy gabloty – z domkniętymi komiksami niemymi *STOP* (1994), *INITIATION* (1995/2013), *PREPARATION* (1996/2014), tomem *Szpital Heleny Wolf*, kilkoma poemixami (które artysta publikował w latach 2008–2014 w czasopiśmie „Lampa”) i książką Andrzeja Marksa *Cel-Księżyc* (1966).

Już na pierwszy rzut oka widać, że taki tomik 3D jest w stanie zmieścić więcej. Pryt-poeta podpowiada zatem dość wyraźnie, że jeżeli już twórca zdecyduje się wyjąć swoje wiersze z szuflady biurka, nie powinien ich skazywać jedynie na kolejne domknięte szczelnie przestrzenie (np. w sztywnych okładkach tomu poetyckiego). Wiersz ma szukać innego życia – czy to na ścianach galerii (jak w przypadku olsztyńskiej wystawy), czy jako tekst eksponowany na kasecie/płycie lub podczas koncertu zespołu muzycznego. Taki szeroki zakres funkcjonowania

tekstu poetyckiego projektuje Pryt w ramach swoich różnomedialnych praktyk artystycznych.

Teksty, piosenki, czcionki i rysunki

Uporządkujmy, przybliżmy praktyki Pryta na różnych polach (sięgam przede wszystkim do rozmowy, którą z łódzkim artystą przeprowadził Paweł Gołoburda, a która została opublikowana w zeszycie 4. z 2010 roku „Lampy”).

Teksty najpierw lądują w szufladzie („nigdy nie byłem do końca przekonany, czy jest sens publicznego występowania z czymś, co sam robię, czy jako wokalista zespołu”). Pierwszy raz z niej wychodzą, by stanąć przed oczami mamy-polonistki („Ona to poprawia i ja wtedy wiem, czego właśnie mam nie poprawić” – wynotowuję z kolei z wywiadu przeprowadzonego przez Martę Dziewit dla „Wysokich Obcasów” w 2010 roku, numer z dn. 16.07). Następnie trafiają czasem – tradycyjnie – na łamy pism literackich (np. „Lampy”, „Odry”), raz zostały zebrane i wydane w tomie *Szpital Heleny Wolf*.

Pryt zwykł nazywać swoje teksty „mową związaną” (czasem także wierszami, piosenkami, słowotokami), ale daleki jest od zaufania sile białej kartki papieru, choćby nawet wspierały ją instytucje pism literackich czy poetyckich wydawnictw. Dlatego nawet karty swojej jedynej książki zaczernił, by litery jego wierszy musiały szukać innych kolorów niż standardowy tusz czcionki drukarskiej (w efekcie *Szpital Heleny Wolf* być może dawałoby się także czytać jak serię wierszy rzuconych, rozświetlających czarną przestrzeń kosmicznej próżni; „Mnie bardziej ekscytuje zapach kosmosu niż

zapach codzienności” – przepisuję ponownie zdanie z rozmowy z Gołoburdą).

Najważniejsze jest jednak inne życie tych tekstów – niektóre z nich są ożywiane muzyką (o czym szerzej za chwilę). Utwory Pryta trafiają także do galerii (co już wiemy), ale także szukają porozumienia z publicznością, czytelnikami wrzucane w inne przestrzenie: koncerty, spotkania, internetowe blogi, strony i portale. Szczególnie ważny jest tu projekt KOSMOPOLITANIA – cykl wykładów, koncertów i projekcji, wspieranych działaniem strony internetowej (<http://kosmopolitania.blogspot.com/>).

Po co słońce?

Jak w tym różnomedialnym polu praktyk artystycznych Marcina Pryta działają wiersze? Wybieram jeden przykład – wypowiedziany przez samego poetę w tytule olsztyńskiej wystawy (jestem przy tym świadomy, że to tylko jeden z wariantów). Fraza pochodzi z tekstu *Układ słoneczny*:

Po co słońce?
Po co księżyc?
Te planety?
Cały świat?
Po co dzień?
Po co noc?
Po co mi ten układ?

Tekst był drukowany w 2005 roku w na 58. czarnej stronie tomu *Szpital Heleny Wolf*. Siedem wersów (trzy 4-zgłoskowe, trzy 3-zgłoskowe i ostatni, 6-zgłoskowy) ma bardzo wyraźną linię akcji. Cały tekst – polegający na serii krótkich, obracanych anaforycznym, jednostajnym rytmem pytań – rozwija się między dwukrotnie po-

wtórzonym (w tytule i ostatnim wersie) słowem „układ”. Jesteśmy uwięzieni (nie tylko w kosmicznych cyklach), ale jednak jakoś odnajdujemy – w ramach tego wiersza – siłę do postawienia zasadniczych pytań.

Tekst *Układ słoneczny* został też ożywiony w piosence zespołu 19 Wiosen (do usłyszenia m.in. na płytach *11 zim*, 2004, *Suweniry*, 2010, a także na wielu koncertach; serwis YouTube podpowiada taką ścieżkę dostępu: <https://www.youtube.com/watch?v=OJ2WsIFVsOI>). W utworze muzycznym Pryt trzykrotnie powtarza cały tekst. Zarówno warstwa tekstowa, jak i instrumentalna to repetytywne motywy (jednostajne niczym ruch orbitalny planet). Utwór utrzymuje brzmienie punkrockowe – szybkie tempo, jazgotliwe brzmienie gitar; jego kompozycja nie jest skomplikowana (to instrumentalny, oparty na prostej harmonii ośmiotakt, pełniący rolę ostinata). W przypadku 19 Wiosen mamy w końcu do czynienia z tzw. drugim frontem polskiej sceny muzyki alternatywnej (o którym szczegółowo pisała Joanna Wojdas w książce *Kultura niezależna w Polsce (1989–2009)*, Kraków 2010). Chciałbym jednak zaakcentować specyfikę – używam konsekwentnie kategorii, do której jest przywiązany sam Pryt – ożywienia tekstu w piosence, muzycznym wykonaniu. Tę specyfikę widać wyraźnie, gdy przypomnimy sobie choćby historię jednego z najsłynniejszych utworów, które przeszły podobną drogę (między tomem poetyckim a sceną muzyczną) – myślę o zbudowanym na podobnej zasadzie co *Układ słoneczny* (wyraźny schemat werifikacyjny – porzucany w finale utworu) wierszu Marcina Świetlickiego *Jonasz*

(który dostał się m.in. na płytę Świetlików *Perły przed wieprze*, 1999 – tę wersję biorę poniżej pod uwagę). Utwór Świetlickiego zaczyna się regularnym trzynastozgłoskowcem, by stopniowo skracać długość wersów i w zakończeniu wybijać pojedyncze słowo w całym wersie (przypominam: „trawiony”). Piosenka Świetlików jest jednak skomponowana w ten sposób, by – po pierwsze – zatrzymywać szybkie tempo i ostre brzmienie gitar oraz perkusji w momencie, gdy tekst zaczyna mruzczyć lider zespołu; właściwie tylko dwukrotnie brzmienie i rytm instrumentów zestraja się wyraźnie z akcentowanymi w ten sposób frazami („wnętrze wieloryba”, „mgłę i wilgoć. Kałuże pełne tranu i krwi”). Po drugie, tekst wymruczany przez Świetlickiego zostaje odwiązany od – konstytuujących go przecież jako wiersz – schematów wersyfikacyjnych i przedziałów wersowych. *Układ słoneczny* w piosence 19 Wiosen zachowuje natomiast zupełnie integralny w tym sensie związek wersów tekstu poetyckiego, fraz wokalnych i melodii przesterowanej gitary. Świetlickiemu udaje się pokazać wieloznaczność utworu poetyckiego (co zresztą wiemy już także jako czytelnicy literatury), Pryt dokłada do tej świadomości bardzo ważną – jak mi się wydaje – wiadomość: gest surowego uderzenia punkowego brzmienia („Wszechświat musi wiedzieć, że getto walczy!” – przepisuję raz jeszcze zdanie wynotowane z rozmowy z Gołoburdą).

Inaczej *Układ słoneczny* wygląda natomiast na ścianie Galerii DOBRO (vide zdjęcie pod tekstem). Mamy czarne litery na białym tle, które zapewne mogłyby niepokoić, gdyby nie to, że łódzki artysta zaangażował do pracy nad swoim tekstem

tym razem inne środki. Zmienia się wielkość liter – przede wszystkim wyraźnie widzimy zatem tytułową frazę olsztyńskiej wystawy, ale też – w przestrzeni owego zaaranżowanego tomiku 3D – słabiej odczuwamy presję „układu”. Tekst na ścianie galerii dodatkowo rozświetla silne światło reflektora, jakby zachęcając do podjęcia aktywności (reflektor być może operuje tu jak skomplikowane powroty refleksów świetlnych – jeden z ważnych motywów wierszy Pryta; to materiał na oddzielną przygodę – choćby dla czytelników tomu *Szpital Heleny Wolf*).

Specyfikę Prytowego wprowadzenia tekstu wiersza do przestrzeni galerii lepiej być może także dostrzec, gdy uświadomimy sobie, że na pierwszy rzut oka to nie jest gest szczególnie radykalny. Przypominam w tym miejscu *Metapoezję* Ewy Partum z 1972 roku – artystka pokryła powierzchnię ogrodu Muzeum Sztuki w Łodzi papierowymi literami; w efekcie przyklejały się one zwiedzającym do butów i w ten sposób uczestnicy tego performansu roznosili teksty w liniach swoich przechadzek. Jeśli tworzyły się zatem jakieś słowa, to tylko przypadkowo. *Układ słoneczny* Pryta poszukuje sposobu działania poezji nie w takim sensie, jak jest on opisywany w przypadku Partum („Poezja aktywna polegałaby [...] w głównej mierze na wyprowadzaniu tekstu (który ostatecznie okazuje się rozsypanką liter) poza formułę gotowego obiektu oraz uczynieniu z medium pisma/języka – materiału i tworzywa, z którego «robi się» przedmiot artystycznej uwagi” – jak pisała Anna Kałuża w tekście *Materialność poezji: słowa i ciała/ słowa i obrazy*, „Praktyka Teoretyczna” 2019, nr 4). Teksty Pryta są

gotowe – gotowe na transformacyjne życie, na ich obracanie (ożywianie) w różnych mediach, w różnych przestrzeniach. (Swobodną wiarę w ów „ruch obrotowy” dziedzi- czy artysta po ważnych dla siebie futury- stach z początku wieku XX – zob. np. ma- nifest Luigiho Russolo *Sztuka hałasów*).

*

Malwina Mus, autorka monografii Mar- cina Świetlickiego (Kraków 2019), pró- bująca uchwycić specyfikę intermedial-

nej kariery artystycznej autora *Zimnych krajów*, proponowała posłużyć się w tym względzie tradycyjną kategorią osobo- wości twórczej. Myślę, że może się ona świetnie sprawdzić także w momencie, gdy będziemy starali się (to zadanie wciąż do podjęcia!) zbadać praktyki artystycz- ne Marcina Pryta: poety, śpiewającego autora tekstów piosenek, mów wiąża- nych, rumorów słownych, rysownika poemixów.

Tomasz Cieślak-Sokołowski

MARCIN PRYT, *Po co słońce?*, Galeria DOBRO, Olsztyn, maj–sierpień 2021

Fotografia Tomasz Cieślak-Sokołowski



Dnia 9-go lipca 2021 roku
zmarł w Krakowie

Prof. Leonard Neuger

znakomity literaturoznawca i tłumacz,
działacz opozycji demokratycznej.

Profesor w Instytucie Sławistyki Uniwersytetu Sztokholmskiego,
laureat Nagrody Akademii Szwedzkiej dla wybitnych tłumaczy
literatury szwedzkiej na języki obce.

Odnaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP,
Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP,
Krzyżem Wolności i Solidarności.

Człowiek wielu talentów i rzadkiego osobistego uroku;
nasz nieodżałowany i niezapomniany Przyjaciel.

Redakcja

„Nowej Dekady Krakowskiej”

Dnia 17 lipca 2021 roku
zmarł w Krakowie

Prof. Stanisław Rodziński

malarz, eseista, pedagog,
w latach 1996–2002 rektor
Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

Pozostał w pamięci widzów i czytelników jako autor ekspresyjnych pejzaży i inspirowanych Ewangelią figuracji oraz poczytnych książek o sztuce i artykułów w czasopismach.

Współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Znakiem”
i „Dekadą Literacką”, której był współzałożycielem.

W latach 1981–1989 działał w Ruchu Kultury Niezależnej.

Był nauczycielem cenionym przez studentów i kolegów. Pracę na krakowskiej ASP dzielił z obowiązkami pedagogicznymi na UJ, Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, a w latach 1972–1980 w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu.

Za swoją twórczość i postawę obywatelską otrzymał wiele odznaczeń państwowych, prestiżowych nagród i wyróżnień.

W osobie Profesora tracimy podziwianego Artystę
oraz Człowieka godnego najwyższego szacunku.

Redakcja
„Nowej Dekady Krakowskiej”

Tomasz Cieślak-Sokołowski – krytyk i historyk literatury; adiunkt w Katedrze Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ; redaktor prowadzący serwisu krytycznego „Nowa Dekada” (<http://nowadekada-online.pl>). Opublikował m.in. monografię *Moment lingwistyczny. O wczesnym piarstwie Ryszarda Krynickiego i Stanisława Barańczaka* (2012) i przekład książki *Modernizm XXI wieku*. „Nowe” poetyki Marjorie Perloff (wraz z Kacprem Bartczakiem, 2014).

Kacper Bartczak – poeta, krytyk, tłumacz poezji, amerykanista; profesor Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie wykłada literaturę amerykańską w Instytucie Anglistyki Wydziału Filologicznego. Wydał kilka tomów poetyckich, m.in. *Wiersze organiczne* (2015), za które był nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius oraz Nagrody Literackiej Gdynia, a także *Pokarm suweren* (2017), *Naworadziowa* (2019) oraz *Widoki wymazy* (2021). Przekładał wiersze m.in. Rae Armantrout (*Ciemna materia*, 2018), *Charlesa Bernsteina* (*Świat w ogniu: wiersze i przemowy*, 2020) oraz Petera Giziego (*Imitacja życia i inne wiersze*, z Andrzejem Sosnowskim, 2013; *Pieśni progowe*, 2020). Jest współtłumaczem książki Marjorie Perloff *Modernizm XXI wieku*. „Nowe” poetyki (z Tomaszem Cieślakiem-Sokołowskim, 2014) i redaktorem monografii wieloautorskiej *Poeci Szkoły Nowojorskiej* (2018).

Tomasz Bąk (ur. 1991) – kolektyw schizofreniczny, autor pięciu książek poetyckich i jednoaktówki *Katedra* (2019). Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut za tom *Kanada* (2011), Poznańskiej Nagrody Literackiej – Stypendium im. Stanisława Barańczaka za tom *Utylizacja. Pięta miast* (2018) oraz Nagrody Literackiej Gdynia w kategorii poezja za *Bailout* (2019). W 2021 roku opublikował tom *O, tu jestem*. Mieszka w Tomaszowie Mazowieckim.

Karol Maliszewski – poeta, prozaik, krytyk literacki; pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UW. Założyciel Noworudzkiego Klubu Literackiego „Ogma”. Laureat Nagrody Literackiej im. Marka Jodłowskiego (1994), Nagrody im. Barbary Sadowskiej (1997), Nagrody im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruno (1999). Nominowany do Nagrody Nike za zbiór krytyk literackich *Rozproszone głosy. Notatki krytyka* (2007). Mieszka w Nowej Rudzie.

Tomasz Mizerkiewicz – krytyk literacki; profesor w Zakładzie Literatury XX Wieku, Teorii Litera-

tury i Sztuki Przekładu na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM, dziekan tegoż wydziału; redaktor naczelny dwujęzycznego pisma naukowego „Forum Poetyki / Forum of Poetics”, autor m.in. książki *Po tamtej stronie tekstów. Literatura polska a nowoczesna kultura obecności* (2013) oraz *Literatura obecna. Szkice o najnowszej prozie i krytyce* (2013). Stale współpracuje z „Nowymi Książkami” i „FA-artem”, ponadto swoje teksty publikował m.in. na łamach „Dekady Literackiej”, „Wielogłosu”, „artPapieru”, „Czasu Kultury”.

Malwina Mus-Frosik – literaturoznawczyni, redaktorka, krytyczka i badaczka zorientowana na związki literatury i innych dziedzin sztuki. Autorka książki *Marcin Świetlicki – artysta multimedialny* (2019), współredaktorka dwóch monografii z serii *Ścieżkami Pisarzy* (2015). Współpracuje z wydawnictwami i instytucjami kultury. Zawodowo związana z Akademią Górniczo-Hutniczą i Uniwersytetem Jagiellońskim. Na Wydziale Polonistyki UJ prowadzi zajęcia z interpretacji muzyki i fonosfery.

Dariusz Nowacki – krytyk literacki i badacz literatury, profesor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach; stały recenzent m.in. „Gazety Wyborczej”. Ostatnio opublikował książkę *Kobiety do czytania. Szkice o prozie* (2019).

Piotr Sobolczyk – polski pisarz, poeta, krytyk literacki, tłumacz, producent i kompozytor muzyki oraz autor piosenek i wokalista; od 2012 r. pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie. Autor pięciu tomów poetyckich, dwóch książek prozatorskich (*Opowieści obrzydliwe*, 2003, *Espanadiós*, 2006) oraz albumów muzycznych (od 2016 r.). Ostatnio opublikował m.in. zbiór *100% Arabica / chiNOISERy* (2015), album *Joyful Liberations* (2020) oraz monografię *Gotycyzm – modernistyczny sobowtór odmienca* (2017).

Maciej Szlinder – filozof, ekonomista, doktor nauk humanistycznych, polityk, prezes Polskiej Sieci Dochodu Podstawowego, członek Zarządu Krajowego Partii Razem, redaktor pisma „Praktyka Teoretyczna”. Jest autorem książki *Bezwarunkowy dochód podstawowy. Rewolucyjna reforma społeczeństwa XXI wieku* (2018).

Olga Szmidt (ur. 1989) – redaktor naczelna portalu Popmoderna, krytyczka literacka i telewizyjna, doktor literaturoznawstwa. Pracuje w Katedrze Krytyki Współczesnej na Wydziale Polonistyki UJ. Zajmuje

się zagadnieniami związanymi z podmiotowością nowoczesną, teorią krytyczną i kulturą popularną. Kilukrotnie stypendystka MNiSW oraz MKiDN. Autorka monografii naukowych *Korespondent Witkacy* (Universitas, 2014) oraz *Autentyczność: stan krytyczny. Problem autentyczności w kulturze XXI wieku* (Universitas, 2019), biografii *Kownacka. Ta od Plastusia* (Czarne, 2016) oraz tomu *Odkrywanie Ameryki. Wybór tekstów krytycznych z lat 2010–2017* (WUJ, 2018). Wydała także autorski notes *Finlandia. Książka do pisania* (Austeria, 2017). Współpracuje z „Czasem Kultury” i „Krytyką Polityczną”. Mieszka na krakowskim Kazimierzu.

Katarzyna Trzeciak – krytyczka i badaczka literatury, adiunkt w Katedrze Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ, członkini Pracowni Pytań Krytycznych. Jako krytyczka literatury współredaguje wraz z Michałem Sowińskim podcast literacki *Book’s not dead*, stale współpracuje również z magazynem „Nowe Książki” i „Tygodnikiem Powszechnym”. Na portalu „Czasu Kultury” prowadzi cykl *Pierwszy rzut*, poświęcony debiutom literackim. Ostatnio opublikowała książkę *Posągi i utopie. Rzeźba jako metafora nowoczesnej formy artystycznej, podmiotowości i politycznej wspólnoty* (2018).

Maciej Urbanowski – historyk literatury polskiej, krytyk literacki, edytor, profesor nauk humanistycznych w Katedrze Krytyki Współczesnej na Wydziale Polonistyki UJ (którą kierował w latach 2008–2020). Ostatnio opublikował m.in. książki *Paralele, korespondencje, dedykacje w literaturze polskiej XX i XXI wieku* (2020), *Rok 1920 w literaturze polskiej. Zarys monograficzny* (2020). Od 2017 jest przewodniczącym jury Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. W 2017–2018 wszedł w skład jury Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus”. Od 2018 jest członkiem Rady Programowej Instytutu Książki.

Teresa Walas – historyczka i teoretyczka literatury. Opublikowała m.in. *Czy jest możliwa inna historia literatury* (1993), zbiór esejów *Zrozumieć swój czas* (2003). Wraz z Henrykiem Markiewiczem przygotowała antologię tłumaczeń *Sztuka interpretacji* (2013). Ostatnio opracowała tom *Pism ostatnich profesora Henryka Markiewicza* (2020), który ukazał się nakładem wydawnictwa Universitas.

Marta Wyka – krytyk i historyk literatury. Opublikowała m.in. zbiór szkiców krytycznoliterackich *Niecierpliwość krytyki* (2006), książkę autobiogra-

ficzną *Przypisy do życia* (2007), a także dwie monografie: *Czytanie Brzozowskiego* (2012) oraz *Miłość i rówieśnicy. Domknięcie formacji* (2013). Ostatnio wydała zbiory szkiców pt. *Napisane niedawno* (2018) i *Tamten świat* (2020).

Druk:
Drukarnia EKODRUK
ul. Wielicka 250,
30-663 Kraków
tel./fax: 12 2961909
www.ekodruk.eu

Przygotowanie do druku:
Sylwan
ISSN 2299-4742

Informujemy, że bieżące numery
„Nowej Dekady Krakowskiej” można
nabyć w Krakowie – w Księgarni
Akademickiej, a także w Empikach
na terenie całego kraju.



Wydawca:
Krakowska Fundacja Literatury
ul. gen. Jakuba Jasińskiego 26A,
30-815 Kraków
BNP Paribas Bank Polska S.A.
80 1750 0012 0000 0000 3143 8497



Marek 11 Pryt 2020

PO CO SŁOŃCE?



Marek 11 Pnył 2020

PO CO SŁOŃCE?

ISSN 2299-4742



KRAKOWSKA
FUNDACJA
LITERATURY

